

MARC
LEVY

ZŁODZIEJ
CIENI



Levy Marc

Zodziej cieni

MARC LEVY
(ur. 1961)

Jeden z najlepiej rozpoznawalnych pisarzy Francji. W wieku 18 lat podjął pracę w organizacji Czerwonego Krzyża. Równolegle studiował zarządzanie na Uniwersytecie Paris-Dauphine. W 1984 wyjechał do USA, gdzie założył firmę zajmującą się grafiką komputerową. Po powrocie do kraju otworzył kolejną, specjalizującą się w architekturze wnętrz. Debiutancka powieść **Jak w niebie** uczyniła go gwiazdą literatury. Przetłumaczona na 38 języków, rozeszła się w 3 milionach egzemplarzy; w Hollywood powstała jej adaptacja z Reese Witherspoon w głównej roli (za prawa filmowe Steven Spielberg zapłacił 2 miliony dolarów!). Łączna sprzedaż książek Levy'ego, m.in. **W następnym życiu, Dzieci wolności, Moi przyjaciele, moje kochanki, Pierwszy dzień, Pierwsza noc, Złodziej cieni, Przepowiednia, Replay** i *Un sentiment plus fort que la peur* przekroczyła 20 milionów. „Le Figaro” plasuje go na drugim pod względem poczytności miejscu we Francji (w 2012 sprzedał aż 1.43 mln książek).

www.marclevy.info

Tego autora

JAK W NIEBIE

JESZCZE SIĘ SPOTKAMY

W NASTĘPNYM ŻYCIU

MOI PRZYJACIELE, MOJE KOCHANKI

DZIECI WOLNOŚCI

WSZYSTKO, CZEGO NIE ZDAŻYLIŚMY
POWIEDZIEĆ

PIERWSZY DZIEŃ

PIERWSZA NOC

GDZIE JESTEŚ?

ZŁODZIEJ CIENI

PRZEPOWIEDNIA

REPLAY

UCZUCIE SILNIEJSZE OD STRACHU

Dla Pauline, Louisa i Georges'a

Są ludzie, którzy całują tylko cienie; tym dany jest ledwie cień rozkoszy.

William Shakespeare

Widzisz, miłość najbardziej potrzebuje wyobraźni. Każdy musi tworzyć drugiego całą mocą swej wyobraźni, ze wszystkich sił, nie oddając rzeczywistości ani skrawka ziemi; i nie ma nic równie pięknego, jak spotkanie dwóch wyobraźni.

Romain Gary

Bałem się nocy, bałem się kształtów, które wpraszają się wraz z mrokiem wieczoru, które tańczą w fałdach zasłon, na tapetach sypialni. Z czasem zniknęły. Wystarczy jednak, że wspomnę dzieciństwo, a one znów się wyłaniają, straszliwe i groźne.

Chińskie przysłowie mówi, że człowiek uprzejmy nigdy nie depte cienia sąsiada, ale nie znałem tego powiedzenia w dniu, kiedy przyszedłem do nowej szkoły. To tam, na dziedzińcu, toczyło się moje dzieciństwo. Chciałem je odpędzić, stać się dorosły, ale ono przyłgnęło do mnie, oblepiło to przyciasne, zbyt małe jak na mój gust ciało.

„Zobaczysz, wszystko będzie dobrze...”.

Początek roku szkolnego. Oparty o platan patrzyłem, jak tworzą się grupki. Nie należałem do żadnej z nich. Nie mogłem liczyć na niczyj uśmiech, na klepnięcie po plecach, na żadną oznakę radości ze spotkania po wakacjach. Nie miałem komu opowiedzieć, jak minęły moje. Ci, którzy zmieniali szkołę, wiedzą, jak to jest we wrześnie ranki, kiedy czuje się dławienie w gardle i nie wiadomo, co powiedzieć rodzicom, którzy powtarzają z przekonaniem, że wszystko będzie dobrze. Zupełnie jakby jeszcze cokolwiek pamiętali! Rodzice wszystko już zapomnieli, to nie ich wina – po prostu się zestarzelili.

Na dziedzińcu rozległ się dzwonek i uczniowie ustawili się w rzędach przed prowadzącymi apel nauczycielami. Było nas troje okularników – to niewiele. Zapisano mnie do klasy 6C i znów okazało się, że jestem najniższy. Rodzice nie najlepiej to obliczyli – przyszedłem na świat w grudniu, a oni wciąż się cieszyli, że wyprzedzam innych o pół roku, schlebiało im to, za to ja po każdych wakacjach zamartwiałem się swoim wzrostem.

Bycie najmniejszym w klasie oznaczało: ścieranie tablicy, przynoszenie kredy, sprzątanie materacy w sali gimnastycznej,

układanie piłek futbolowych na półce, do której się nie sięga, a co najgorsze – pozowanie do klasowych zdjęć w siadzie po turecku, w pierwszym rzędzie, samotnie. Tak, w szkole człowiek jest narażony na najgorsze upokorzenia.

Jednak żadna z tych rzeczy nie pociągnęłaby za sobą poważnych konsekwencji, gdyby w klasie 6C nie było Marquesa – istnego postrachu i mojego całkowitego przeciwieństwa.

Podczas gdy ja – ku niewypowiedzianej radości rodziców – podjąłem naukę kilka miesięcy wcześniej niż moi koledzy, Marques już dwukrotnie powtarzał klasę, a jego rodzice nic sobie z tego nie robili. Zadowalał ich fakt, że szkoła zajmuje się ich synem, że obiad zapewnia mu stołówka, a do domu chłopak wraca dopiero wieczorem.

Byłem okularnikiem, Marques miał sokoli wzrok. Byłem o dziesięć centymetrów niższy od rówieśników, Marques zaś o dziesięć centymetrów wyższy, a więc różnica wzrostu między nami rzucała się w oczy; nie cierpiałem koszykówki, a Marquésowi z łatwością przychodziło wrzucenie piłki do kosza; ja lubiłem poezję, a on sport – i chociaż nie są to rzeczy nie do pogodzenia, nas dzieliły; ja lubiłem obserwować szarańczę na pniach drzew, a Marqués najchętniej ją łapał i wyrywał skrzydełka.

A jednak coś nas łączyło, tylko to jedno – Élisabeth! Obaj się w niej kochaliśmy, ale ona nie zwracała uwagi na żadnego z nas. Mogło nas to na swój sposób zbliżyć, lecz niestety stało się przyczyną ostrej rywalizacji.

Élisabeth nie była najładniejszą dziewczyną w szkole, ale miała o wiele więcej wdzięku niż wszystkie inne. Krył się w niepowtarzalnym sposobie wiązania włosów, w gestach prostych, ale pełnych uroku, w uśmiechu, który potrafił rozświetlić ponure jesienne dni, kiedy deszcz pada bezustannie,

kiedy przemoczone buty chlupią po żwirze, a latarnie rozpraszają mrok w drodze do szkoły rano i wieczorem, kiedy nadchodzi pora powrotu do domu.

Tu toczyło się moje dzieciństwo, w tym małym, prowincjonalnym miasteczku, gdzie rozpaczliwie czekałem, aż Élisabeth raczy na mnie spojrzeć, i gdzie rozpaczliwie marzyłem o tym, by wreszcie urosnąć.

1

Wystarczył jeden dzień, żeby Marqués wziął mnie na celownik. Jeden króciutki dzień, którego skutki były nieodwracalne. Nauczycielka angielskiego, pani Schaeffer, wyjaśniła nam, że past simple w ogólnym zarysie odpowiada czasowi przeszłemu dokonanemu, przy czym wyrażony nim stan czy też czynność nie mają już związku z terażniejszością, nie są trwałe i dają się ściśle osadzić w czasie. Jakie to proste!

Zaraz potem pani Schaeffer wskazała mnie palcem i poleciła, żebym podał przykład ilustrujący jej słowa. Kiedy zasugerowałem, że byłoby bardzo fajnie, gdyby rok szkolny był w czasie przeszłym dokonanym, Élisabeth nie zdołała się powstrzymać od śmiechu. Ponieważ mój dowcip rozbawił tylko nas dwoje, uznałem, że reszta klasy wcale nie zrozumiała, czym jest ów czas, a Marqués doszedł do wniosku, że zyskałem w oczach Élisabeth. Miałem za to płacić do końca trymestru. Od tego poniedziałku pierwszego dnia nauki, a ściślej, od pierwszej lekcji angielskiego, zaczęło się dla mnie istne piekło.

Oberwało mi się też od pani Schaeffer. Kara obowiązywała od soboty rano – trzy godziny grabienia liści na szkolnym dziedzińcu! Nienawidzę jesieni!

We wtorek i środę Marqués zafundował pokaz kuksańców i podstawiania nogi, używając mnie jako worka treningowego. Za każdym razem, kiedy padałem jak długi, tenże Marqués zdobywał punkty w konkurencji rozśmieszania innych. Muszę przyznać, że udało mu się nawet zyskać pewną przewagę, ale Élisabeth nie doceniała jego poczucia humoru, więc nie zdołał zaspokoić żądzy zemsty.

We czwartek Marqués nabrał rozmachu i przesiedziałem matematykę uwięziony w szafce – wepchnął mnie tam, a potem

zamknął na kłódkę. Po pewnym czasie woźny, który zamiatał szatnię, usłyszał, jak walę w drzwiczki, i podałem mu szyfr. Żeby nie wpaść w jeszcze większe tarapaty i nie zarobić sobie na opinię skarżypyty, powtarzałem z uporem głupią historyjkę o tym, że sam się zamknąłem, próbując się schować. Zaintrygowany woźny zapytał, jak mogłem zamknąć kłódkę, siedząc w szafce, ale udałem, że nie słyszę tego pytania, i uciekłem, ile sił w nogach. Opuściłem apel, więc nauczyciel matematyki przedłużył moją sobotnią karę o godzinę.

Piątek okazał się najgorszym dniem tego tygodnia. Marqués prowadził na mnie doświadczenia, sprawdzając, jak działa siła grawitacji, w ramach powtórki z Newtona, którego prawo omawialiśmy na fizyce o jedenastej rano.

Prawo przyciągania ziemskiego, odkrycie Izaaka Newtona, wyjaśnia, że dwa ciała przyciągają się z siłą proporcjonalną do masy każdego z nich, a odwrotnie proporcjonalną do kwadratu odległości, jaka je dzieli. Siła ta działa wzdłuż linii prostej przecinającej środek ciężkości obu ciał.

Mniej więcej takie informacje uczniowie mogą znaleźć w podręcznikach. W praktyce wygląda to trochę inaczej. Weźmy na przykład gagatka, który zwędził ze stołówki pomidora, ale nie po to, żeby go zjeść; zaczekajmy, aż jego ofiara znajdzie się w odpowiedniej odległości. Gagatek z całej siły ciśnie wtedy tymże pomidorem w ofiarę. Przekonamy się wówczas, że w przypadku Marquésa prawo Newtona nie sprawdza się w swym pierwotnym brzmieniu. Dowód? Otóż pomidor, którym rzucił, nie poruszał się po prostej, żeby przejść przez środek ciężkości mojego ciała, a wylądował dokładnie na moich okularach. Wśród śmiechu, który wypełnił korytarz, rozpoznałem szczery i śliczny śmiech Élisabeth i to straszliwie mnie pognębiło.

W piątek wieczorem, kiedy matka powtarzała tonem „a nie mówiłam” swoje: „Widzisz, wszystko było w porządku”, położyłem na stole w kuchni dzienniczek, w którym informowano ją o karze, oświadczyłem, że nie chce mi się jeść, i poszedłem spać.



W sobotni rano, kiedy moi koledzy siadali przed telewizorem do śniadania, ja wyruszyłem do szkoły.

Na dziedzińcu nie było żywego ducha. Woźny zabrał ode mnie podpisaną przez matkę informację o karze i wsunął ją do kieszeni szarej bluzy. Wręczył mi widły, ostrzegając, że bym nie zrobił sobie nimi krzywdy, wskazał taczki i stertę liści pod koszem do koszykówki, który zawistnie łypał na mnie okami siatki niczym Marqués.

Zmagałem się ze zwiędłymi liśćmi od dobrej pół godziny, kiedy woźny wreszcie przybył z odsieczą.

– Znam cię, to ty siedziałeś zamknięty w szafce w szatni, prawda? Zarobić sobie na karę już w pierwszą sobotę roku szkolnego to prawie taka sama sztuka, jak zamknąć na kłódkę szafkę, w której się siedzi – powiedział, zabierając mi widły.

Wbił je wprawnym ruchem w stertę liści i za jednym razem zebrał ich więcej niż ja przez cały czas pracy.

– Co takiego zmalowałeś, że zasłużyłeś na karę? – zapytał, napełniając taczki.

– Miałem problemy z koniugacją! – bąknąłem.

– Hm... Nie będę cię pouczał, bo nigdy nie byłem dobry z gramatyki. Ale do sprzątnięcia też nie masz chyba smykałki. Jest coś, co potrafisz robić jak należy?

Tym pytaniem wprowadził mnie w ponurą zadumę. Zastanawiałem się bardzo długo, próbując znaleźć w sobie

jakikolwiek talent, i nagle zrozumiałem, dlaczego rodzice przywiązywali taką wagę do tych paru miesięcy przewagi nad kolegami – nie było we mnie nic innego, czym mogliby się szczycić.

– Coś przecież musi cię interesować, coś, co chciałbyś robić, masz jakieś marzenia, które chcesz zrealizować? – dodał, nabijając kolejną porcję liści.

– Oswoić noc! – wybełkotałem.

Śmiech Yves'a, bo tak miał na imię woźny, spłoszył nawet dwa siedzące na gałęzi wróble – uciekły, trzepocząc skrzydłami. A ja odszedłem ze zwieszoną głową, z rękami wciśniętymi do kieszeni, na drugi koniec boiska. Yves mnie dogonił.

– Nie chciałem się z ciebie wyśmiewać, ale to, co powiedziałaś, trochę mnie zaskoczyło, i tyle.

Cień kosza wydłużył się na płycie boiska. Słońce miało do zenitu jeszcze daleką drogę, a moja kara też jeszcze się nie zakończyła.

– Ale dlaczego chcesz oswoić noc? To naprawdę niezwykły pomysł!

– Kiedy pan był w moim wieku, pana też ona przerażała. I nawet prosił pan o zamknięcie okiennic, żeby noc nie weszła do środka.

Yves patrzył na mnie w osłupieniu. Twarz mu się zmieniła, zniknął z niej wyraz życzliwości.

– Po pierwsze, to nieprawda, po drugie, skąd mógłbyś o tym wiedzieć?

– Czy to ważne, jak było naprawdę? – odparłem, ruszając.

– Dziedziniec jest nieduży, daleko nie odejdiesz – powiedział Yves, zrównując się ze mną. – Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Po prostu wiem.

– Dobrze, przyznaję, rzeczywiście bardzo bałem się nocy, ale nikomu o tym nie mówiłem, więc jeśli mi powiesz, jak się o tym dowiedziałeś, i obiecasz, że dochowasz tajemnicę, pozwolę ci wyjść o jedenastej zamiast w południe.

– Umowa stoi! – rzuciłem, wyciągając rękę.

Yves przybił piątkę i spojrzał mi w oczy. Nie miałem zielonego pojęcia, skąd wiem, że szkolny woźny jako dziecko panicznie bał się nocy. Może po prostu przypisałem mu własne lęki. Dlaczego właściwie dorośli zawsze chcą wszystko wytłumaczyć?

– Chodź, usiądźmy sobie – powiedział Yves, wskazując ławkę przy koszu do koszykówki.

– Wolałbym usiąść gdzie indziej – odparłem, patrząc na ławkę na wprost.

– Jak chcesz!

Jak miałem mu wyjaśnić, że przed chwilą, kiedy staliśmy ramię w ramię na dziedzińcu, widziałem go jako tylko trochę starszego ode mnie chłopca? Nie wiem ani jak, ani dlaczego tak się stało, wiem tylko, że tapeta w jego pokoju była pożółkła, a parkiet w całym domu skrzypiał, co także wprawiało go w przerażenie, kiedy zapadała noc.

– Nie wiem – wyznałem, lekko wystraszony – myślę, że sobie to wyobraziłem.

Długo siedzieliśmy w milczeniu na tej ławce. Potem Yves westchnął, poklepał mnie po kolanie i wstał.

– Dobra, zmykaj stąd, przecież tak się umówiliśmy, już jedenasta. Tylko się nie wygadaj, bo nie chcę, żeby uczniowie się ze mnie wyśmiewali.

Pożegnałem się z woźnym i wracałem do domu godzinę przed czasem. Po drodze zastanawiałem się, jak przywita mnie ojciec. Poprzedniego wieczoru późno wrócił z podróży, ale do

tej pory mama na pewno zdążyła mu powiedzieć, dlaczego nie ma mnie w domu. Jaką karę zarobię tym razem, skoro już w pierwszą sobotę roku szkolnego zasłużyłem na sprzątanie szkoły? Gdy snulem te przykre rozważania, uderzyło mnie coś zaskakującego. Słońce stało wysoko na niebie, a mój cień był niezwykle długi, znacznie masywniejszy niż dotąd.

Przystanąłem na chwilę, żeby dokładniej mu się przyjrzeć – jego kształt do mnie nie pasował, jakby to nie mój cień przesuwiał się przede mną po chodniku, wyglądał, jakby należał do kogoś innego. Uważnie go obserwowałem i znów nagle ujrzałem chwilę z cudzego dzieciństwa.

Jakiś człowiek włókł mnie w głąb nieznanego mi ogrodu. Chwilę potem zdjął pasek i sprawił mi solidne lanie.

Mój ojciec, nawet rozwścieczony, nigdy nie podniósłby na mnie ręki. Domyślałem się, z czyjej pamięci wymknęło się to wspomnienie, ale przecież wiedziałem, że to, co przyszło mi do głowy, jest absolutnie nieprawdopodobne, a właściwie – zupełnie niemożliwe. Śmiertelnie wystraszony przyspieszyłem kroku, żeby jak najprędzej znaleźć się w domu.

Ojciec czekał na mnie w kuchni. Kiedy usłyszał, że wszedłem do salonu i odstawiłem teczkę, zaraz mnie zawołał. W jego głosie pobrzmiwała troska.

Kilkakrotnie zdarzyło mi się wywołać ojcowski gniew: a to za zły stopień, a to za bałagan w pokoju, zniszczenie zabawek, plądrowanie lodówki w środku nocy, czytanie pod kołdrą przy latarce, chodzenie z małym radiem tranzystorowym mamy przy uchu albo za tak ciężkie grzeszki, jak napchanie kieszeni cukierkami w supermarkecie, kiedy mama spuściła mnie z oka w dziale słodczy. Stosowałem jednak pewne sztuczki, na przykład rozbrajający uśmiech winowajcy, co zawsze rozpraszało gromadzące się nad moją głową czarne chmury.

Tym razem nie potrzebowalem się do nich odwoływać – tata nie był obrażony, ale po prostu smutny. Poprosił, żebym usiadł z nim przy kuchennym stole, i ujął mnie za ręce. Rozmowa trwała najwyżej dziesięć minut. Tłumaczył mi wiele życiowych prawd, które miałem sam zrozumieć, kiedy będę w jego wieku. Zapamiętałem tylko jedno: zamierzał wyprowadzić się z domu. Powiedział, że będziemy się nadal widywali, najczęściej, jak to możliwe, tylko nie potrafił dokładniej wyjaśnić, co znaczy „jak to możliwe”.

Tata wstał i poprosił, żebym poszedł do pokoju mamy i ją pocieszył. Dotąd nazywał ten pokój „naszą sypialnią”, ale teraz był to już tylko pokój mamy.

Usłuchałem i pobiegłem na górę. Obejrzałem się, przystając na najwyższym stopniu – tata trzymał w ręku małą walizkę. Skinął mi na pożegnanie, a potem frontowe drzwi zamknęły się za nim.

Zobaczyłem się z ojcem, dopiero gdy byłem dorosły.



Spędziłem weekend z mamą, udając, że nie słyszę jej rozpaczki. Mama nic nie mówiła, czasem wzdychała, a jej oczy natychmiast wypełniały się łzami, więc szybko się odwracała, żebym tego nie widział. Wczesnym popołudniem poszliśmy do supermarketu. Już dawno zauważyłem, że kiedy mama ma kiepski nastrój, chodzimy na zakupy. Nigdy nie zdołałem pojąć, jakim cudem paczka płatków śniadaniowych, pęczek jarzyn albo nowe rajstopy mogą poprawić komuś nastrój. Patrzyłem, jak krąży między półkami, i zastanawiałem się, czy pamięta, że mnie wzięła ze sobą. Z pełnym wózkiem i pustą portmonetką wróciliśmy do domu. Mama poświęciła masę czasu na układanie zgromadzonych zapasów.

Tego wieczoru mama upiekła ciasto – biszkopt z jabłkami polany syropem klonowym. Nakryła do stołu w kuchni na dwie osoby, wyniosła krzesło ojca do piwnicy, wróciła i usiadła na wprost mnie. Wysunęła szufladę przy kuchence gazowej, wyjęła paczkę używanych świeczek, które zdmuchnąłem w urodziny, wsadziła jedną w środek ciasta i zapaliła.

– To nasza pierwsza kolacja we dwoje – powiedziała, uśmiechając się. – Musimy na zawsze ją zapamiętać.

Gdy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że moje dzieciństwo było nafaszerowane różnymi „pierwszymi” razami.

Ciasto z jabłkami i syropem klonowym było naszym posiłkiem wieczornym. Mama wzięła mnie za rękę i zamknęła ją w swoich dłoniach.

– Może opowiesz mi w końcu, co jest nie tak w tej szkole – poprosiła.



Cierpienie mamy tak mocno zaprzętało moje myśli, że zapomniałem o sobotnich nieprzyjemnościach. Przypomniałem sobie o nich w drodze do szkoły, pełen nadziei, że Marqués miał znacznie bardziej udany weekend niż ja. Kto wie, przy odrobinie szczęścia może się okazać, że nie potrzebuje już chłopca do bicia.

Klasa 6C ustawiła się już w dwuszeregu na boisku; zaraz miał się zacząć apel. Élisabeth stała przede mną, ubrana w granatowy sweterek i kraciatą spódnicę do kolan. Znalazł się i Marqués – rzucił na mnie wredne spojrzenie. Uczniowie gęsiego weszli do szkoły.

Na lekcji historii, kiedy pani Henry opowiadała nam o okolicznościach, w jakich Tutenchamon odszedł z tego świata,

zupełnie jakby była przy jego śmierci, ja nie bez obaw myślałem o coraz bliższej przerwie.

Dzwonek miał zabrzmieć o dziesiątej trzydzięci, a perspektywa znalezienia się na dziedzińcu z Marquésem zupełnie mnie nie cieszyła. Musiałem jednak wyjść ze wszystkimi.

Usiadłem samotnie na ławce tam, gdzie w sobotę rozmawiałem z woźnym, zanim skrócił mi karę, tuż przed powrotem do domu, kiedy to dowiedziałem się, że ojciec nas zostawił. Marqués podszedł i usiadł obok mnie.

– Mam cię na oku – powiedział, kładąc mi rękę na ramieniu. – Tylko się nie waż zgłaszać w wyborach na gospodarza klasy. To ja jestem najstarszy i należy mi się to miejsce. Jeśli chcesz, żebym dał ci spokój, to coś ci poradzę: nie wrywaj się tak, a poza tym trzymaj się z daleka od Élisabeth. Mówię ci to dla twojego dobra. Jesteś za młody, i tak nie masz szans, więc po co się łudzić: choćbyś stanął na głowie, nic z tego nie będzie, kretynie.

Pamiętam jak dziś, że tego ranka na szkolnym dziedzińcu świeciło słońce, i wiem, dlaczego to zapamiętałem! Nasze dwa cienie ocierały się o siebie na asfalcie. Ten należący do Marquésa był o dobry metr dłuższy od mojego – to wszystko kwestia proporcji, zwykła matematyka. Dyskretnie się przesunąłem, żeby mój cień zdominował tamten. Marqués nawet tego nie zauważył, ale mnie ta gra bawiła. Przynajmniej raz byłem najsilniejszy – przecież każdemu wolno marzyć. Marqués, który przez cały czas miażdżył mi ramię, zobaczył przechodzącą pod kasztanowcem Élisabeth. Dzieliło ją od nas kilka metrów. Wstał, kazał mi się stąd nie ruszać i w końcu zostawił mnie w spokoju.

Yves wyszedł z magazynu, gdzie porządkował swój sprzęt.

Ruszył w moją stronę, patrząc na mnie z taką powagą, że zacząłem się zastanawiać, co znowu zrobiłem.

– Przykro mi z powodu twojego ojca – powiedział. – Wiesz, z czasem to wszystko może się jakoś ułożyć.

Jakim cudem tak szybko się dowiedział? Przecież o odejściu ojca nie pisano w miejscowej prasie, a na pewno nie była to wiadomość dnia!

Powinienem był pamiętać, że w małych miasteczkach wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, żadna plotka nikomu nie umyka, bo ludzie lubią się napawać nieszczęściami innych. Kiedy to sobie uświadomiłem, po raz drugi dotarło do mnie, że ojciec naprawdę nas zostawił, i ten ciężar mnie przytłoczył. Byłem już pewien, że tego wieczoru w domach moich szkolnych kolegów będzie się o tym mówiło. Jedni obarczą odpowiedzialnością matkę, inni uznają, że winien jest ojciec. Tak czy inaczej, ja będę synem, który nie potrafił dać ojcu tyle szczęścia, żeby go zatrzymać.

Rok szkolny zaczynał się naprawdę fatalnie.

– Dobrze się dogadywaliście? – zapytał Yves.

Skinąłem głową na potwierdzenie i wbiłem wzrok w czubki butów.

– Życie jest źle urządzone. Mój ojciec był łajdakiem. Dałbym wiele, żeby wyniósł się z domu, ale to ja wyprowadziłem się przed nim, żeby nie powiedzieć: przez niego.

– Tata nigdy nie podniósł na mnie ręki! – powiedziałem szybko, żeby uniknąć wszelkich niedomówień.

– Mój też nie – odparł woźny.

– Jeżeli pan chce, żebyśmy zostali kumplami, to musimy mówić sobie prawdę. Dobrze wiem, że ojciec pana bił. Zabierał pana w kąć ogrodu i tam bił pasem.

Co mnie napadło?! Jak mogłem to powiedzieć? Nie miałem pojęcia, jak to się stało, że te słowa przeszły mi przez usta. Może czułem potrzebę wyznania Yves'owi, że w pamiętną sobotę, wracając po odbyciu kary, widziałem tę scenę. Spojrzał mi prosto w oczy.

– Kto ci o tym powiedział?

– Nikt – szepnąłem speszony.

– Albo jesteś jakimś szpiclem, albo kłamczuchem.

– Nie jestem szpiclem! A kto panu powiedział o moim ojcu?

– Zaniósłem pani dyrektor pocztę i wtedy zadzwoniła twoja mama, żeby ją uprzedzić... Dyrektorka była tak wzburzona, że odkładając słuchawkę, powiedziała głośno do siebie: „Co za łajdacy z tych mężczyzn, świnie, zwyczajne świnie”. Kiedy zauważyła, że wszedłem do gabinetu, uznała, że należą mi się przeprosiny. „Nie miałam na myśli pana, Yves”, powiedziała. „Oczywiście, pan taki nie jest”, dodała. Może tak mówić, ale o mnie też tak myśli, jak o wszystkich facetach. Uważa, że jesteśmy łajdakami; wystarczy, że człowiek jest facetem, chłopcze, a już jest przegrany. Gdybyś widział, jaka była nieszczęśliwa, kiedy wprowadzono koedukację! Wiadomo przecież, że mężczyźni zdradzają żony, pojawia się tylko pytanie: z kim? Z kim, jeśli nie z kobietami, które zdradzają mężów? Wiem, co mówię. Zobaczysz, kiedy będziesz dorosły.

Chciałem przekonać Yves'a, że nie mam pojęcia, o czym on mówi, ale przecież powiedziałem mu, że nasze koleżeństwo nie może opierać się na kłamstwie. Doskonale wiedziałem, o czym mówił. Pewnego dnia mama znalazła w kieszeni płaszcza taty szminkę do ust, a tata twierdził, że nie ma pojęcia, skąd się wzięła ta szminka, że to pewnie głupi żart któregoś kolegi z pracy. Tata i mama kłócili się przez całą noc, a ja przez

jeden wieczór dowiedziałem się o niewierności więcej, niż mógłbym usłyszeć, oglądając wszystkie seriale, które śledziła w telewizji mama. Nawet sam dźwięk, bez obrazu, jest znacznie bardziej autentyczny, kiedy aktorzy dramatu grają w pokoju obok.

– No dobrze, powiedziałem ci, skąd wiem o twoim ojcu – podjął Yves – a teraz twoja kolej.

Dzwonek obwieścił koniec przerwy. Yves burknął coś pod nosem i kazał mi iść na lekcję. Dodał, że jeszcze do tego wrócimy. Potem on poszedł do swego składziku, a ja do klasy.

Słońce świeciło mi prosto w oczy. Błyskawicznie się odwróciłem i zobaczyłem, że podążający za mną cień znów jest mały, a ten, który idzie przed woźnym – o wiele większy. Na początku tego tygodnia jedno przynajmniej stało się normalne i to strasznie dodawało mi otuchy. Może mama miała rację, może to zbyt bujna wyobraźnia czasem płata mi paskudne figle.



Na angielskim zupełnie nie uważałem. Po pierwsze, nie darowałem pani Schaeffer kary, a po drugie, i tak myślałem o czym innym. Dlaczego matka zadzwoniła do dyrektorki i opowiedziała jej o swoim – o naszym – życiu? Nie były przyjaciółkami, więc takie zwierzenia wydawały mi się niestosowne. Czy wyobrażała sobie, jakie to może mieć dla mnie konsekwencje? Teraz nie miałem już szans u Élisabeth. Zakładając nawet, że podobają jej się niscy okularnicy, co i tak było optymistyczną hipotezą, i że pociąga ją przeciwieństwo Marquésa, czyli wysokiego, barczystego i pewnego siebie chłopaka, trudno było sobie wyobrazić, że marzy o wspólnej przyszłości z człowiekiem, którego ojciec wyniósł się z domu z powszechnie znanych powodów, wśród których

najważniejszym był syn, niewart, żeby przy nim zostać.

Gryzłem się tą myślą w stołówce, na lekcji geografii i podczas popołudniowej przerwy, a potem jeszcze w drodze do domu. Wróciłem zdecydowany wytłumaczyć matce, w jakiej paskudnej sytuacji mnie postawiła. Ale kiedy obracałem klucz w zamku, przyszło mi do głowy, że w ten sposób zdradziłbym Yves'a, bo matka jutro zadzwoniłaby do dyrektorki z pretensjami o niedotrzymanie tajemnicy, a dyrektorka nie musiałaby się długo zastanawiać, żeby ustalić źródło przecieku. Demaskując woźnego, zniweczyłbym szansę na przerodzenie się naszej znajomości w piękną przyjaźń, a w nowej szkole najbardziej brakowało mi właśnie przyjaciela. Nie przeszkadzało mi, że Yves jest ode mnie starszy o trzydzieści czy czterdzieści lat. Kiedy w jakiś zagadkowy sposób ukradłem mu jego cień, poczułem, że jest godzien zaufania. Musiałem znaleźć inny sposób na matkę.

Kolację jedliśmy przy telewizorze, a mama zdecydowanie nie była w nastroju do rozmów. Od odejścia taty prawie się nie odzywała, jakby słowa stały się zbyt trudne do wymówienia.

Idąc spać, myślałem o tym, co tłumaczył mi podczas przerwy Yves – zdarza się, że w końcu wszystko się układa. Może za jakiś czas mama znowu przyjdzie do mojego pokoju powiedzieć mi „dobranoc”, jak dawniej. Tej nocy zasłony w uchylonym oknie pozostały nieruchome, nic już nie śmiało zakłócić ciszy panującej w domu – nawet cień w fałdach tkaniny.



Można by pomyśleć, że bieg mojego życia zmienił się po odejściu ojca, ale tak się nie stało. Tata często późno wracał z biura, więc już dawno przywykłem spędzać wieczory sam na

sam z matką. Brakowało mi niedzielnych przejażdżek rowerem, ale bardzo szybko zastąpiły je kreskówki, które mama pozwalała mi oglądać, kiedy czytała gazetę. Nowe życie, nowe zwyczaje: teraz chodziliśmy razem na hamburgery do pobliskiej restauracji, a potem spacerowaliśmy po ulicach handlowych. Sklepy były zamknięte, miałem jednak wrażenie, że mama wcale tego nie zauważa.

W porze podwieczorku zawsze namawiała mnie, żebym zapraszał do domu kolegów, a ja tylko wzruszałem ramionami i obiecywałem, że to zrobię... później.

Przez cały październik padał deszcz. Kasztanowce zgubiły liście, ptaki z rzadka przysiadły na gołych gałęziach. Z czasem umilkł ich śpiew – nadciągała zima.

Co rano wypatrywałem słońca, ale dopiero w połowie listopada jego promienie zdołały przebić się przez gęstą warstwę chmur.



Kiedy tylko niebo znów stało się niebieskie, nauczyciel przyrody zorganizował wycieczkę. Zostało nam ledwie kilka dni na zebranie okazów potrzebnych do zrobienia porządnego zielnika.

Wynajęty autokar zawiózł nas do lasu na obrzeżach miasteczka. I oto cała 6C ruszyła zmagać się z poszyciem leśnym i śliskim błotem w poszukiwaniu wszelkich okazów botanicznych: liści, grzybów, wysokich traw i mchu w jesiennych barwach. Marqués prowadził, jak przystało na klasowego przywódcę. Dziewczęta z naszej klasy prześcigały się w kapryśkach i żarcikach, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, ale on nie odrywał oczu od Élisabeth. Ona trzymała się z dala od innych i udawała, że nie dostrzega jego zainteresowania, jednak

nie była aż tak naiwna i z żalem stwierdziłem, że bardzo ją ono cieszy.

Ponieważ zbyt długo zatrzymałem się przy potężnym dębie, u którego stóp rósł muchomor o kapeluszu godnym stać się czapką smerfa, zostałem w ogonie, oddalony od grupy. Mówiąc wprost – zgubiłem się. Słyszałem gdzieś w dali nauczyciela, gdy wykrzykiwał moje imię, ale nie potrafiłem ustalić, skąd dobiega głos.

Starąłem się odnaleźć grupę, musiałem jednak pogodzić się z rzeczywistością – albo ten las był nieprzebyty, albo kręciłem się w kółko. Uniosłem głowę i patrzyłem na korony klonów – słońce chyliło się ku zachodowi. Obleciał mnie potworny strach.

Choć była to plama na honorze, zacząłem wrzeszczeć na całe gardło. Koledzy musieli być już daleko, bo nikt nie odpowiadał na moje wołania. Usiadłem na pniu dębu i pomyślałem o matce. Kto będzie jej dotrzymywał towarzystwa wieczorami, jeżeli nie wrócę? Czy uzna, że odszedłem, jak ojciec? On przynajmniej jej o tym powiedział. Nigdy nie zdoła mi wybaczyć, że ją porzuciłem, i to właśnie wtedy, kiedy najbardziej mnie potrzebowała. Chociaż zdarzało jej się zapominać, że z nią jestem, kiedy biegaliśmy po supermarkecie, chociaż prawie się do mnie nie odzywała, bo zbyt trudno było jej wypowiadać słowa, chociaż nie przychodziła już do mojego pokoju, żeby mi życzyć dobrej nocy, wiedziałem, że będzie bardzo nieszczęśliwa. Do diaska, powinienem był o tym pomyśleć, zanim zagapiłem się na jakiegoś głupiego muchomora! Jeżeli go znajdę, zerwę mu ten przeklęty kapelusz kopniakiem za to, że tak paskudnie mnie urządził.

– Cholera, co ty wyprawiasz, głupku?

Po raz pierwszy od rozpoczęcia roku szkolnego ucieszyłem się na widok gęby Marquésa, która wysunęła się spomiędzy

dwóch wysokich paproci.

– Przyrodnik jest bliski szaleństwa, chciał już sprowadzić sforę psów, ale powiedziałem mu, że cię znajdę. Kiedy idziemy na polowanie, mój stary wciąż powtarza, że mam talent do tropienia najgorszej zwierzyny. Chyba w końcu w to uwierzę. Pospiesz się. Szkoda, że się teraz nie widzisz, dam głowę, że gdybym poczekał jeszcze chwilkę, przyłapałbym cię zabeczanego jak jakaś smarkula.

Marqués uraczył mnie tym życzliwym komentarzem, klęcząc przede mną. Słońce było za nim, więc wokół głowy miał aureolę i wyglądał jeszcze groźniej niż zwykle. Jego twarz znalazła się tak blisko mojej, że wyraźnie czułem zapach gumy, którą żuł. Wyprostował się i klepnął mnie po ramieniu.

– To co, idziemy czy masz zamiar tu nocować?

Podniosłem się bez słowa i pozwoliłem mu odejść o kilka kroków.

Dopiero kiedy się trochę oddalił, zorientowałem się, że coś tu nie gra. Cień, który za sobą wlokłem, był o dobry metr dłuższy niż zwykle, a cień Marquésa – mały, tak mały, że niewątpliwie był moim cieniem.

Gdyby Marqués, po tym, jak mnie uratował, odkrył, że wykorzystałem okazję, żeby ukraść jego cień, już nie trymestr, ale wszystkie kolejne lata nauki w tej szkole byłyby dla mnie pasmem udręki aż do egzaminów końcowych w osiemnastym roku życia. Nie trzeba było geniuszu matematycznego, żeby uświadomić sobie, że czekałoby mnie wiele dni zmienionych w koszmar na jawie.

Dogoniłem go, żeby nasze cienie szły obok siebie i żeby wszystko było normalnie, jak przed odejściem taty. Ale przecież to nie miało najmniejszego sensu – nie zabiera się komuś tak po prostu jego cienia! A jednak to właśnie się zdarzyło, i to już po

raz drugi. Cień Marquésa nałożył się na mój, a gdy on oddalił się ode mnie, jego cień pozostał, uczepiony moich nóg. Serce biło mi jak szalone, nogi się pode mną uginały.

Przeszliśmy przez polanę do drogi, przy której czekał nauczyciel przyrody z resztą klasy. Marqués wznosił ręce na znak zwycięstwa – wyglądał jak myśliwy, a ja miałem być zwierzyną, którą włókł za sobą. Nauczyciel zaczął machać, każąc nam się pospieszyć. Autokar czekał. Czułem, że znowu mi się oberwie. Koledzy przyglądali się nam i byłem pewien, że się ze mnie naśmiewają. Pocięczałem się myślą, że tego wieczoru będą mogli opowiedzieć tę historyjkę zamiast roztrząsać problemy małżeńskie moich rodziców.

Élisabeth siedziała już w autokarze, na tym samym miejscu, co w drodze do lasu. Nawet nie wyglądała przez okno, jakby moje zniknięcie wcale jej nie obeszło. Słońce wolno przesuwało się w dół, nasze cienie były coraz bledsze, w końcu stały się prawie niewidoczne. Ucieszyło mnie to – nikt nie mógł już zauważyć, co się wydarzyło w lesie.

Ze zwieszoną głową wsiadłem do autokaru. Nauczyciel przyrody zapytał, jakim cudem zdołałem się zgubić, i wyznał, że potwornie go wystraszyłem, ale wydawał się zadowolony, że wszystko dobrze się skończyło. Nie zamierzał wyciągać wobec mnie konsekwencji.

Poszedłem usiąść w ostatnim rzędzie i nie odezwałem się ani słowem przez całą drogę. Zresztą i tak nie miałem nic do powiedzenia – po prostu się zgubiłem, i tyle, każdemu może się to zdarzyć. Oglądałem kiedyś w telewizji film o wytrawnych alpinistach, którzy zgubili się w górach, a ja przecież nigdy nie podawałem się za wytrawnego trapera.

Kiedy wróciłem do domu, mama czekała na mnie w salonie. Wzięła mnie w ramiona i mocno, może za mocno,

przytuliła.

– Zgubiłeś się? – zapytała, gładząc mnie po policzku.

Musiała mieć gorącą linię z dyrektorką szkoły, bo nie wiem, jak bez tego informacje na mój temat mogłyby krążyć z taką prędkością.

Opowiedziałem jej o tym incydencie, a ona uparła się, żebym wziął gorącą kąpiel. Na próżno powtarzałem, że nie zmarłem – nic do niej nie docierało. Można by pomyśleć, że ta kąpiel zmyje z nas obojga wszelkie problemy – z niej odejście taty, ze mnie pojawienie się Marquésa.

Kiedy wcierała mi we włosy szampon, który spływał do oczu i szczypał, miałem ochotę powiedzieć jej o kłopotach z cieniami, ale wiedziałem, że nie potraktuje tego poważnie i znów zarzuci mi, iż zmyślam, więc milczałem, licząc, że nazajutrz będzie brzydka pogoda, a cienie nie wypełzną pod szarym niebem.

Na kolację dostałem rostbef z frytkami, a to znaczyło, że może powinienem częściej gubić się w lesie.



Mama weszła do mojego pokoju o siódmej rano. Śniadanie już czekało, musiałem tylko się umyć, ubrać i szybko zejść na dół, jeśli nie chciałem spóźnić się do szkoły. Prawdę mówiąc, tego dnia miałem ochotę się spóźnić, a jeszcze większą – już nigdy nie iść do tej szkoły. Mama powiedziała, że zapowiada się piękny dzień, i to wprawiło ją w doskonały nastrój. Kiedy usłyszałem jej kroki na schodach, szybciutko wsunąłem się pod kołdrę. Błagałem moje nogi, żeby przestały być takie samowolne, błagałem, żeby nie kradły już cudzych cieni, a przede wszystkim – żeby oddały cień Marquésowi, kiedy tylko nadarzy się okazja. Oczywiście, rozmowy z własnymi nogami

o poranku mogą wydawać się dziwaczne, ale żeby to zrozumieć, trzeba postawić się w mojej sytuacji, uświadomić sobie, co przeżywałem.

Z teczką na plecach wędrowałem do szkoły, rozmyślając nad moim problemem. Cień Marquésa musiał znowu spotkać się z moim, żebym mógł przeprowadzić niezauważalnie zamianę, a to oznaczało, że trzeba znaleźć jakiś pretekst, żeby zbliżyć się do tego chłopaka i zagadnąć go.

Kilka metrów przed bramą szkoły głęboko odetchnąłem. Marqués siedział na oparciu ławki otoczony przez kolegów, którzy słuchali, co opowiada. Termin zgłaszania kandydatur w wyborach gospodarza klasy mijał wieczorem, więc prowadził ostrą kampanię.

Zbliżyłem się do grupy. Marqués chyba wyczuł moją obecność, ponieważ odwrócił się i obrzucił mnie wrogim spojrzeniem.

– Czego chcesz?

Inni czekali na moją odpowiedź.

– Podziękować ci za wczoraj – powiedziałem nieśmiało.

– Już podziękowałeś, więc możesz spadać – rzucił, a koledzy skwitowali to drwiącym śmiechem.

Wtedy poczułem za sobą siłę, siłę, która pchnęła mnie o trzy kroki do przodu. Zbliżyłem się do niego, zamiast posłusznie odejść.

– Co jeszcze? – zapytał, podnosząc głos.

Przysięgam, że nie planowałem tego, co się potem stało, że nie zamierzałem mówić tego, co powiedziałem z zadziwiającą nawet mnie pewnością siebie.

– Postanowiłem zgłosić się w wyborach na gospodarza klasy i wolę, żebyś o tym wiedział i żeby wszystko między nami było jasne!

Teraz ta siła pchała mnie w przeciwnym kierunku – szkolnego boiska, ku któremu szedłem wyprężony jak żołnierz, pewnym krokiem.

Za mną panowała absolutna cisza. Spodziewałem się usłyszeć szyderczy śmiech i drwiny, ale dopiero głos Marquésa przerwał to milczenie.

– Czyli wojna – rzucił. – Jeszcze tego pożałujesz.

Nie odwróciłem się.

Élisabeth, która nie przyłączyła się do grupy, przecięła mi drogę i szepnęła, że Marqués działa jej na nerwy, a potem odeszła jakby nigdy nic. Doszedłem do wniosku, że moje szanse przeżycia spadną niemal do zera podczas najbliższej przerwy.

A podczas tej przerwy słońce stało nad szkolnym boiskiem. Obserwowałem uczniów, którzy zaczynali mecz koszykówki, kiedy zobaczyłem, że to, czego tak się bałem, wyciąga się u moich stóp. Mój cień był nie tylko za duży, żeby należeć do mnie, ale w dodatku czułem się jakoś inaczej. Ile czasu jeszcze minie, zanim ktoś się zorientuje i odkryje przerażającą mnie tajemnicę? Na wszelki wypadek rozejrzałem się po boisku. Syn piekarza, Luc, który w czasie wakacji złamał nogę i wciąż jeszcze nosił gips, skinął na mnie, prosząc, żebym podszedł. Przysiadłem się do niego.

– Nie doceniałem cię. Musisz być piekielnie pewny siebie, skoro zrobiłeś coś takiego.

– Albo jestem samobójcą – odpowiedziałem. – Zresztą nie mam szans.

– Jeżeli chcesz wygrać, musisz zmienić nastawienie. Nie ma spraw z góry przegranych, trzeba tylko pragnąć zwycięstwa, żeby zyskać szansę. Tak mówi mój ojciec. Poza tym nie zgadzam się z tobą. Jestem pewien, że chociaż udają jego kumpli, to wielu po prostu go nie cierpi.

– Ale kogo?

– Twojego rywala, a o kim miałbym mówić? Na mnie w każdym razie możesz liczyć, jestem po twojej stronie.

Ta krótka, nic nieznacząca rozmowa była najpiękniejszym wydarzeniem od początku roku szkolnego. Na razie płynęła z niej tylko obietnica, ale już świadomość, że mogę w końcu mieć kolegę w swoim wieku, wystarczyła, żebym zapomniał o wszystkim innym – o starciu z Marquésem, o kłopotach z cieniem, a na krótką chwilę nawet o tym, że nie zastanę w domu taty i nie będę mógł mu o tym opowiedzieć.

W środy kończyliśmy o piętnastej trzydzieści. Wpisałem swoje nazwisko na listę kandydatów, którą przypięto do korkowej tablicy przed sekretariatem szkoły, i przy okazji stwierdziłem, że tylko ja figuruję na niej obok Marquésa. Potem wyruszyłem do domu, proponując Lucowi, że go odprowadzę, bo mieszkaliśmy blisko siebie.

Szliśmy ulicą ramię w ramię, a ja bałem się, iż kolega zauważy, że z naszymi cieniami dzieje się coś dziwnego, że mój wyciąga się znacznie dalej niż jego, chociaż jesteśmy podobnego wzrostu. Ale Luc nawet nie patrzył pod nogi, może z powodu gipsu, który mu przeszkadzał i wpędzał w kompleksy. Od początku roku wszyscy w szkole nazywali go Kapitanem Hakiem.

Kiedy mijaliśmy piekarnię, zapytał, czy mam ochotę na bułeczkę z czekoladą. Nie miałem dość pieniędzy, żeby sobie na to pozwolić, a zresztą nie było takiej potrzeby, bo w teczce miałem jeszcze bułkę z nutellą przygotowaną przez mamę i mogliśmy się nią podzielić, na pewno była smaczna. Luc wybuchnął śmiechem, mówiąc, że jego mama też nie pozwala mu kupować nic na podwieczorek, a potem z dumą pokazał mi wystawę sklepu. Na witrynie widniały delikatne, ręcznie

malowane litery, układające się w napis „Piekarnia Shakespeare”.

Widząc moje zdumienie, przypomniał, że ma ojca piekarza i tak się składa, iż ta piekarnia należy do jego rodziców.

– Naprawdę nazywasz się Shakespeare?

– Tak, naprawdę, ale nie jestem spokrewniony z ojcem Hamleta, to tylko synonim.

– Homonim! – poprawiłem.

– Niech ci będzie. No dobrze, idziemy zjeść te bułeczki?

Luc pchnął drzwi sklepu. Jego mama była pulchna i okrągła jak brioszka, a do tego uśmiechnięta. Powitała nas z akcentem, który w tym regionie brzmiał obco. Mama Luca miała śpiewny głos, głos, który od razu wprawiał w dobry nastrój, i sposób mówienia przekonujący, że cieszy ją widok gości.

Zaproponowała nam bułeczki z czekoladą albo eklerki kawowe, ale zanim zdążyliśmy dokonać wyboru, zdecydowała, że dostaniemy i jedno, i drugie. Zawstydzilem się, ale Luc powiedział, że ojciec zawsze piecze wszystkiego za dużo, a to, czego nie uda się sprzedać przed zamknięciem, i tak trafi do kosza, więc lepiej ograniczyć marnotrawstwo. Pochłonęliśmy eklerki i bułeczki, nie każąc się dłużej prosić.

Mama Luca poprosiła go, żeby przez chwilę popilnował sklepu, ponieważ musiała przynieść z piekarni kolejną partię pieczywa.

Widok mojego kolegi siedzącego na stołku przy kasie zrobił na mnie duże wrażenie. Nagle wyobraziłem sobie nas starszych o dwadzieścia lat, ubranych jak dorośli. On był piekarzem, ja przygodnym klientem...

Mama wciąż mi powtarza, że mam nieokiełznaną wyobraźnię. Przymknąłem oczy i, o dziwo, ujrzałem siebie

wchodzącego do tej piekarni. Miałem krótką bródkę, a w ręku trzymałem niewielką torbę. Może w przyszłości zostanę lekarzem albo księgowym, bo księgowi też noszą takie torby. Podszedłem do wystawy i poprosiłem o kawową eklerkę. Dopiero wtedy poznałem starego szkolnego kolegę. Nie widziałem go od lat, więc padliśmy sobie w ramiona, a potem, wspominając dawne czasy, siedzieliśmy razem przy eklerkach i bułeczkach z czekoladą.

Mam wrażenie, że właśnie w tej piekarni, patrząc na Luca bawiącego się w kasjera, po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że dorosnę i kiedyś się zestarzeję. Nie wiem dlaczego, ale także po raz pierwszy nie chciałem utracić dzieciństwa, nie chciałem rozstać się z tym ciałem, które dotąd wydawało mi się za małe. Czuję się naprawdę dziwnie, odkąd zwędziłem cień Marquésa, to musiały być jakieś skutki uboczne tego niesamowitego zjawiska, ale ta myśl wcale mnie nie uspokajała.

Kiedy matka Luca wróciła z zaplecza z pojemnikiem pełnym gorących, smakowicie pachnących bułeczek, Luc powiedział jej, że nie pojawił się żaden klient. Westchnęła, wzruszyła ramionami, ułożyła pieczywo na półce i zapytała, czy mamy coś zadane na jutro. Obiecałem mamie, że odrobię lekcje przed jej powrotem, więc jeszcze raz podziękowałem Lucowi i jego matce i poszedłem do domu.

Na skrzyżowaniu położyłem na murku kanapkę z nutellą, żeby ptaki miały podwieczorek. Nie byłem już głodny, a nie chciałem urazić mamy, która mogłaby pomyśleć, że jej kanapka nie była tak smaczna jak ciastka pani Shakespeare.

Cień przede mną stał się jeszcze dłuższy. Przemykałem tuż pod ścianami domów, bojąc się spotkać któregoś z kolegów.

Po powrocie do domu pobiegłem do ogrodu, żeby dokładnie zbadać tajemnicze zjawisko cienia. Tata mówi, że

trzeba nauczyć się stawiać czoło strachowi, że trzeba konfrontować lęki z rzeczywistością, żeby stać się dorosłym. Właśnie to próbowałem teraz zrobić.

Niektórzy godzinami stoją przed lustrem, mając nadzieję, że ujrzą w nim odbicie twarzy, która nie jest ich twarzą, ja przez całe popołudnie bawiłem się ze swoim nowym cieniem i ku memu ogromnemu zaskoczeniu poczułem się jak nowo narodzony. Po raz pierwszy, choć w negatywie widocznym na ziemi, zobaczyłem coś, co pozwoliło mi poczuć się kimś innym. Kiedy słońce skryło się za wzgórzami, ogarnęło mnie poczucie samotności, niemal smutku.

Po szybkiej kolacji, ponieważ odrobiłem już lekcje, a mama oglądała ulubiony serial, stwierdziwszy, że zmywanie może poczekać, wymknąłem się niepostrzeżenie na strych. Wpadłem na pewien pomysł. Na górze, pod stropem, było duże, okrągłe jak księżyc w pełni okno. A księżyc na niebie też był w pełni. Musiałem za wszelką cenę wyjaśnić to, co mi się przytrafiło. W końcu wchodzenie na czyjś cień i zabieranie go ze sobą to nie błahostka. Ponieważ mama wciąż mówiła, że mam zbyt bujną wyobraźnię, postanowiłem sprawdzić to w spokoju, a jedynym miejscem, gdzie miałem kompletny spokój, był strych.

Na górze był mój świat. Ojciec nigdy tam nie zaglądał, strop był za niski, ojciec wciąż nabijał sobie tam guzy, a wtedy mówił różne paskudne słowa, jak „kurwa”, „cholera”, „co za burdel”. Czasami wyrzucał ich z siebie istną lawiną. Gdybym ja użył choćby jednego z nich, nieźle by mi się oberwało, ale dorośli mają prawo robić masę rzeczy, których nam zabraniają. Krótko mówiąc, kiedy podrosłem na tyle, żeby samodzielnie wchodzić na strych, ojciec zawsze mnie tam posyłał, a ja cieszyłem się, że mogę mu być pomocny właśnie w ten sposób.

Całkiem szczerze: początkowo strych budził we mnie strach, bo panował tam półmrok, ale później wszystko się zmieniło. Uwielbiałem chodzić między skrzyniami i starymi tekturowymi pudłami.

W jednym z nich znalazłem całą kolekcję zdjęć mamy z czasów, kiedy była jeszcze bardzo młoda. Mama wciąż jest ładna, ale wtedy była po prostu śliczna. Było także pudełko ze zdjęciami ze ślubu rodziców. Wyglądali wtedy na takich zakochanych!

Patrząc na nich, zadawałem sobie pytanie, co się stało, jak cała ta miłość mogła zniknąć? A przede wszystkim, dokąd odeszła? Może miłość jest jak cień – ktoś ją depta i zabiera ze sobą. Może nadmiar światła jest groźny dla miłości, a może odwrotnie – bez światła miłość gaśnie i w końcu znika. Ukradłem zdjęcie z albumu leżącego na strychu – tata trzymał na nim mamę za rękę, oboje stali na schodach przed merostwem. Mama miała już lekko zaokrąglony brzuch, a więc i ja w pewnym sensie byłem tam z nimi. Rodziców otaczali wujowie i ciotki, kuzyni i kuzynki, których nie znałem, i wydawało mi się, że wszyscy doskonale się bawią. Może ja też kiedyś się ożenię z Élisabeth, jeżeli się zgodzi, jeżeli podrosnę o kilka centymetrów, no, przynajmniej o trzydzieści.

Na strychu leżały też popsute zabawki – wszystkie te, których nie byłem w stanie naprawić po dokładnym zbadaniu, jak zostały skonstruowane. Krótko mówiąc, w całym tym bałaganie rodziców czułem się jak w innym świecie, świecie na moją miarę. Mój świat znajdował się w tym domu, ale pod samym dachem.

Stałem przy oknie i wyprostowałem się, patrząc, jak księżyc wędruje po niebie. Była pełnia, szeroka smuga światła padała na deski podłogi na strychu. Widać było nawet drobinki

kurzu wirujące w powietrzu, chyba właśnie dlatego to miejsce wydawało się tak spokojne, tak bezpieczne. Tego wieczoru, przed powrotem mamy, poszedłem do dawnego gabinetu taty, żeby poszukać wszystkiego, co mógłbym przeczytać o cieniach. Definicja encyklopedyczna była dość skomplikowana, ale dzięki ilustracjom dowiedziałem się sporo o tym, jak je robić, przesuwać i kierunkować. Mój pomysł miał się zrealizować, kiedy księżyc ustawi się pod odpowiednim kątem. Czekałem na tę chwilę z niecierpliwością i nadzieją, że stanie się to przed końcem serialu mamy.

Wreszcie wydarzyło się to, na co czekałem. Wprost przed sobą ujrzałem wyciągający się na deskach cień. Odkaszlnąłem, zdobyłem się na odwagę i głośno powiedziałem to, czego byłem już pewien:

– Nie jesteś moim cieniem!

Nie jestem szalony i daję słowo, że piekielnie się wystraszyłem, kiedy usłyszałem, że cień odpowiada mi szeptem:

– Wiem o tym.

Zapadła grobowa cisza. Po chwili podjąłem, chociaż zaschło mi w ustach i ścisnęło mnie w gardle.

– Jesteś cieniem Marquésa, prawda?

– Tak – szepnął mi do ucha.

Kiedy cień mówi do człowieka, brzmi to jak muzyka w głowie – nie ma tego, kto gra, a jednak dźwięk słyszy się tak wyraźnie, tak realnie, jakby tuż obok grała orkiestra z krainy wyobraźni. Ma się właśnie takie wrażenie.

– Błagam cię, nikomu o tym nie mów – szepnął znowu cień.

– Co ty tu właściwie robisz? Dlaczego ja? – zapytałem z niepokojem.

– Uciekłem, nie domyśliłeś się?

– Ale dlaczego uciekłeś?

– Wiesz, jak to jest być cieniem idioty? To nie do wytrzymania, dłużej już nie mogłem. Nawet kiedy był mały, przechodziłem katusze, ale im robił się starszy, tym trudniej było go znieść. Inne cienie, zwłaszcza twój, wciąż się ze mnie nabijały. Gdybyś wiedział, ile szczęścia ma twój cień, gdybyś wiedział, jaki jest dla mnie paskudny! A wszystko dlatego, że ty jesteś inny.

– Jestem inny?

– Zapomnij o tym, co ci powiedziałem. Inne cienie twierdzą, że nie mamy wyboru, że można być cieniem tylko jednej osoby i że zostaje się nim raz na zawsze. Człowiek musi się zmienić, żeby mógł się poprawić nasz los. Dobrze wiem, że przy Marquésie nie czeka mnie, łagodnie mówiąc, świetlana przyszłość. Wyobrażasz sobie, jaki byłem zdumiony, kiedy poczułem, że mogę się od niego oderwać? To było wtedy, kiedy przy nim stanąłeś. Masz niezwykłą moc, więc nie zastanawiałem się długo, wiedziałem, że jeśli nie ucieknę teraz, nigdy nie nadarzy się kolejna okazja. Wykorzystałem fakt, że jestem taki duży, ale jako cień Marquésa mam sporo na swoje usprawiedliwienie. Odepchnąłem twój cień i zająłem jego miejsce.

– I co zrobiłeś z moim cieniem?

– A jak sądzisz? Musiał się do czegoś przyczepić, więc poszedł z moim dawnym właścicielem. Pewnie marnie teraz wygląda.

– Obrzydliwie obszedłeś się z moim cieniem. Jutro oddam cię Marquésowi i zabiorę mój cień.

– Proszę, pozwól mi zostać! Chciałbym się dowiedzieć, jak to jest być cieniem porządnego człowieka.

– A ja jestem porządnym człowiekiem?

– Możesz nim zostać.

– Nie, nie mogę cię zatrzymać, ludzie w końcu zauważą, że coś jest nie w porządku.

– Ludzie nie zwracają uwagi nawet na innych ludzi, a co dopiero na jakieś cienie... A poza tym z natury trzymam się w cieniu. Przy odrobinie dobrej woli i wprawy jakoś sobie poradzimy.

– Przecież jesteś co najmniej trzy razy większy ode mnie.

– Nie zawsze tak będzie, to tylko kwestia czasu.

Powiedzmy, że dopóki nie urośniesz, ty też będziesz musiał trzymać się troszeczkę w cieniu, za to kiedy urośniesz, poprowadzę cię ku światłu. Zastanów się, to niesamowita zaleta mieć cień dużego. Gdyby nie ja, na pewno nie stanąłbyś do wyborów na gospodarza klasy. Jak myślisz, skąd tak nagle zyskałeś pewność siebie?

– To ty mi ją dałeś?

– A któżby inny? – potwierdził pytaniem.

Nagle spod drabiny prowadzącej na strych dobiegł mnie głos matki. Pytała, z kim rozmawiam. Bez chwili namysłu odpowiedziałem, że ze swoim cieniem. Oczywiście natychmiast usłyszałem, że stanowczo powinienem już iść spać, bo potwornie bredzę. Dorośli nigdy nie wierzą w to, co mówi się im z pełną powagą i zaufaniem.

Cień wzruszył ramionami i miałem wrażenie, że mnie rozumiał. Odszedłem od okna i zniknął.



Tej nocy miałem naprawdę osobliwy sen. Szedłem na polowanie z ojcem i chociaż nie lubię polowań, cieszyłem się, że znów jest ze mną. Szedłem za nim, ale on wcale się nie odwracał i nie widziałem jego twarzy. Perspektywa zabijania

zwierząt nie wydawała mi się przyjemna.

Ojciec wysyłał mnie jako zwiadowcę na bezkresne łąki porośnięte wysoką, pożółkłą w słońcu trawą, która łagodnie kołysała się na wietrze. Musiałem iść, klaszcząc w dłonie, żeby turkawki podrywały się do lotu, a on strzelał do nich, kiedy były już dość wysoko. Chcąc zapobiec tej rzezi, szedłem najwolniej, jak mogłem. Kiedy pozwalałem królikowi przemknąć między nogami, ojciec nazywał mnie niedorajdą, mówił, że nadaję się wyłącznie do płoszenia zwierzyny, na którą się nie poluje. Kiedy to usłyszałem we śnie, zrozumiałem, że człowiek w dali nie jest moim tatą, ale ojcem Marquésa. Znalazłem się na miejscu mojego wroga i to wcale nie było przyjemne.

Oczywiście, byłem większy i czułem się silniejszy niż zwykle, ale przytłaczał mnie głęboki smutek, jakbym popadł w przygnębienie.

Po polowaniu wróciliśmy do domu, który był dla mnie obcy. Usiadłem przy stole nakrytym do kolacji. Ojciec Marquésa czytał gazetę, matka oglądała telewizję, nikt z nikim nie rozmawiał. U nas przy stole zawsze rozmawialiśmy. Kiedy tata był w domu, pytał mnie, jak minął dzień, a od jego odejścia robiła to mama. Ale rodziców Marquésa wcale nie obchodziło, czy odrobił już lekcje. Mogłoby mi się to spodobać, jednak stało się inaczej – i zrozumiałem, skąd bierze się mój smutek. Chociaż Marqués był moim wrogiem, było mi smutno z jego powodu, z powodu obojętności, jaka panowała w jego domu.



Kiedy zadzwonił budzik, byłem spocony jak mysz. Oddychałem szybko i czułem się rozpalony jak w gorączce, jednak ulżyło mi, bo już wiedziałem, że to był tylko koszmarny sen. Wstrząsnął mną silny dreszcz i wszystko wróciło do normy.

Tego ranka widok ścian mojego pokoju był wystarczającym powodem do szczęścia. Myjąc się i ubierając, zastanawiałem się, czy powinienem powiedzieć mamie, co mi się przydarzyło. Chciałbym podzielić się z nią tym sekretem, ale z góry wiedziałem, jak zareaguje.

Kiedy tylko zszedłem do kuchni, podbiegłem do okna. Niebo było pochmurne, bez śladu błękitu aż po horyzont. W takie dni tata mówił, że nie ma z czego uszyć nawet portek dla marynarza, i z żalem rezygnował z wyprawy na ryby. Chwyciłem pilota i włączyłem telewizor.

Mama nie mogła zrozumieć tego nagłego zainteresowania pogodą. Wyjaśniłem jej, że przygotowuję referat na temat ocieplenia klimatu, i poprosiłem, żeby pozwoliła mi w spokoju wysłuchać do końca pani zapowiadającej nadejście frontu atmosferycznego związanego ze strefą niskiego ciśnienia, który miał na długie dni zagościć w naszym regionie. Przy takich chmurach nie miałem szansy zobaczyć cieni, a więc nie mogłem oddać Marquésowi tego, co mu zabrałem. Chwyciłem teczkę i z ciężkim sercem poszedłem do szkoły.



Luc spędzał wszystkie przerwy, siedząc na ławce. Z gipsem i kulą niewiele zresztą mógł robić. Przysiadłem się do niego, a on pokazał mi palcem Marquésa. Ten wielki głupek podawał rękę wszystkim kolegom z klasy i udawał, że przysłuchuje się rozmowom dziewcząt.

– Pomóż mi się przejść, potwornie zdrętwiała mi noga.

Podaliśmy mu rękę i poszliśmy zrobić parę kroków. Tego dnia szczęście uśmiechało się do mnie, bo kiedy zbliżaliśmy się do Marquésa, na niebie pojawiła się mała szczelina w pokrywie chmur. Błyskawicznie zwróciłem oczy na ziemię

i ujrzałem tam istny rój: cienie tłoczyły się jak przed soborem – nauczyliśmy się tego słowa na lekcji historii, tuż przed przerwą. Marques odwrócił się do nas i rzucił wymowne spojrzenie – nie byliśmy tu mile widziani. Luc wzruszył ramionami.

– Chodź, musimy pogadać. Zbliżają się wybory – powiedział, podpierając się kulą. – Przypominam ci, że głosowanie jest w piątek i najwyższy czas, żebyś postarał się zdobyć trochę zwolenników.

Słowa Luca zabrzmiały bardzo dorośle. Gdy patrzyłem, jak utyka, lekko przygarbiony, znów pogrążyłem się w dziwnym śnie na jawie. I tym razem zobaczyłem nas obu, o wiele starszych, niż byliśmy, jeszcze starszych niż poprzednio, w piekarni. Można by pomyśleć, że ta przyjaźń miała przetrwać do końca życia. Luc był już prawie łysy, z czołem sięgającym czubka głowy. Miał zmarszczki i zwiotczałą skórę, ale w jego niebieskich oczach wciąż płonął ten sam ogień i to dodawało mi otuchy.

– Co chciałbyś robić w przyszłości? – zapytałem.

– Nie wiem, ale chyba nie muszę natychmiast podejmować decyzji?

– Raczej nie, nie sędzę. Ale gdybyś miał wybrać teraz, to co chciałbyś robić?

– Podejrzewam, że przejąć piekarnię rodziców.

– A gdybyś mógł dokonać innego wyboru?

– Chciałbym być lekarzem, jak pan Chabrol, ale nie wierzę, żeby to było możliwe. Mama mówi, że jak tak dalej pójdzie, to niedługo nie będziemy mieli nawet tylu klientów, żeby utrzymać piekarnię. Odkąd supermarkety handlują pieczywem, rodzice ledwo wiążą koniec z końcem, więc domyślam się, że nie będą w stanie opłacać moich studiów medycznych!

Wiedziałem, że Luc nie zostanie lekarzem, wiedziałem

o tym bardzo dokładnie, odkąd jedliśmy razem bułeczki z czekoladą i eklerki, odkąd zobaczyłem go siedzącego przy kasie. Luc miał zostać w naszym miasteczku, jego rodziny nie stać na utrzymywanie go przez długie lata kosztownych studiów.

Z jednej strony była to dobra wiadomość, oznaczała bowiem, że piekarnia przetrwa wojnę z supermarketami, z drugiej jednak zła, bo Luc nigdy nie będzie lekarzem. Nie chciałem mu o tym mówić, domyślałem się, że sprawiłbym mu przykrość, może nawet zniechęciłby się do nauki, a przecież z nauk przyrodniczych był najlepszy. Dlatego milczałem, zachowując sekret dla siebie. Musiałem uważać, w co wtykam nos, stale mieć się na baczności. Nawet w pochmurne dni zdarzają się słoneczne chwile. Nie zawsze uszczęśliwia nas wiedza o tym, jaka przyszłość czeka ludzi, których lubimy.

– Co zamierzasz zrobić w związku z wyborami?

Nurtowało mnie zupełnie inne pytanie.

– Luc, gdybyś mógł odgadnąć, co myślą ludzie albo dlaczego są nieszczęśliwi, to co byś zrobił?

– Skąd przychodzą ci do głowy takie pomysły? Przecież nikt nie ma takiej mocy.

– Wiem o tym, ale gdyby to było możliwe, to jak byś użył swego daru?

– Nie mam pojęcia, taka moc nie jest wcale zabawna, chyba bałbym się, że czyjeś nieszczęście wpłynie źle i na mnie.

– I tylko tyle? Nic byś nie zrobił, po prostu byś się bał?

– Pod koniec miesiąca, kiedy rodzice robią w piekarni dokładny remanent, widzę, że są niespokojni, ale nie mogę nic na to poradzić i to bardzo mnie martwi. Gdybym miał odczuwać nieszczęścia poszczególnych osób, byłoby okropnie.

– A gdybyś mógł zmieniać bieg wydarzeń?

– Podejrzewam, że robiłbym to. Prawdę mówiąc, sama myśl o takiej mocy psuje mi humor, więc zajmijmy się wreszcie wyborami i zastanówmy się, co zrobić.

– Luc, gdybyś został kiedyś merem miasteczka, cieszyłbyś się?

Luc oparł się o mur szkoły, żeby trochę odetchnąć. Baczenie mi się przypatrywał, a na jego smutnej dotąd twarzy rozkwitł wreszcie uśmiech.

– Podejrzewam, że to by było fajne. Rodzice byliby zadowoleni, a ja mógłbym wprowadzić prawo zakazujące supermarketom handlu pieczywem. Przypuszczam, że zabroniłbym też prowadzenia działu z artykułami wędkarskimi, bo najlepszy kolega mojego ojca handluje na rynku i on też ma problemy, odkąd supermarket robi mu konkurencję.

– Mógłbyś nawet zaproponować wprowadzenie zakazu otwierania supermarketów.

– Myślę, że kiedy już zostanę merem miasta – powiedział Luc, klepiąc mnie po plecach – zrobię cię ministrem handlu.

Pomyślałem, że po powrocie do domu muszę zapytać mamę, czy merowie mają ministrów, bo nie byłem tego pewien, a chętnie zostałbym ministrem Luca.

Idąc korytarzem do klasy, miałem nadzieję, że w chwili przejaśnienia wszystko wróciło do dawnego stanu i cień Marquésa jest znów przy jego właścicielu. Modliłem się, żeby w słonecznej chwili zobaczyć u stóp własny cień, i choć może się to wydawać dziwne, było mi trochę wstyd, że tak myślałem.



Właśnie zaczęła się lekcja matematyki, kiedy na dziedzińcu rozległ się potężny huk. Szyby wyleciały z okien, odłamki szkła rozprysnęły się po sali, a nauczyciel krzyknął, żebyśmy padli na

podłogę. Nie musiał nam tego powtarzać.

Potem zapadła grobowa cisza. Pan Gerbier wstał pierwszy i zapytał, czy ktoś jest ranny. Wyglądał na przerażonego. Poza kilkoma odłamkami szkła we włosach i dwiema szlochającymi nie wiedzieć czemu dziewczynami nic wielkiego się nie stało, jeśli pominąć rozdziawione okna i poprzewracane ławki. Nauczyciel kazał nam ustawić się w szeregu i szybko wyprowadził nas z klasy. Wyszedł jako ostatni, ale na korytarzu przeszedł na początek. Nie wiem, czy nauczyciele ćwiczyli postępowanie w takich sytuacjach, ale wszystkie klasy robiły to, co my, i na korytarzu zebrał się niesamowity tłum. Prawie wszystkie okna w szkole były bez szyb, a za składzikiem woźnego wznosił się słup dymu.

– O Boże, to zbiornik z gazem! – krzyknął pan Gerbier.

Nie rozumiałem, co Bóg może mieć z tym wspólnego, o ile oczywiście nie zabawiał się jakąś olbrzymią zapalniczką i nie spaprał czegoś przy okazji. Poza tym, pamiętając, co mówią nam o paleniu papierosów, nie bardzo wyobrażałem sobie Boga z petem w ustach, ale w końcu nigdy nic nie wiadomo, może jego płucom nie szkodził dym tytoniowy, bo przecież Bóg i tak był już w niebie. Tak czy inaczej słup dymu wciąż się wznosił, właśnie pod niebo, ale to musiał być zwyczajny zbieg okoliczności.

Pani dyrektor była kompletnie roztrzęsiona, kazała nauczycielom po raz trzeci policzyć uczniów w klasach i wciąż biegała w kółko, powtarzając: „Czy na pewno wszyscy tu są?”. A potem przyszło jej na myśl czyjeś imię, wykrzyknęła: „Mathieu, mały Mathieu, gdzie on się podział? A, tu jest”. I po chwili myślała już o kimś innym. Na szczęście ja nie przyszedłem jej na myśl, wcale nie chciałem, żeby akurat w ogniu walki wyborczej przypomniała, że jestem mały.

W miejscu wybuchu rozpętało się piekło. Słyszeliśmy huk płomieni, które buchały coraz wyżej za składzikiem woźnego, widzieliśmy nawet ich cienie tańczące po dachu. A ja widziałem przed sobą cień Yves'a, jakby przyszedł po mnie. Widziałem, jak się zbliża, i wiedziałem, że mnie szuka, czułem to każdą cząstką ciała. Pani dyrektor i nauczyciele byli zbyt zajęci przeliczaniem uczniów, żeby zwracać na mnie uwagę, więc ruszyłem w stronę składziku, do którego ciągnął mnie cień.

W dali słyhać już było wycie syren, ale strażacy byli jeszcze daleko. Cień Yves'a wciąż mnie prowadził, kierował ku słupowi dymu, robiło się coraz goręcej, a ja pokonywałem tę niewielką odległość z coraz większym trudem. Musiałem tam iść, chyba zrozumiałem, dlaczego cień po mnie przyszedł.

Prawie dotarłem do składziku, kiedy płomienie dosięgły dachu. Bałem się, a mimo to wciąż szedłem. Nagle usłyszałem głos pani Schaeffer. Wykrzykiwała moje imię. Biegła za mną. A pani Schaeffer nie biegła zbyt szybko. Krzyczała, żebym natychmiast wracał. Chciałem być jej posłuszny, ale nie mogłem – szedłem dalej tam, gdzie prowadził mnie cień.

Przed składzikiem żar stał się nieznośny. Już dotykałem klamki, kiedy ręka pani Schaeffer chwyciła mnie za ramię i pociągnęła w tył. Nauczycielka obrzuciła mnie piorunującym spojrzeniem, co w końcu pasowało do całej sytuacji, ale ja zaparłem się i nie chciałem się ruszyć. Wpatrywałem się w drzwi i kręciłem głową, nie mogąc oderwać od nich oczu. Pani Schaeffer złapała mnie za rękę, krzyczała i ciągnęła, ale wyrwałem się jej i zaraz znów znalazłem się pod drzwiami. Kiedy poczułem, że pani Schaeffer znowu jest tuż za mną, powiedziałem, co mi leży na sercu, wyrzuciłem to z siebie jednym tchem.

– Trzeba ratować woźnego! Nie ma go na dziedzińcu, jest

w składziku, udusi się tam.

Te słowa były dla pani Schaeffer jak grom z jasnego nieba. Kazała mi się cofnąć, a widząc, co zrobiła potem, kompletnie zbaraniałem. Pani Schaeffer była raczej drobną kobietą, przeciwieństwem matki Luca, ale kiedy kopnęła drzwi, zamek nie oparł się jej. Pani Schaeffer sama weszła do składziku, a po dwóch minutach wróciła, ciągnąc Yves'a za ramiona. Pomogłem jej trochę, a potem pojawił się nauczyciel WF i zajął moje miejsce, a dyrektorka chwyciła mnie za pasek przy spodniach i siłą zaciągnęła na boisko.

Przyjechali strażacy. Ugasili pożar, a potem zabrali Yves'a do szpitala, uspokoiwszy nas co do jego stanu.

Pani dyrektor była naprawdę dziwna – wciąż na mnie krzyczała i równocześnie płakała, tuląc mnie z całej siły i powtarzając, że uratowałem Yves'a, że nikt oprócz mnie o nim nie pomyślał i że nigdy by sobie tego nie darowała. Słowem – kobiecina nie mogła się zdecydować.

Dowódca strażaków podszedł do mnie. Tylko do mnie.

Kazał mi zakasłać, obejrzał moje powieki, kazał otworzyć usta, badał mnie od stóp do głów. Potem poklepał mnie po plecach i powiedział, że jeśli kiedyś, kiedy już będę dorosły, zechcę wstąpić do straży pożarnej, z radością przyjmie mnie do brygady.

Teraz miałem okazję przekonać się, że nie tylko mama miała gorącą linię z panią dyrektor, bo zobaczyłem, jak z wieloma innymi matkami i ojcami, kompletnie spanikowanymi, weszła na szkolny dziedziniec.

Wróciliśmy do domu – dziś nie było już lekcji.

W następny piątek wygrałem wybory i zostałem gospodarzem klasy. Uzyskałem prawie stuprocentowe poparcie, bo tylko jeden głos padł na Marquésa. Ten dupek głosował na

siebie!



Po podliczeniu głosów spotkałem się z Lukiem. Nie powiedział ani słowa, tylko się uśmiechnął. Rano zdjęto mu gips, więc pokazał mi zdrową już nogę – była znacznie szczuplejsza od drugiej.



Tydzień po wybuchu zbiornika Yves wrócił do szkoły. Wyglądał zupełnie normalnie, tylko bandaż na czole upodabniał go do pirata. Było mu w nim nawet do twarzy, jakby dotąd brakowało tego podkreślającego osobowość elementu. Nie wiedziałem, czy powinienem mu to powiedzieć, więc uznałem, że zaczekam – może kiedyś nadarzy się okazja do rozmowy o piratach.

W porze obiadowej wyszedłem ze stołówki wcześniej niż inni, bo nie byłem głodny. Zobaczyłem Yves'a na drugim końcu dziedzińca – patrzył na zgliszcza składziku. Pochylił się nad stosem zwęglonych desek i unosił je ostrożnie, jakby czegoś szukał. Podeszedłem do niego, ale powiedział, nie odwracając nawet głowy:

– Nie zbliżaj się, to niebezpieczne, łatwo się tu zranić.

Wcale nie wydawało mi się to aż tak niebezpieczne, jednak nie chciałem mu się sprzeciwiać. Zatrzymałem się nieco z tyłu i doskonale wiedział, że jestem tuż obok, choć początkowo zachowywał się, jakby mnie nie zauważał. Zastanawiałem się, czego tam szuka, bo naprawdę z pogorzelniska niczego nie można już było ocalić. W pewnej chwili podniósł coś kwadratowego i mocno nadpalonego. Położył sobie to coś na kolanach i zobaczyłem, że cały drży. Wydawało mi się, że

placze, i to wprawilo mnie w rozpacz czarna jak zwęglone deski ze skladziku.

– Mówilem, zebyś stąd poszedł!

Nawet nie drgnąłem. Był tak zdesperowany, że jego krzyki i próby pozbycia się mnie nie mogły być szczerze. Czułem, że w tej chwili nie wolno zostawiać go samego. Chyba po to są przyjaciele, prawda? Umieją rozpoznać, kiedy przyjaciel mówi coś zupełnie innego, niż naprawdę myśli.

Yves odwrócił się do mnie. Miał zaczerwienione oczy. Łzy spływały mu po policzkach jak farba po mokrym obrazie. W rękach trzymał stary, spalony zeszyt.

– Tu było całe życie. Zdjęcia, jedyny list, jaki dostałem od matki, i wiele, wiele innych pamiątek, wklejonych do zeszytu. A został tylko popiół.

Yves próbował otworzyć zeszyt, ale okładka rozpadła mu się w palcach. Pomyślałem, że słusznie postąpiłem, zostając przy nim.

– Ale pana głowa się nie spaliła, wspomnienia nie przepadły, wystarczy je przywołać. Można nawet znowu spisać ten list od mamy, a może i narysować to, co było na zdjęciach.

Yves uśmiechnął się, chociaż nie rozumiałem, co w tym zabawnego, ale i tak byłem zadowolony, że nie jest już tak potwornie smutny.

– Wiem, że to ty podniosłeś alarm – powiedział, prostując się. – Kiedy zbiornik wybuchł, wbiegłem do skladziku, zeby ocalić, co się tylko da. Jeszcze nie było ognia, tylko gęsty dym, który wszędzie się wciskał. Nie wytrzymałem w tym piekle nawet pięciu minut. Oczy piekły mnie tak, że nie mogłem ich otworzyć, nie widziałem nawet klamki u drzwi. Brakowało mi powietrza, wpadłem w panikę, nie potrafiłem wstrzymać oddechu i w końcu straciłem przytomność.

Po raz pierwszy ktoś opowiadał mi o tym, co widział w sercu pożaru. Wyobrażanie sobie tego było niesamowicie pasjonujące.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – zapytał Yves.

Jego oczy znów stały się tak smutne, że nie miałem sumienia go okłamywać.

– Czy ten zeszyt był dla pana aż tak ważny?

– Pewnie tak, skoro ryzykowałem dla niego życie. Jestem ci winien serdeczne podziękowania i przeprosiny. Wtedy, na ławce, kiedy zacząłeś mówić o moim ojcu, pomyślałem, że zakradłeś się do składziku i szperałeś w moich rzeczach. Nigdy nie opowiadałem nikomu o moim dzieciństwie.

– Nie miałem pojęcia, że taki zeszyt istnieje.

– Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie: skąd wiedziałeś, że duszę się w tej szopie?

Co właściwie mogłem mu powiedzieć? Że przyszedł po mnie jego cień? Że w całym tym chaosie prześlizgnął się między innymi cieniami po betonowym dziedzińcu, żeby do mnie dotrzeć? Że widziałem w blasku płomieni, jak daje mi znaki, błagając, żebym za nim szedł? Który dorosły byłby w stanie mi uwierzyć?

W poprzedniej szkole kolega skazał się na rok sesji psychologicznych, ponieważ powiedział prawdę. W środowe popołudnia, kiedy my graliśmy w siatkówkę albo szliśmy na basen, on siedział w poczekalni, żeby potem przez godzinę opowiadać o swoim życiu „jakiejś babie, która pomrukiwała »uhm, uhm«, miło się uśmiechając”. A wszystko dlatego, że w którąś sobotę, w porze obiadowej, dziadek na jego oczach zasnął, spadł z krzesła i już nigdy nie obudził się z tej drzemki. Żeby przeprosić za to zachowanie, dziadunio kolegi składał mu nocne wizyty i kontynuował tę rozmowę, którą tak

nieoczekiwanie przerwał, zapadając w kuchni w sen wieczny. Wnukowi nikt nie chciał wierzyć, a kiedy rano opowiadał, że w nocy widział dziadka, dorośli spoglądali na niego skonsternowani. Tylko pomyślcie, co by mnie spotkało, gdybym zaczął opowiadać o drobnych problemach z cieniami. Gdyby miało mnie to zaprowadzić do gabinetu psychologa, a jeszcze przedtem zmusić do długich wynurzeń, to lepiej było od razu wziąć na siebie winę, choćbym miał powiedzieć Yves'owi, że przeczytałem jego zeszyt, a pewnych fragmentów zdążyłem się nawet nauczyć na pamięć.

Yves nie spuszczał mnie z oczu, dyskretnie zerknąłem więc na szkolny zegar – do dzwonka zostało jeszcze ponad dwadzieścia minut.

– Zauważyłem, że nie ma pana na dziedzińcu, i zaniepokoiłem się.

Yves patrzył na mnie bez słowa. W pewnej chwili złapał go kaszel. Potem podszedł do mnie i zapytał szeptem:

– Mogę powierzyć ci tajemnicę?

Skinąłem głową.

– Jeżeli kiedyś będzie ci ciężko na sercu, jeżeli zdarzy się coś, o czym nie będziesz miał odwagi rozmawiać, pamiętaj, że możesz przyjść z tym do mnie, nie zdradzę cię. A teraz zmykaj już do kolegów.

O mało się nie wygadałem i podejrzewam, że rozmowa z kimś dorosłym przyniosłaby mi ulgę, a Yves zasługiwał na zaufanie. Postanowiłem przemyśleć jego propozycję wieczorem, już w łóżku, i gdyby rano nadal wydawała mi się kusząca, powiedzieć mu prawdę.

Wróciłem do Luca. Po raz pierwszy od zdjęcia gipsu grał dziś w piłkę nożną, ale jego technika była jeszcze tak kiepska, że potrzebował wsparcia partnera.



Od wybuchu zbiornika nie było ani jednego słonecznego dnia. W szkole wprawiono szyby, jednak w klasach panował dokuczliwy chłód, więc siedzieliśmy w kurtkach. Pani Schaeffer prowadziła lekcje w czapce na głowie, dzięki czemu angielski był o wiele ciekawszy – pompon podrygiwał przy każdym wypowiedzianym przez nią słowie. Obaj z Lukiem zagryzaliśmy usta, żeby nie parsknąć śmiechem. Zanim zakład ubezpieczeniowy zrozumie, co się wydarzyło, i da dyrektorze pieniądze na zakup nowego zbiornika na gaz, może minąć zima. Ale dopóki pani Schaeffer miała czapczkę z pomponem, właściwie nam to nie przeszkadzało.

Moje relacje z Marquésem wciąż były lodowate. Zawsze kiedy nauczyciel wysyłał mnie do sekretariatu po dziennik, którego przynoszenie należało do obowiązków gospodarza klasy, czułem za plecami świszczące strzałki. Odkąd odwiedziłem w wyobraźni jego dom, o nic już nie miałem do niego pretensji, a jego wybryki były mi zupełnie obojętne. Mama powiedziała mi, że w sobotę rano przyjedzie po mnie tata i spędzę razem z nim cały dzień, więc myślałem tylko o tym. Bardzo mnie to cieszyło, chociaż martwiłem się o mamę. Wciąż się zastanawiałem, czy nie będzie jej przykro, że została sama, i czułem się trochę winny, że ją zostawię.

Mama chyba też potrafi czytać w zasmucających myślach, w każdym razie w moich, bo tego wieczoru weszła do mojego pokoju, gdy gasiłem światło, usiadła na łóżku i dokładnie opowiedziała mi, co zamierza robić, kiedy ja będę z ojcem. Skorzysta z mojej nieobecności i wybierze się do fryzjera. Mówiąc to, wyglądała na zachwyconą, co mnie dziwiło, bo dla mnie wizyty u fryzjera były raczej karą.

Skoro mama rozproszyła moje obawy, z każdym kolejnym dniem coraz trudniej było mi się skupić na nauce. Wciąż myślałem o tym, co będziemy robili, kiedy spotkamy się z ojcem. Może zabierze mnie na pizzę, jak wtedy, kiedy mieszkał jeszcze z nami. Musiałem wziąć się w garść, bo był dopiero czwartek, a nie mogłem sobie zarobić na sobotnią kozę.

W piątek godziny dziwacznie się wydłużyły, jakby miały więcej minut niż zwykle. Trochę jak przy przechodzeniu z czasu letniego na zimowy, kiedy dzień zyskuje dodatkową godzinę. W ten piątek taka zmiana czasu powtarzała się co sześćdziesiąt minut. Wskazówka zegara nad czarną tablicą przesuwiała się bardzo wolno, tak wolno, że byłem pewien, iż Bóg nas oszukał i poranna przerwa powinna być popołudniową. Nie miałem cienia wątpliwości – wpadliśmy w pułapkę.



Mama mogłaby potwierdzić, że odrobiłem lekcje, a potem grzecznie umyłem zęby i położyłem się o godzinę wcześniej niż zwykle. Chciałem w sobotę być wypoczęty, chociaż zdawałem sobie sprawę, że trudno mi będzie zasnąć. Wbrew tym obawom zasnąłem dość szybko, ale obudziłem się o godzinę wcześniej niż co dzień.

Wstałem po cichutku, umyłem się i na palcach zszedłem do kuchni przygotować śniadanie dla mamy. W ten sposób chciałem ją przeprosić, że zostawiam ją samą na cały dzień. Potem wróciłem na górę, żeby się ubrać. Włożyłem flanelowe spodnie i białą koszulę, w której poszedłem towarzyszyć dziadkowi kolegi w drodze do grobu, gdzie miał spokojnie kontynuować sjęstę, nieniekokojony przez nikogo. Cmentarze są takie spokojne.

Od zeszłego roku urosłem o kilka centymetrów – niewiele,

ale spodnie ledwie sięgały mi kostek.

Próbowałem założyć krawat, który kupił mi tata – mój pierwszy krawat, jak powiedział, gdy mi go dawał, ale nie umiałem go zawiązać, więc przerzuciłem jak szalik. W końcu liczy się przede wszystkim intencja, a poza tym wyglądałem jak poeta. W podręczniku do francuskiego widziałem zdjęcie Baudelaire'a – on też nie potrafił dobrze wiązać krawata, a przecież dziewczyny za nim szalały. Marynarka była na mnie trochę przyciasna, ale za to bardzo elegancka. Chciałem przejść się z tatą po rynku. Przy odrobinie szczęścia moglibyśmy spotkać tam Élisabeth, kiedy będzie robiła zakupy z matką.

Przejrzałem się w lustrze w łazience rodziców i zszedłem do salonu, żeby zaczekać na tatę.

Nie poszliśmy na rynek, bo tata wcale nie przyjechał. Zadzwonił do mnie w południe, żeby przeprosić. Ale przeprosił mamę, ponieważ nie chciałem z nim rozmawiać. Mama była jeszcze smutniejsza niż ja. Zaproponowała, żebyśmy poszli razem do restauracji, ale nie byłem już głodny. Poszedłem się przebrać i schowałem krawat do szafy. Miałem nadzieję, że przez najbliższe miesiące nie urosnę za bardzo i że te eleganckie ubrania będą na mnie dobre, kiedy tata mnie odwiedzi.

Przez całą niedzielę padał deszcz, więc siedzieliśmy z mamą w domu i graliśmy, jednak nie miałem serca do tej zabawy i stale przegrywałem.



W poniedziałek nie poszedłem na obiad – nie cierpię cielęciny z zielonym groszkiem, a w poniedziałki zawsze jest cielęcina z groszkiem. Ukradkiem posmarowałem bagietkę nutellą i przed wyjściem z domu wsadziłem ją do teczki. Zjadłem pod kasztanowcem. Yves ładował gruz po swoim

dawnym składziku na taczki i wywoził go do wielkich pojemników na śmieci pod ogrodzeniem szkoły. Tam rzucał wszystko, co zostało z jego pamiątek. Kiedy zauważył, że siedzę na ławce, podszedł, żeby się przywitać. Nie miałem nic przeciwko temu, od dwóch dni czułem się samotny, a jego towarzystwo wcale mi nie przeszkadzało. Przełamałem bagietkę na dwie części i zaproponowałem mu tę trochę mniejszą. Byłem pewien, że odmówi, ale zjadł ją z apetytem.

– Chyba jesteś nie w sosie. Stało się coś?

– Ja też mam na strychu pełno zdjęć. Gdybym je przyniósł, pomógłby mi pan zrobić album?

– Dlaczego sam tego nie zrobisz?

– Z zielnika dostałem cztery punkty na dwadzieścia, wyklejanie jakoś mi nie wychodzi.

Yves uśmiechnął się i powiedział, że może jestem jeszcze za młody na robienie takich albumów ze wspomnieniami. Odpowiedziałem, że to głównie zdjęcia rodziców sprzed moich narodzin. Było oczywiste, że nie mogły to być moje wspomnienia. A chciałem wkleić te zdjęcia do albumu, żeby lepiej poznać rodziców, zwłaszcza ojca. Yves patrzył na mnie w milczeniu, jak mama, kiedy chce się dowiedzieć, czy coś jest nie w porządku. A potem powiedział, że najpiękniejsze wspomnienia mam jeszcze przed sobą i że to jest najwspanialsze.

Dorośli zawsze mówią, że cudownie być dzieckiem, ale dają słowo, że zdarzają się takie dni, jak na przykład miniona sobota, kiedy dzieciństwo jest paskudne.

Tutejsi ludzie powiedzieliby wam, że zima jest u nas okropna, że to pasmo pochmurnych, zimnych dni, trzy miesiące bez chwili wytchnienia. Długo podzielałem ich opinię, kiedy jednak każdy promyk słońca zaczął być dla mnie zagrożeniem,

pokochołem miejsce, gdzie zimy są tak srogie. Kłopot w tym, że w końcu zawsze nadchodzi wiosna.



W ostatnich dniach marca ranek budził się przy bezchmurnym niebie. Szedłem drogą prowadzącą do szkoły i ku mej radości widziałem przed sobą cień, który chyba dokładnie do mnie pasował.

Przystawałem zawsze przed piekarnią i tam spotykałem się z Lukiem, a jego mama uśmiechała się do mnie przez szybę na powitanie. Odpowiadałem uśmiechem i korzystałem z faktu, że Luc jeszcze nie wyszedł, żeby dokładniej przyjrzeć się temu, co się działo na chodniku. Nie miałem wątpliwości – mój cień się odnalazł. Poznawałem nawet kosmyki włosów nad czołem, te, które mama przyglądała codziennie rano, kiedy wychodziłem do szkoły. Powtarzała, że na czubku głowy mam wicherek, jak mój ojciec. Pewnie dlatego co rano z nim walczyła.

Odzyskanie własnego cienia było wspaniałą nowiną. Teraz problem polegał na tym, żeby uważać i więcej go nie gubić, a przede wszystkim – nie zabierać cieni innym ludziom. Luc miał pewnie rację – cudze nieszczęścia są zaraźliwe, a ja byłem nieszczęśliwy przez całą zimę.

– Długo będziesz tak stał i gapił się w ziemię? – zapytał Luc.

Nie słyszałem, kiedy przyszedł. Teraz ponaglił mnie klepieniem w ramię.

– Pospiesz się, bo się spóźnimy.

Z nadejściem wiosny stało się coś dziwnego. Niektóre dziewczyny zmieniają fryzury, wcześniej tego nie zauważałem, ale patrząc na stojącą na środku dziedzińca Élisabeth, musiałem to zobaczyć.

Rozpuściła koński ogon, włosy opadały jej teraz na ramiona. Wyglądała o wiele ładniej, a mnie, nie wiem dlaczego, ogarnął jeszcze głębszy smutek. Może czułem już, że nigdy na mnie nie spojrzy. Wygrałem wybory na gospodarza klasy, ale Marqués wygrał serce Élisabeth, a ja nawet tego nie zauważyłem. Zbyt zajęty głupimi kłopotami z cieniem przeoczyłem to, co się kłuło, nie zwróciłem uwagi, że kiedy siedziałem w pierwszej ławce, oni za moimi plecami zbliżyli się do siebie. Nie dostrzegłem drobnego wybiegu Élisabeth, która co tydzień przesiadała się o ławkę do tyłu, jeśli tylko nadarzała się taka okazja. Najpierw zamieniła się miejscami z Anne, potem z Zoé, aż niepostrzeżenie osiągnęła cel.

Zrozumiałem to wszystko pierwszego dnia wiosny, na środku dziedzińca, patrząc na jej piękne włosy opadające na ramiona i błękitne oczy wpatrzone w Marquésa, który popisował się umiejętnościami piłkarskimi. Później widziałem jeszcze, jak brał ją za rękę, i tak mocno zacisnąłem palce, że na dłoni zostały mi ślady paznokci. Mimo to widok jej szczęścia dziwnie na mnie wpłynął, jakby uskrzydlił. Myślę, że miłość jest smutna i cudowna.

Yves przysiadł się do mnie.

– Dlaczego tkwisz tu sam, zamiast zagrać z chłopakami?

– Zastanawiam się.

– Nad czym?

– Po co komu miłość.

– Nie wiem, czy potrafię ci odpowiedzieć na to pytanie.

– Nieważne, bo sądzę, że akurat ja nie powinienem zadawać takich pytań.

– Zakochałeś się?

– Już po wszystkim, kobieta mojego życia kocha innego.

Yves zagryzł usta, a ja poczułem się tym urażony.

Chciałem wstać, ale przytrzymał mnie za rękę i zmusił, żebym został.

– Zostań, nie skończyliśmy rozmowy.

– A o czym mamy rozmawiać?

– O niej, a o czym chciałbyś rozmawiać?

– Od początku wiedziałem, że nie mam szans, ale nie mogłem zabić w sobie tej miłości.

– Kto to?

– Ta, która trzyma za rękę tego durnego drągala, tam, pod koszem.

Yves spojrzał na Élisabeth i pokiwał głową.

– Rozumiem, jest ładna.

– A ja jestem dla niej za niski.

– To nie ma nic wspólnego ze wzrostem. Boli cię, kiedy widzisz ją z Marquésem?

– A jak się panu wydaje?

– Może byłoby lepiej, żeby kobietą twojego życia była ta, która daje ci szczęście, co?

Nigdy tak o tym nie myślałem. Oczywiście, kiedy jasno to sformułowałem, zacząłem się zastanawiać.

– Więc może wcale nie ona jest kobietą twojego życia?

– Może... – odpowiedziałem, ciężko wzdychając.

– Przyszło ci kiedyś do głowy, żeby spisać listę rzeczy, których chcesz? – zapytał Yves.

Dawno temu zacząłem spisywać taką listę. To było wtedy, kiedy wierzyłem jeszcze w Świętego Mikołaja. Wysyłałem ją zawsze dwudziestego drugiego grudnia. Ojciec szedł ze mną do skrzynki na listy przy naszej ulicy i podnosił mnie, żebym mógł sam wrzucić kopertę przez otwór. Powinienem był się domyślić, że to oszustwo, bo nie podawaliśmy adresu i nie naklejaliśmy znaczka. Powinienem był się domyślić, że pewnego dnia ojciec

nas opuści. Zaczyna się od jednego kłamstwa, a potem nie wiadomo już, jak powstrzymać się od kolejnych. Tak, zacząłem spisywać taką listę, gdy miałem sześć lat, i co roku uzupełniałem ją i poprawiałem. Zostać strażakiem, weterynarzem, astronautą, kapitanem marynarki handlowej, piekarzem, mieć szczęśliwą rodzinę, jak ta Luca – pragnąłem tego wszystkiego. Chciałem mieć kolejkę elektryczną i piękny model samolotu, w soboty chodzić z ojcem na pizzę, osiągnąć w życiu sukces i zabrać matkę daleko od miasta, w którym mieszkaliśmy. Dać jej piękny dom, żeby miała gdzie przeżyć starość, żeby już nigdy nie musiała pracować, żeby nie patrzeć, jak wraca wieczorem taka zmęczona, żeby uwolniła się od smutku, który czasami wзираł z jej oczu, smutku, który powodował, że skręcałem się, jak wtedy, kiedy Marqués uderzył mnie w brzuch.

– Chciałbym – podjął Yves – żebyś coś dla mnie zrobił. Sprawisz mi tym wielką przyjemność.

Patrzyłem na niego, czekając, aż powie, co go tak ucieszy.

– Mógłbyś spisać dla mnie inną listę?

– Jaką?

– Listę wszystkiego, czego nigdy w życiu nie chciałbyś robić.

– Na przykład?

– Nie mam pojęcia, musisz sam pomyśleć. Co w dorosłych najbardziej cię irytuje?

– To, że mówią: zrozumiesz, kiedy będziesz w moim wieku!

– Wpisz to na listę rzeczy, których nie chciałbyś powiedzieć jako dorosły: zrozumiesz, kiedy będziesz w moim wieku! Co jeszcze przychodzi ci do głowy?

– Powiedzieć synowi, że zabierze się go w sobotę na pizzę,

i nie dotrzymać słowa.

– Dodaj do listy: Nie dotrzymać obietnicy złożonej synowi.
Teraz rozumiesz, o co mi chodzi?

– Chyba tak.

– A kiedy lista będzie już pełna, naucz się jej na pamięć.

– Po co?

– Żeby o tym nie zapomnieć!

Mówiąc to, Yves porozumiewawczo trącił mnie łokciem. Obiecałem spisać listę, kiedy tylko znajdę chwilę, i pokazać mu ją, żebyśmy mogli pogadać.

– Wiesz – dodał, kiedy wstałem – może z Élisabeth nie wszystko jest jeszcze stracone. Na spotkanie dwojga ludzi czasami trzeba po prostu poczekać. We właściwej chwili oboje się dostrzegają i wreszcie odnajdują.

Zostawiłem Yves'a samego i wróciłem do klasy.

Tego wieczoru, kiedy byłem już w swoim pokoju, wsunąłem pod zeszyt do matematyki kartkę, a usłyszawszy, że mama sprząta w kuchni, zacząłem spisywać nową listę. Przed snem przypomniała mi się rozmowa z Yves'em – pomyślałem, że ten rok nie jest dobrym czasem dla mnie i Élisabeth.



Od początku roku nieustannie zadawałem sobie różne pytania. Im jesteśmy starsi, tym częściej zastanawiamy się nad wieloma sprawami. Znalazłem zadowalające wyjaśnienia w sprawie Élisabeth, ale problemy z cieniami pozostawały nierozwikłane. Dlaczego mnie to spotkało? Czy tylko ja byłem zdolny z nimi rozmawiać? I co zrobię, jeżeli to się powtórzy, kiedy będę kogoś mijał?

Co rano przed wyjściem do szkoły słuchałem prognozy pogody. Żeby to jakoś usprawiedliwić, zgłosiłem się do

nauczyciela nauk przyrodniczych i zaproponowałem, że przygotuję referat na temat ocieplenia klimatu. Na szczęście natychmiast się zgodził, a mama postanowiła mi pomóc. Kiedy w gazecie ukazywał się artykuł na temat ekologii, wycinała go. Wieczorem mi go czytała i razem wklejaliśmy go do dużego kołonoatnika, który chciała kupić w supermarkecie, zanim ją przekonałem, żeby poszła raczej do papierniczego na placu przy kościele. Pani Pogodynka zapowiedziała pełnię na koniec tego tygodnia, dokładnie na noc z soboty na niedzielę.

Ta wiadomość pogrążyła mnie w głębokiej zadumie. Działać albo nie działać, jak by powiedział mój przyjaciel Luc, gdyby był spokrewniony z ojcem Hamleta.

Odkąd znów zrobiło się ładnie, bardzo uważałem, żeby nigdy nie stać zbyt długo obok żadnego kolegi, kiedy dziedziniec był nasłoneczniony.

Jednocześnie miałem wrażenie, że omija mnie coś ważnego. Gdyby to Bóg sprawił, że zbiornik gazowy przed szkołą eksplodował, powinienem uznać, że daje mi znak, coś w stylu: Mam cię na oku, jeżeli sądzisz, że obdarzyłem cię tą małą mocą, żebyś ją lekceważył, jesteś w błędzie!

Kiedy we czwartek zastanawiałem się nad tym na ławce pod kasztanowcem, gdzie lubiłem rozmyślać, przysiadł się do mnie Yves.

– I jak tam praca nad albumem?

– Ostatnio mam niewiele czasu, przygotowuję referat.

Cień Yves'a znalazł się tuż obok mojego.

– Zrobiłem tak, jak mi wtedy poradziłeś.

Nie pamiętałem już, co poradziłem Yves'owi.

– Spisałem list matki tak, jak go zapamiętałem, nie słowo w słowo, ale odtwarzając najważniejsze. Wiesz, to był dobry pomysł. Wprawdzie to już nie jej pismo, ale kiedy go czytam,

czuję niemal to samo.

– Mogę o coś zapytać, o ile to nie jest zbyt niedyskretne?
O czym pisała pańska mama?

Yves przez chwilę milczał, a potem powiedział szeptem:

– Że mnie kochała.

– A, czyli nie miał pan dużo pisania.

Przysunąłem się do niego, bo mówił bardzo cicho, i nie zauważyłem, że nasze cienie nasunęły się na siebie. To, co wtedy zobaczyłem, zmroziło mnie.

List od matki nie istniał. Na kartkach spalonego w magazynie zeszytu były tylko listy, które przez te wszystkie lata pisał Yves. Mama naszego woźnego zmarła przy porodzie, na długo przedtem, zanim nauczył się pisać.

Łzy zakręciły mi się w oczach. Nie z powodu przedwczesnej śmierci jego matki, ale dlatego, że skłamał.

Aż trudno sobie wyobrazić, jak bardzo cierpiał, skoro wymyślił sobie korespondencję z matką, której nie znał. Jego życie było niczym studnia bez dna – studnia smutku, którego nic nie mogło ukoić. Yves mógł tylko przydusić go pokrywą wymyślonemu listu.

To jego cień wyszeptał mi do ucha tę prawdę.

Powiedziałem mu, że mam jeszcze lekcje do odrobienia, przeprosiłem i obiecałem wrócić w czasie najbliższej przerwy, a potem pobiegłem w stronę budynku. Kiedy byłem już na boisku, poczułem się jak ostatni tchórz. Przez całą lekcję pani Schaeffer było mi wstyd, ale nie zdobyłem się na to, żeby dotrzymać słowa i wrócić do mojego kumpla woźnego.



W domu mama powiedziała mi, że wieczorem będzie w telewizji film dokumentalny o ginących lasach Amazonii.

Przygotowała dla nas kanapki, żebyśmy mogli zjeść kolację, siedząc na kanapie w salonie. Posadziła mnie przed odbiornikiem, przyniosła zeszyt i ołówek i usiadła obok mnie. To przerażające, ile zwierząt skazanych jest na tułaczkę w poszukiwaniu nowych terenów i na wyginięcie tylko dlatego, że żądza pieniędzy przyprawia ludzi o utratę rozumu!

Kiedy bezradnie patrzyliśmy na skazanego na śmierć leniwca brazylijskiego, zwierzę, z którym czułem się blisko związany, mama kroїła kurczaka. W połowie filmu zerknąłem przypadkowo na szczątki tego ptaka i nagle zapragnąłem zostać wegetarianinem.

Komentator wyjaśniał mechanizm parowania, w sumie dość prosty. Ziemia pod drzewami poci się, trochę jak my pod włosami. Pot planety paruje i wznosi się, w końcu tworzy chmury. Kiedy te są już wystarczająco duże, zaczyna padać deszcz, który dostarcza wody niezbędnej drzewom do utrzymania kondycji i do wzrostu. Trzeba przyznać, że cały ten system jest niezłe pomyślany. Oczywiście, jeśli będzie się tę ziemię bezlitośnie ogałacało, to nie będzie ani potu, ani chmur. Wyobraźcie sobie tylko, jak żyłoby się w świecie bez chmur i jak poradziłby sobie ktoś taki jak ja! Życie płata nam czasami głupie figle! Wymyśliłem sobie ten referat o ociepleniu klimatu, żeby mieć alibi, nie domyślając się, jak bardzo mnie dotyczy ta kwestia.

Mama zasnęła, a ja zrobiłem trochę głośniej, żeby sprawdzić, jak mocno śpi, i muszę przyznać, że to był kamienny sen. Znów miała ciężki, męczący dzień. Przygnębiał mnie jej widok w takim stanie. Także dlatego nie chciałem jej budzić. Przyciszyłem telewizor i poszedłem na strych. Wkrótce w oknie miał się pokazać księżyc.

Zgodnie z procedurą, jaką wprowadziłem podczas

poprzedniego eksperymentu, stałem wyprostowany, plecami do okna. Zacisnąłem pięści. Serce uderzało mi ze sto dziesięć razy na minutę, oczywiście ze strachu.

Punktualnie o dwudziestej drugiej pojawił się cień, najpierw smukły, jak gruba kreska narysowana ołówkiem na podłodze, potem coraz szerszy. Skamieniałem, chciałem coś zrobić, ale nie byłem w stanie nawet kiwnąć palcem. Mój cień powinien pozostać równie nieruchomy, jednak uniósł ramiona, podczas gdy ja trzymałem je wzdłuż tułowia. Głowa cienia pochylała się w prawo i w lewo, potem obróciła się profilem i choć trudno w to uwierzyć, pokazał mi język.

O tak! Można się śmiać i bać równocześnie, jedno wcale nie wyklucza drugiego. Cień wyciągnął się u mych stóp i przekrzywił, padając na tekturowe pudła. Przemykał między skrzyniami, położył rękę na jakimś pudle, jakby się o nie opierał.

– Czyj ty jesteś? – wydusiłem z siebie.

– A czyj miałbym być? Jestem twój, jestem twoim cieniem.

– Udowodnij mi to!

– Otwórz to pudło, a sam się przekonasz. Mam dla ciebie prezent.

Zrobiłem trzy kroki do przodu, a cień się odsunął.

– Nie, nie to na wierzchu. Już je otwierałeś. Weź lepiej to, które jest pod spodem.

Zrobiłem, jak mówił. Przetawiłem pudło z góry na podłogę i otworzyłem to, które leżało pod nim. Było pełne zdjęć, których nigdy dotąd nie widziałem – to były moje fotografie zrobione w dniu, kiedy się urodziłem. Wyglądałem jak wielki pomarszczony korniszon, tylko nie byłem zielony i miałem oczy. Nie spodobałem się sobie i ten prezent nie wydawał mi się szczególnie interesujący.

– Popatrz na następne zdjęcie! – upierał się cień.

Ojciec przytulał mnie i wpatrywał się we mnie, a na jego twarzy ujrzałem uśmiech, jakiego nigdy nie widziałem. Podeszedłem do okna, żeby dokładniej przyjrzeć się jego twarzy. Jego oczy były rozpromienione, jak w dniu ślubu.

– Widzisz – szepnął cień – kochał cię od pierwszej chwili twego życia. Może nigdy nie potrafił dobrać słów, które by to wyraziły, ale to zdjęcie mówi więcej niż najpiękniejsze zdania, jakie mógłbyś usłyszeć.

Patrzyłem na to zdjęcie i czułem się coraz lepiej, widząc siebie w ramionach ojca. Wsunąłem je do kieszeni piżamy, żeby zatrzymać je przy sobie.

– A teraz usiądź, musimy pogadać – oznajmił cień.

Usiadłem po turecku na podłodze. Cień przyjął tę samą pozycję, naprzeciwko mnie, i miałem wrażenie, że odwrócił się do mnie plecami, ale to był tylko figiel spleatany przez promień księżycyca.

– Masz bardzo rzadki dar, musisz się z tym pogodzić i nauczyć się nim posługiwać, chociaż teraz cię to przeraża.

– Ale po co?

– Cieszysz się, że zobaczyłeś to zdjęcie, prawda?

Nie wiem, czy „cieszyć się” wyrażało mój stan, z pewnością jednak zdjęcie malca w ramionach taty dodało mi otuchy. Wzruszyłem ramionami. Powiedziałem sobie, że skoro nie daje znaku życia, odkąd się wyprowadził, to widocznie nie może. Taka miłość nie mogła zniknąć w ciągu paru miesięcy. Z pewnością wciąż jeszcze w nim była.

– Właśnie o to chodzi – podjął cień, jakby czytał w moich myślach. – Znajdź dla każdego, komu zabierzesz cień, takie światełko, które rozjaśni jego życie, zapomniane okrucieństwo. Niczego więcej od ciebie nie chcemy.

– Jacy „my”?
– My, cienie – szepnął ten, do którego się zwracałem.
– I naprawdę jesteś moim cieniem? – zapytałem.
– Twoim, Yves’a, Luca czy Marquésa... co za różnica,
umówmy się, że jestem gospodarzem klasy.

Uśmiechnąłem się, doskonale rozumiejąc, co ma na myśli.
Kiedy ktoś położył mi rękę na ramieniu, krzyknąłem
przerażony, odwróciłem się i zobaczyłem twarz mamy.

– Kochanie, rozmawiasz ze swoim cieniem?

Przez ułamek sekundy miałem nadzieję, że wszystko
zrozumiała, że była świadkiem tego, co przeżywałem, ale ona
patrzyła na mnie rozczulona i zasmucona. Wywnioskowałem
z tego, że nie ma żadnej mocy. Słyszała tylko mój głos na
strychu. Teraz mogłem liczyć na cykl sesji u psychologa.

Mama wzięła mnie w ramiona i bardzo mocno przytuliła.

– Czujesz się aż tak samotny? – zapytała.

– Nie, daję słowo, że nie – odparłem, chcąc ją uspokoić. –
To tylko taka zabawa.

Mama przesunęła się na kolanach do okna i zbliżyła twarz
do szyby.

– Piękny widok. Już od dawna nie zaglądałam na strych.
Chodź, usiądź przy mnie i opowiedz mi, o czym rozmawialiście
z tym cieniem.

Obejrzałem się i zobaczyłem samotny cień mamy tuż obok
mojego. Teraz ja objąłem mamę i dałem jej tyle miłości, ile
tylko potrafiłem.

„Nie odszedł z twojej winy, kochanie. Zakochał się w innej
kobiecie... a ja spadłam z obłoków”.

Żadne dziecko na świecie nie ma ochoty słuchać takich
zwierzeń matki. To nie mama wypowiedziała te słowa, ale jej
cień zdradził mi je na ucho. Myślę, że cień mamy wyznał mi to,

żebym uwolnił się od poczucia winy za odejście taty.

Zrozumiałem, co cienie chciały mi przekazać i czego ode mnie oczekiwały – teraz była to już tylko kwestia wyobraźni, a przecież mama wciąż powtarzała, że tej zdecydowanie mi nie brakuje. Przysunąłem się do mamy i poprosiłem, żeby coś dla mnie zrobiła.

– Napisałabyś do mnie list?

– List? Ale jaki to ma być list? – zapytała mama.

– Wyobraź sobie, że kiedy jeszcze byłem w twoim brzuchu, chciałaś mi powiedzieć, że mnie kochasz. Co byś wtedy zrobiła, skoro nie mogliśmy ze sobą porozmawiać?

– Przecież kiedy cię oczekiwałam, stale mówiłam ci, jak bardzo cię kocham.

– Tak, ale ja nie mogłem tego usłyszeć.

– Podobno dzieci w łonie matki słyszą wszystko.

– Nie wiem, kto ci to powiedział, ale zapewniam cię, że nie pamiętam z tego okresu zupełnie nic.

Mama dziwnie na mnie spojrzała.

– Do czego właściwie zmierzasz?

– Powiedzmy, że chciałaś mi opowiedzieć o wszystkim, co czułaś, żebym zawsze mógł to sobie przypomnieć, i wpadłaś na pomysł napisania listu. Oczywiście, przeczytałbym go długo po urodzeniu, a ty życzyłabyś mi w nim wielu rzeczy, dawałabyś mi dwie, trzy rady, żebym był szczęśliwy, kiedy dorosnę.

– I chciałabyś, żebym teraz napisał taki list?

– Tak, o to właśnie chodzi, tylko chciałbym, żebyś wcieliła się znowu w tamtą mamę, która mnie oczekiwała. Czy w ciąży znałaś już moje imię?

– Nie, nie wiedzieliśmy, czy będziesz dziewczynką, czy chłopcem. Wybraliśmy imię w dniu twego urodzenia.

– W takim razie napisz ten list, nie wymieniając imienia,

będzie bardziej autentyczny.

– Skąd przychodzą ci do głowy takie pomysły? – zapytała mama, całując mnie.

– Rodzą się w mojej wyobraźni! I co, napiszesz?

– Tak, napiszę ci list, zabiorę się do tego jeszcze dziś.

A teraz zmykaj już do łóżka.

Szedłem spać, w nadziei że mój plan uda się zrealizować do końca. Jeżeli matka dotrzyma słowa, pierwsza część będzie wykonana.

Wczesnym rankiem, kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem na nocnym stoliku list od mamy. O podstawę lampy było oparte zdjęcie ojca. Po raz pierwszy od pół roku byliśmy wszyscy razem w moim pokoju.

List od mamy był najpiękniejszy na świecie. Należał do mnie, teraz i na zawsze. Ale miałem wypełnić ważną misję, więc musiałem się nim podzielić. Mama na pewno by mnie zrozumiała, gdybym dopuścił ją do sekretu.

Wsunąłem list do teczki, a w drodze do szkoły wszedłem do księgarni. Wydałem oszczędności całego tygodnia na arkusz pięknego papieru. Podałem list od matki księgarzowi, a on zrobił na nowiutkiej maszynie jego kserokopię. Oryginał i kopia były łudząco podobne – niemal doskonała kopia, zupełnie jakbym miał list matki i jego cień. Jednak dla siebie zachowałem oryginał.

Podczas dużej przerwy poszedłem tam, gdzie stały duże pojemniki na śmieci. W końcu znalazłem to, czego potrzebowałem – kawałek spalonego drewna z magazynu, dotąd jeszcze niewywieziony. Zostało na nim dość sadzy, żeby wykonać drugą część planu.

Zawinałem drewnienko w serwetkę, którą zabrałem ze stołówki, i schowałem do teczki.

Na lekcji historii pani Henry, podczas gdy Kleopatra wodziła za nos Cezara, dyskretnie wyciągnąłem kopię listu i osmalone drewno. Położyłem je na ławce i zacząłem brudzić papier sadzą. Smuga tu, smuga tam. Pani Henry musiała zauważyć, że robię coś dziwnego, bo zamilkła, przerywając mowę Kleopatry w pół słowa, i podeszła do mnie. Zwinąłem kartkę w kulkę i szybko sięgnąłem do piórnika.

– Możesz mi powiedzieć, co masz na rękach? – zapytała.

– Długopis, proszę pani – odparłem bez namysłu.

– To dziwne, że niebieski długopis rozlał się na czarno, bo palce masz czarne. Kiedy znajdziesz coś, co nadaje się do pisania, napiszesz sto razy: „Lekcje historii to nie rysunki”. A teraz idź umyć ręce i twarz. Tylko zaraz wracaj.

Koledzy z klasy śmiali się na całe gardło, kiedy szedłem do drzwi. Och, nie ma to jak życzliwi kumple ze szkolnej ławy!

Kiedy zobaczyłem swoje odbicie w lustrze w łazience, natychmiast zrozumiałem powód swojej wpadki. Nie powinienem był ocierać ręką czoła, bo teraz wyglądałem jak kominiarz.

Po powrocie do klasy obejrzałem kartkę – była w opłakanym stanie i bałem się już, że zmarnowałem tyle pracy. Wręcz przeciwnie – taki pomięty list wyglądał właśnie tak, jak powinien. Do dzwonka było już blisko, wiedziałem, że wkrótce będę mógł zrealizować trzecią, ostatnią część planu.



Miałem nadzieję, że plan zadziałał. Nazajutrz listu nie było tam, gdzie go celowo źle schowałem – pod kawałkiem drewna z dawnego składziku.

Ale musiałem czekać cały tydzień, żeby się o tym przekonać.



Kiedy w następny wtorek rozmawiałem w najlepsze z Lukiem na mojej ulubionej ławce, podszedł do nas Yves i poprosił mojego kolegę, żeby zostawił nas na chwilę samych. Yves usiadł obok mnie i przez chwilę milczał.

– Złożyłem już wypowiedzenie u pani dyrektor, odchodzę z końcem tygodnia. Chciałem, żebyś dowiedział się o tym ode mnie.

– Pan też chce odejść... Ale dlaczego?

– To długa historia. W moim wieku czas już chyba rozstać się ze szkołą, prawda? Powiedzmy, że przez te wszystkie lata żyłem tu przeszłością, byłem więźniem dzieciństwa. Teraz czuję się wolny. Muszę sporo nadrobić, muszę zbudować sobie prawdziwe życie, żeby wreszcie był szczęśliwy.

– Rozumiem – szepnąłem. – Będzie mi pana brakowało, chciałem, żebyśmy zostali kolegami.

– Mnie też będzie ciebie brakowało, ale może się kiedyś spotkamy.

– Może. Co pan zamierza robić?

– Szukać szczęścia gdzie indziej. Mam pewne stare marzenie i obietnicę, której muszę dotrzymać. Nie zdradzisz mnie, jeśli ci powiem jakie? Dajesz słowo?

Splunąłem na ziemię.

Yves wyszeptał mi sekret do ucha. Ale ponieważ to sekret, przemilczę go – mam zamurowane usta. Potrafię dotrzymać słowa.

Uścisnęliśmy sobie ręce – uznaliśmy, że lepiej będzie pożegnać się już teraz. W piątek byłoby to zbyt smutne, a tak mieliśmy jeszcze kilka dni na oswojenie się z myślą, że nie będziemy się już widywać.

Po powrocie do domu poszedłem na strych i jeszcze raz przeczytałem list od mamy. Może to z powodu zdania, w którym pisze, że najbardziej pragnie, żebym kiedyś rozkwitł, że ma nadzieję, iż wybiorę zawód, który da mi szczęście, a bez względu na to, jakich wyborów dokonam w życiu, dopóki będę kochał i będę kochany, będę też spełniał wszystkie nadzieje, jakie we mnie pokłada.

Tak, może to te linijki pozwoliły Yves'owi uwolnić się z łańcucha i oderwać od dzieciństwa.

Przez jakiś czas żałowałem, że podzieliłem się z nim listem od matki. Przez to straciłem kolegę.

Pani dyrektor i nauczyciele urządzili uroczystość pożegnalną. Odbyła się w stołówce. Yves był znacznie bardziej lubiany, niż sądził – przyszli rodzice wszystkich uczniów i mam wrażenie, że to go wzruszyło. Poprosiłem mamę, żebyśmy już wyszli. Nie chciałem przeżywać rozstania z Yves'em razem z innymi.

Wieczór był bezksiężycowy, nie było po co siedzieć na strychu. Ale z fałd zasłon w moim pokoju, kiedy już zasypiałem, dobiegł mnie głos – to cień Yves'a przyszedł mi podziękować.



Odkąd Yves odszedł, nie spaceruję już po dawnym składziku. Uświadomiłem sobie, że także miejsca mają cienie. Wspomnienia krążą i wprawiają w nostalgię, kiedy się do nich zanadto zbliżyć. Trudno się pogodzić z utratą kolegi. Chociaż po zmianie szkoły powinienem do tego przywyknąć, to nie, nie było mi lżej, zawsze jest tak samo – cząstka ciebie zostaje z tym, kto sobie poszedł, to jest jak żal po utraconej miłości, ale dotyczy przyjaźni. Nie warto przywiązywać się do ludzi, to zbyt ryzykowne.

Luc czuł, że jest mi ciężko. Co wieczór, kiedy wracaliśmy ze szkoły, zapraszał mnie do siebie. Odrabialiśmy razem lekcje, a w przerwie między matematyką i powtórką z historii zajadaliśmy kawowe eklerki.

Trymestr jakoś się skończył, a ja bardzo uważałem, gdzie stawiam nogi, bo musiałem odzyskać siły, zanim znowu użyję swego daru. Chciałem się nauczyć dobrze go wykorzystywać.

Zbliżał się koniec czerwca, a wraz z nim wakacje. Przez cały ten czas udało mi się zatrzymać przy sobie swój cień.

Mama nie przyszła na rozdanie świadectw, tego dnia miała dyżur i żadna z koleżanek nie mogła jej zastąpić. Bardzo się tym martwiła, więc powtarzałem jej, że to drobiazg. Za rok będzie przecież kolejne rozdanie świadectw i postaramy się, żeby wtedy miała wolne.

Kiedy wchodziłem na estradę, zerknąłem na galerię, gdzie siedzieli rodzice. Miałem nadzieję, że zobaczę tam ojca, że wślizgnął się w ostatniej chwili, żeby zrobić mi niespodziankę. Pewnie on także miał dyżur – moi rodzice nie mają szczęścia i nie mogę mieć o to żalu do nich, to nie ich wina.

Chwila rozdawania świadectw jest radosna, bo oznacza koniec roku szkolnego. Dwa miesiące z dala od Marquésa i Élisabeth, gruchających jak głupie gołąbki pod kasztanowcem na dziedzińcu, to się nazywa lato – najpiękniejsza pora roku!

Zaletą mieszkania w małym miasteczku jest to, że nie trzeba wybierać się zbyt daleko, żeby być na wakacjach. Kiedy w pobliżu jest jezioro, w którym można popływać, i las, gdzie można urządzić piknik, ma się na miejscu wszystko, czego trzeba. Luc także nie wyjeżdżał, jego rodzice nie mogli zamknąć piekarni, bo ludzie musieliby kupować pieczywo w supermarkecie, a mama Luca mówiła, że kiedy ktoś już nabierze złych nawyków, to trudno mu się ich wyzbyc.

Pod koniec lipca stało się coś niesamowitego – Luc zyskał małą siostrzyczkę. Zabawnie było patrzeć, jak kręci się ona w kołysce. Luc bardzo się zmienił po narodzinach siostry, nie był już tak beztroski, zastanawiał się nad rolą starszego brata i często opowiadał o tym, co kiedyś zrobi. Ja też chciałem mieć taką siostrzyczkę albo braciszka.

W sierpniu mama wzięła dziesięć dni urlopu. Pożyczyliśmy samochód od jednej z jej przyjaciółek i pojechaliśmy nad morze. Po raz drugi w życiu spędzałem tam wakacje.

Morze się nie starzeje, plaża była taka sama jak poprzednio.

W nadmorskiej wiosce spotkałem Cléę, dziewczynę znacznie ładniejszą od Élisabeth. Cléa była głuchoniema od urodzenia, wydała mi się stworzoną dla mnie przyjaciółką, bo od pierwszej chwili doskonale się rozumieliśmy.

Aby wynagrodzić Cléi głuchotę, Bóg dał jej duże oczy, a ogromne oczy uczyniły jej twarz piękną. Cléa nie może słyszeć, ale za to widzi wszystko, nie umyka jej żaden szczegół. Poza tym Cléa nie jest właściwie niemową, bo jej struny głosowe są zdrowe, ale ponieważ nigdy nie słyszała słów, nie potrafi ich wymawiać. To dość logiczne. Kiedy próbuje mówić, chropawe dźwięki wydobywające się z jej gardła początkowo trochę szokują, ale kiedy się śmieje, jej głos brzmi jak dźwięki wiolonczeli, a ja uwielbiam wiolonczelę. To, że Cléa nie mówi, nie oznacza, że jest mniej inteligentna od innych dziewcząt w swoim wieku. Wręcz przeciwnie – zna na pamięć wiersze, które recytuje rękami. Cléa porozumiewa się za pomocą gestów. Moja pierwsza głuchoniema przyjaciółka ma charakterek. Żeby powiedzieć, że chciałaby coca-colę, robi na przykład niesamowite sztuczki palcami, a rodzice natychmiast odgadują, o co prosi. Błyskawicznie się nauczyłem, jak się mówi „nie”

w języku migowym, kiedy zapytała, czy możemy dostać drugą porcję lodów.

Kupiłem na bazarze pocztówkę z widokiem plaży, żeby napisać do ojca. Zapełniłem lewą część kartki, starając się pisać małymi literami ze względu na brak miejsca, ale kiedy przeszedłem do prawej części, długopis zawisł nad papierem, a ja zamarłem. Nie wiedziałem, jak zaadresować pocztówkę. Świadomość, że nie wiem, gdzie mieszka mój własny ojciec, była dla mnie potwornym ciosem... Przypomniało mi się, co powiedział kiedyś Yves, na naszej ławce na dziedzińcu, kiedy mówił, że mam przed sobą przyszłość. Siedząc na piasku, widziałem przed sobą tylko mewy nurkujące w wodzie w pogodni za rybami i to przypomniało mi wyprawy na ryby z tatą.

Czasami życie tak nagle się wali. Wszystko jest źle, bardzo źle, i niespodziewanie jakieś wydarzenie odmienia bieg rzeczy. Chciałem innego życia, nie miałem brata ani siostry, jak Luc, ale też rozmyślałem o swojej przyszłości. Podczas tych wakacji z mamą nad morzem w moim życiu dokonał się zwrot.

Kiedy spotkałem Cléę, wiedziałem, że odtąd nic nie będzie już takie jak przedtem. W dniu rozpoczęcia roku szkolnego koledzy zzielenieją z zazdrości, gdy się dowiedzą, że mam głuchoniemą przyjaciółkę, i już się cieszyłem, wyobrażając sobie minę Élisabeth.

Cléa rysuje słowa w powietrzu, to jej powietrzna poezja. Élisabeth do pięt jej nie dorasta. Ojciec mówił, że nie należy nigdy porównywać ludzi, że każdy jest inny, a ważne jest to, by odnaleźć różnicę, która najbardziej nam w nich odpowiada. Cléa była dla mnie uosobieniem takiej różnicy.

W słoneczne przedpołudnie, pierwsze takie, odkąd byliśmy nad morzem, gdy przechadzaliśmy się w porcie, Cléa podeszła

do mnie. Nigdy nie byliśmy tak blisko siebie. Nasze cienie niemal się stykały na betonie, przestraszyłem się i cofnąłem o krok. Cléa nie zrozumiała mojej reakcji. Długo na mnie patrzyła, a ja widziałem w jej oczach smutek. Potem uciekła. Wołałem ją, krzycząc na całe gardło, ale nawet się nie obejrzała. Straszny ze mnie idiota, przecież nawet mnie nie słyszała! Odkąd ją ujrzałem, marzyłem, żeby wziąć ją za rękę. Stojąc nad morzem, wyglądalibyśmy ładniej niż Élisabeth z Marquésem pod nędznym kasztanowcem na szkolnym dziedzińcu. Cofnąłem się, bo za nic na świecie nie chciałem ukraść jej cienia. Nie chciałem wiedzieć o niej niczego, czego nie zechcą powiedzieć mi jej ręce. Cléa nie mogła tego odgadnąć, a mój odruch sprawił jej przykrość.

Wieczorem bardzo długo zastanawiałem się, w jaki sposób ją przeprosić, jak się z nią pogodzić.

Przemyślałem wszystkie za i przeciw i uznałem, że istnieje tylko jeden sposób naprawienia krzywdy, którą jej wyrządziłem – powiedzieć prawdę. Podzielenie się z Cléą tajemnicą było moim zadaniem, jedynym wyjściem, jeśli naprawdę mi zależało, żebyśmy się dobrze poznali. Cóż znaczy chcieć się z kimś związać, jeżeli nie podejmuje się ryzyka, obdarzając go zaufaniem?

Teraz musiałem tylko znaleźć jakiś sposób wyjawienia jej tej tajemnicy. Zbyt słabo znałem jeszcze język głuchoniemych, brakowało mi gestów, żeby opowiedzieć taką historię.

Nazajutrz było pochmurno. Cléa klęczała na skale przy końcu deptaka i bawiła się, rzucając do wody kamyczki. Jej matka tak bardzo cieszyła się, iż córka ma kolegę, że zdradziła mi, gdzie Cléa chodzi co rano. Wybrałem się tam i usiadłem w pobliżu. Długo wpatrywaliśmy się w fale rozbijające się o brzeg. Cléa zachowywała się, jakby mnie tam nie było,

ignorowała mnie. Zdobyłem się na odwagę i wysunąłem rękę w stronę jej dłoni, mając nadzieję, że choć ją musnę, ale Cléa wstała i odeszła, skacząc z kamienia na kamień. Pobiegnęłam za nią, stanąłem na wprost i pokazałem palcem nasze cienie, które padały na molo. Poprosiłem, żeby się nie ruszała, zrobiłem krok w bok i mój cień przykrył ten należący do niej. Potem się cofnąłem, a oczy Cléi stały się jeszcze większe. I nic dziwnego, przy odrobinie spostrzegawczości trudno było nie zauważyć, że cień przede mną miał długie włosy, a ten przed nią – krótkie. Zatkaną sobie uszy, mając nadzieję, że jej cień jest niemy jak ona, ale i tak zdążyłem usłyszeć, jak mówi: „Ratunku, pomóż mi”. Przyklęknąłem, krzycząc: „Cicho, błagam, bądź cicho!”, i natychmiast postarałem się, żeby nasze cienie znowu się złączyły i żeby wszystko wróciło na swoje miejsce.

Cléa narysowała w powietrzu duży znak zapytania. Wzruszyłem ramionami i tym razem to ja odszedłem. Cléa biegła za mną, bałem się, że się poślizgnie na skałach, więc zwolniłem kroku. Wzięła mnie za rękę, bo też chciała się podzielić ze mną tajemnicą. Żebyśmy byli kwita.

Na końcu nabrzeża wznosiła się mała latarnia, nic szczególnego. Patrząc na nią, taką osamotnioną, można by pomyśleć, że rodzice ją tu porzucili, a ona przestała rosnać. Już od dawna jej nie używano, więc nie świeciła statkom na morzu.

Ta stara, opuszczona latarnia morska to było sekretne miejsce Cléi. Odkąd mi ją pokazała, zabierała mnie tam, kiedy się tylko spotkaliśmy. Przechodziliśmy pod łańcuchem, na którym kołysała się stara, zardzewiała tablica z napisem „Wstęp wzbroniony”, potem otwieraliśmy metalowe drzwi, których zamek przeżarła sól, i po schodach wspinaliśmy się na podest. Cléa pierwsza wchodziła po drabinie na szczyt i całymi godzinami wypatrywaliśmy stamtąd statków i obserwowaliśmy

horyzont. Cléa delikatnym ruchem lewej ręki rysowała fale, a jej prawa dłoń kołysała się niczym sunące po morzu żaglowce. Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, łączyła palce wskazujące i kciuki w kółko i przesuwała za moimi plecami to stworzone przez jej ręce słońce, a potem jej wiolonczelowy śmiech wypełniał całą przestrzeń.

Wieczorem, kiedy mama pytała, gdzie byłem przez cały dzień, mówiłem jej o miejscu na plaży, naprzeciwko latarni, która należała tylko do Cléi i do mnie, o małej, niepozornej latarni porzuconej przez innych, przejętej przez nas.

Trzeciego dnia Cléa nie chciała wspinać się na szczyt, została na dole, u stóp latarni, a z jej nadąsanej buzi wyczytałem, że czegoś ode mnie oczekuje. Wyjęła z kieszeni mały notesik i napisała na kartce, którą mi podsunęła: „Jak to robisz?”.

Wziąłem od niej notes, żeby napisać:

- Ale co?
- Tę sztuczkę z cieniami – napisała Cléa.
- Nie mam zielonego pojęcia, to przyszło nagle i doskonale mógłbym się obejść bez tego.

Skrzypienie ołówka na kartce – Cléa wymazała to, co napisała, rozmyśliła się w trakcie. Pod kreską zdołałem jednak przeczytać: „Jesteś szalony!”, ale w końcu napisała: „Masz szczęście. Czy te cienie do ciebie mówią?”.

Jak się domyśliła? Nie potrafiłem jej okłamać.

- Tak!
- Czy mój jest niemy?
- Nie, nie sędzę.
- Nie sądzisz czy jesteś tego pewien?
- Nie jest niemy.
- Nic dziwnego, ja też w myślach nie jestem niema. Chcesz

pomówić z moim cieniem?

– Nie, wolę rozmawiać z tobą.

– A co ci powiedział?

– Nic ważnego, miał za mało czasu.

– Czy głos mojego cienia jest ładny?

Nie dotarło do mnie, jak ważne jest dla Cléi pytanie, które mi zadała. To było tak, jakby ktoś niewidomy pytał, jak wygląda jego odbicie w lustrze. Odmienność Cléi polegała na jej przynależności do świata ciszy, w moich oczach czyniło ją to wyjątkową, ale Cléa marzyła, by być jak każda dziewczyna w jej wieku, żeby móc mówić inaczej niż gestami. Gdyby wiedziała, jak pięknie się od nich różni!

Sięgnąłem po ołówek.

– Tak, Cléo. Głos twojego cienia jest jasny, zachwycający i melodyjny. Doskonale do ciebie pasuje.

Zaczerwieniłem się, pisząc te słowa, a Cléa, czytając je.

– Dlaczego jesteś smutny? – zapytała Cléa.

– Bo wakacje kiedyś muszą się skończyć i będę za tobą tęsknił.

– Przed nami jeszcze cały tydzień, a jeżeli wrócisz tu za rok, będziesz wiedział, gdzie mnie szukać.

– Tak, u stóp latarni morskiej.

– Będę na ciebie czekała od pierwszego dnia wakacji.

– Obiecujesz?

Cléa narysowała obietnicę dłońmi. Była piękniejsza od najpiękniejszych słów.

Chmury na niebie rozerwały się, a Cléa uniosła głowę i napisała w notesie:

– Chciałabym, żebyś jeszcze raz wszedł na mój cień i żebyś mi powtórzył, co ci opowie.

Zawahałem się, ale chciałem zrobić jej przyjemność, więc

przysunąłem się bliżej. Cléa położyła mi ręce na ramionach i stanęła bardzo blisko mnie. Serce było mi jak szalone, nie zwracałem najmniejszej uwagi na nasze cienie, zapatrzony w duże oczy Cléi, które były coraz bliżej mojej twarzy, aż w końcu zacząłem zezować. Nasze nosy się dotknęły, Cléa wyrzuciła gumę do żucia, a pode mną ugięły się nogi i bałem się, że zaraz zemdleję.

W jakimś filmie mówili, że pocałunki mają smak miodu. Z Cléą smakowały jak guma truskawkowa, którą wyrzuciła, zanim mnie pocałowała. Słuchając bicia własnego serca w piersi, pomyślałem, że być może można umrzeć od pocałunku. Mimo to pragnąłem, żeby zrobiła to jeszcze raz, ale odsunęła się. Patrzyła na mnie. Uśmiechnęła się i napisała na kartce, zanim uciekła biegiem:

– Jesteś moim złodziejem cienia, gdziekolwiek będziesz, będę o tobie myślała.

Tak właśnie może odmienić się życie w sierpniowe dni. Wystarczy spotkać jakąś Cléę, żeby już nigdy poranek nie był taki jak dawniej, żeby już nic nie było jak dawniej, żeby zniknęła samotność.

Wieczorem, po moim pierwszym pocałunku, miałem ochotę napisać do Luca o tym, co mi się przydarzyło. Może w ten sposób pragnąłem przedłużyć tę chwilę. Mówiąc o Cléi, mogłem zatrzymać ją przy sobie przez jakiś czas. Ale potem podarłem list na tysiąc kawałków.

Nazajutrz Cléa nie pojawiła się u stóp latarni. Dziesięć razy wracałem na deptak, czekając, aż przyjdzie. Bałem się, że wpadła do wody. Bardzo niebezpiecznie jest przywiązywać się do kogoś. Aż trudno uwierzyć, jak to może boleć. Już sam strach, że się tego kogoś utraci, jest bolesny. Nie wyobrażałem sobie nawet, że tak jest. Z tatą nie miałem wyboru, bo nie

wybiera się ojca, a zwłaszcza nie decyduje się o tym, że ten ojciec pewnego dnia postanowi porzucić rodzinę, ale z Cléą to inna sprawa.

Z nią wszystko było inaczej. Pogrążałem się w smutku, kiedy dobiegł mnie śpiew wiolonczeli. Cléa była w porcie, z rodzicami, zatrzymali się przy budce z lodami. Trochę lodów spadło jej ojcu z rożka na koszulę i Cléa wybuchnęła śmiechem. Nie wiedziałem, co robić – zostać na miejscu czy biec do niej. Mama Cléi skinęła mi ręką. Odwzajemniłem gest powitania i poszedłem w przeciwną stronę.

Spędziłem paskudny dzień, czekając na Cléę i nie rozumiejąc, dlaczego tak bardzo psuje mi to nastrój. Deptak, po którym jeszcze wczoraj spacerowaliśmy, teraz zalewały fale. Samotność w tym miejscu pogrążała mnie. Musiałem zmierzyć się z najgorszym z cieni – brakiem, a jego towarzystwo było nieznośne. Nie powinienem był tak bardzo ufać Cléi, nie powinienem ujawniać swojej tajemnicy. Szkoda, że ją spotkałem. Jeszcze parę dni temu nie potrzebowałem jej, moje życie było, jakie było, ale przynajmniej jakoś się trzymałem. Teraz, kiedy nie miałem wiadomości od Cléi, walił się cały świat. To straszne czekać na znak od kogoś, żeby poczuć się szczęśliwym. Opuściłem deptak i poszedłem się przejść po bazarze przy plaży. Zapragnąłem napisać do ojca, więc zwinąłem ze straganu dużą pocztówkę i usiadłem przy stoliku w barze. O tej porze było tu prawie pusto i kelner nawet nie protestował.

Tato!Piszę do Ciebie znad morza, gdzie spędzam z mamą krótkie wakacje. Chciałbym, żebyś Był z nami, ale jest jak jest. Jestem ciekawy, co u Ciebie słychać, czy jesteś szczęśliwy. U mnie ze szczęściem bywa różnie. Gdybyś tu był, opowiedziałbym Ci, co mi się przydarzyło, i myślę, że ulżyłoby mi. Dałbyś mi parę rad.

Luc mówi, że ma już dość rad ojca, ale mnie ich brakuje. Mama twierdzi, że niecierpliwość zatruwa dzieciństwo, ale tak, bardzo chciałbym dorosnąć, tato, móc swobodnie podróżować, uciec od miejsc, w których nie czuję się dobrze. Kiedy będę dorosły, wyruszę na spotkanie z Tobą i odnajdę Cię, gdziekolwiek będziesz. Jeżeli do tego czasu się nie spotkamy, będziemy sobie mieli tyle do powiedzenia, rozmowa wypełni nam sto obiadów albo przynajmniej tydzień wakacji tylko we dwóch. Cudownie by było móc spędzić razem tyle czasu. Domyścam się, że to zbyt trudne, ale zastanawiam się dlaczego. Kiedy o tym myślę, zawsze zadaję sobie pytanie, dlaczego do mnie nie piszesz. Przecież wiesz, gdzie mieszkam. Może odpiszesz na tę kartkę, może po powrocie do domu znajdę w skrzynce list od Ciebie, może po mnie przyjedziesz? Ale chyba mam już dość tych „może”. Syn, który kocha Cię mimo wszystko. Doczłapałem do skrzynki pocztowej. To nic, że nie znałem adresu ojca. Zrobiłem tak, jak ze Świętym Mikołajem – wrzuciłem kartkę bez znaczka i bez adresu.



Na straganie wisiał piękny latawiec z pergaminu. Miał kształt orła. Powiedziałem sprzedawcy, że mama przyjdzie później, żeby mu zapłacić. Ponieważ wzbudzam zaufanie, odszedłem z latawcem pod pachą.

Na opakowaniu napisano, że linka ma czterdzieści metrów długości. Z wysokości czterdziestu metrów nad ziemią musi być widać całą tę nadmorską wioskę, dzwonnice kościoła, bazar, karuzelę z drewnianymi konikami, drogę między plażą a wsią. Gdyby puścić linkę, latawiec pewnie zobaczyłby cały kraj, a przy pomyślnych wiatrach okrążyłby Ziemię i widziałby z bardzo wysoka tych, za którymi tęsknimy. Chciałbym być

latawcem.

Mój orzeł ładnie wznosił się nad ziemią, nie rozwinąłem nawet całej linki, a on dumnie latał pod niebem. Jego cień przesuwał się po piasku. Cienie latawców są martwymi cieniami, to tylko plamy. Kiedy się już znudziłem, ściągnąłem orła do siebie, złożyłem jego skrzydła i poszliśmy do domu. W pokoju najpierw szukałem miejsca, gdzie mógłbym go ukryć, ale potem zmieniłem zdanie.

Mama nieźle zmyła mi głowę, kiedy pokazałem jej prezent, jaki mi sprawiła. W pierwszej chwili groziła, że wyrzuci latawiec do śmieci, później wpadła na jeszcze okrutniejszy pomysł: żebym odniósł go sprzedawcy, któremu będę musiał się wytłumaczyć i przeprosić za ten niewybaczalny wybryk. Użyłem mojego niezawodnego uśmiechu zbitego psa, ale tym razem nie podziałał na mamę. Musiałem iść spać bez kolacji, jednak to był drobiazg, bo kiedy jestem obrażony, i tak nie chce mi się jeść.



Nazajutrz o wpół do jedenastej mama zaparkowała przed bazarem przy plaży, otworzyła drzwi samochodu i rzuciła z groźną miną:

– Wsiadaj. I pospiesz się, wiesz, co masz zrobić!

Moja katorga zaczęła się po śniadaniu. Musiałem bardzo starannie nawinąć linkę, złożyć skrzydła orła i przewiązać go wstążką, którą dała mi mama. Droga upłynęła nam w grobowej ciszy. Teraz czekało mnie jeszcze przejście wzdłuż plaży na bazar, zwrócenie latawca sprzedawcy i przeprosiny za nadużycie zaufania. Odszedłem więc ze spuszczoną głową, niosąc pod pachą latawiec.

Z samochodu mama wszystko widziała, ale nic nie słyszała.

Podszedłem do sprzedawcy i z miną męczennika oświadczyłem, że matka nie ma już pieniędzy na prezent urodzinowy dla mnie i powiedziała, iż nie może zapłacić za orła. Sprzedawca odpowiedział, że przecież taki prezent niewiele kosztuje. Wyjaśniłem mu, że moja matka jest tak skąpa, iż słowo „niedrogi” nie istnieje w jej słowniku. Dodałem, że naprawdę bardzo mi przykro, a latawiec jest jak nowy, latał tylko raz, i to niezbyt wysoko. Zaproponowałem pomoc w porządkowaniu sklepiku, żeby wynagrodzić stratę. Błagałem, żeby potraktował mnie łagodnie, bo jeśli wrócę do matki i powiem, że nie udało mi się rozwiązać problemu, nie dostanę prezentu także na Gwiazdkę. Musiałem wypaść przekonująco, sprzedawca wyraźnie się łamał. Zerknął wrogo na moją matkę, a do mnie mrugnął okiem, mówiąc, że z przyjemnością podaruje mi ten latawiec. Chciał nawet powiedzieć parę słów mamie, ale przekonałem go, że to kiepski pomysł. Dziękowałem mu raz po raz, a potem poprosiłem, żeby przechował mój prezent, tłumacząc, że przyjdę po niego później. Wróciłem do samochodu i dałem słowo, że wszystko załatwiłem. Matka pozwoliła mi iść na plażę i odjechała.

Nie byłem z siebie zadowolony, bo naopowiadałem o niej okropnych rzeczy, ale cieszyłem się, że udało mi się zemścić.

Kiedy samochód zniknął, pobiegłem po mojego orła i zabrałem go na plażę, gdzie zaczął się odpływ. Puszczanie latawca, kiedy słyszy się, jak muszle pękają pod nogami, ma w sobie coś boskiego.

Wiatr był silniejszy niż poprzedniego dnia, linka błyskawicznie się rozwijała. Mocno ciągnąc linkę, zdołałem wykonać pierwszą figurę, niemal doskonałą ćwierć ósemki. Cień latawca przesuwał się daleko po piasku. Nagle ujrzałem obok siebie znajomy cień i o mało nie wypuściłem orła. Cléa

stała po mojej prawicy.

Położyła dłoń na mojej ręce, ale nie żeby ją przytrzymać, tylko żeby przejąć latawiec. Powierzyłem jej orła – uśmiech Cléi miał nade mną władzę, niczego nie potrafiłem jej odmówić.

Zapewne nie po raz pierwszy bawiła się latawcem, bo manewrowała nim ze zręcznością, która wprawiła mnie w osłupienie. Pełna ósemka, cała seria takich ósemek, a do tego idealne „S”. Cléa była poetką przestworzy, potrafiła rysować litery na niebie. Kiedy wreszcie zrozumiałem, co robi, przeczytałem: „Tęskniłam za tobą”. Dziewczyny, która umie napisać latawcem „Tęskniłam za tobą”, nie da się zapomnieć.

Cléa położyła orła na plaży, odwróciła się do mnie i usiadła na wilgotnym piasku. Nasze cienie się połączyły. Ten, który należał do Cléi, pochylił się w moją stronę.

– Nie wiem, co mnie bardziej boli: drwiny, które wyczuwam za plecami, czy pełne współczucia spojrzenia, które widzę na twarzach. Kto pokocha dziewczynę, która nie może mówić, za to krzyczy, gdy się śmieje? Kto mnie uspokoi, kiedy będę się bała? A już teraz boję się tak bardzo, że nic nie słyszę, nawet w głowie. Boję się dorosnąć, jestem sama, a dni są podobne do niekończących się nocy, przez które idę jak automat.

Żadna inna dziewczyna nie odważyłaby się powiedzieć czegoś takiego chłopakowi, którego ledwie знаła. To nie Cléa wypowiedziała te słowa, ale jej cień szeptał mi je do ucha na plaży, a ja wreszcie zrozumiałem, dlaczego błagał o ratunek.

– Cléo, uwierz mi, dla mnie jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie, twoje chrapliwe krzyki rozpraszają chmury na niebie, śmiech ma dźwięk wiolonczeli. Pamiętaj, że żadna dziewczyna na świecie nie potrafi tak jak ty manewrować latawcem.

Wyszeptałem to zdanie za twoimi plecami, żebyś go nie usłyszała. Przy tobie to ja stałem się niemy.

Spotykaliśmy się co rano na skałach. Cléa szła na bazar po mój latawiec, a potem biegliśmy razem do opuszczonej latarni morskiej i tam spędzaliśmy całe dni.

Wymyślałem opowieści o piratach, a Cléa uczyła mnie mówić rękami i odkrywałem poezję języka, który rozumieją tak nieliczni. Orzeł przywiązany sznurkiem do balustrady krążył coraz wyżej, igrając na wietrze.

W południe siadaliśmy pod latarnią i jedliśmy razem to, co przygotowała mama. Mama wiedziała, chociaż nigdy nie rozmawialiśmy o tym wieczorami, domyślała się, co mnie łączy z dziewczynką, która nie mówi, jak nazywali ją miejscowi. Trudno uwierzyć, jak bardzo dorośli boją się słów. Dla mnie „niema” brzmiało znacznie ładniej.

Czasami po obiedzie Cléa zasypiała z głową na moim ramieniu. Myślę, że kiedy tak całkowicie mi ufała, to były najpiękniejsze chwile dnia. Ktoś, kto tak ufa, porusza do głębi. Patrzyłem, jak śpi, zastanawiając się, czy we śnie odzyskuje mowę, czy słyszy swój melodyjny głos. Późnym popołudniem, na pożegnanie, całowaliśmy się. Przez sześć niezapomnianych dni.



Moje krótkie wakacje zbliżały się do końca. Kiedy jadłem śniadanie, mama zaczęła pakować walizki i już wkrótce mieliśmy opuścić wynajęty pokój. Prosiłem, żebyśmy zostali dłużej, ale nie mogliśmy, bo mama musiała wracać do pracy. Obiecała, że wrócimy tu w przyszłym roku. Przez rok tak wiele może się wydarzyć.

Poszedłem pożegnać się z Cléą. Czekala na mnie pod

latarnią morską i natychmiast zrozumiała, dlaczego mam taką minę. Nie chciała wchodzić na górę. Gestem ręki kazała mi już iść i odwróciła się do mnie tyłem. Wyjąłem z kieszeni liścik, który napisałem ukradkiem poprzedniego wieczoru. Mówiłem w nim o wszystkim, co myślałem. Cléa nie chciała go wziąć. Chwyciłem ją za rękę i zaprowadziłem na plażę.

Palcem u nogi narysowałem na piasku połówkę serca, zwinąłem kartkę w rulon i wbiłem ją w piasek, a potem odszedłem.

Nie wiem, czy Cléa zmieniła zdanie, czy dokończyła rysunek. I nie wiem, czy przeczytała list.



W drodze powrotnej przez chwilę pragnąłem, żeby nie wzięła tego liściku, żeby porwały go fale. Może się wstydzilem. Napisałem, że jest tą, o której będę myślał, budząc się, i obiecałem, że gdy wieczorem zamknę powieki, będę widział jej ogromne oczy i myślał o starej latarni morskiej, która nocą zabłyśnie, ciesząc się, że przywróciliśmy jej życie. To musiało brzmieć strasznie niezręcznie.

Pozostało mi zabrać wspomnienia, aby żywić się nimi przez nadchodzące miesiące – zapas szczęśliwych chwil na jesień, kiedy noc będzie mnie łapała w drodze ze szkoły.

W szkole postanowiłem o niczym nie mówić, bo wspomnianie o Cléi po to, żeby rozgniewać Élisabeth, nie miałyoby już dla mnie żadnego sensu.

Już nigdy nie pojechaliśmy do tej wsi. Ani w następnym roku, ani w kolejnych. I nigdy nie spotkałem się z Cléą.

Myślałem, żeby napisać do niej na *poste restante*: mała opuszczona latarnia morska na końcu deptaka. Ale już podając adres, zdradziłbym sekret.

Dwa lata później całowałem się z Élisabeth. Jej pocałunek nie miał smaku miodu ani truskawek, pachniał tylko zemstą na Marquésie, z którym zrównałem się wzrostem. Trzy kolejne lata w roli gospodarza klasy dają pewną pozycję.

Nazajutrz po pocałunku z Élisabeth rozstaliśmy się.

Nie kandydowałem w wyborach – moje miejsce zajął Marqués. Chętnie przekazałem mu swoją funkcję. I na zawsze nabrałem wstrętu do polityki.

Po strachu przed nocą przyszła kolej na strach przed samotnością. Nie lubię spać sam, a jednak właśnie tak żyję – w kawalerce na poddaszu kamienicy w pobliżu wydziału medycyny. Wczoraj obchodziłem dwudzieste urodziny. Przez to, że wcześniej poszedłem do szkoły, musiałem je świętować, zanim nawiązałem nowe przyjaźnie. Plan zajęć na uczelni nie zostawia nam czasu na nic innego.

Dwa lata temu rozstałem się z dzieciństwem – zostało za kasztanowcem na szkolnym dziedzińcu, w miasteczku, gdzie dorastałem.

W dniu rozdania świadectw matka była obecna – koleżanka zastąpiła ją na dyżurze. Mógłbym przysiąc, że w dali, za ogrodzeniem, widziałem sylwetkę ojca, ale prawdopodobnie to było złudzenie, zawsze przecież miałem bujną wyobraźnię.

Zostawiłem swoje dzieciństwo na drodze do domu, gdzie jesienne deszcze moczyły mi ramiona, na strychu, gdzie rozmawiałem z cieniami, patrząc na zdjęcie rodziców z czasów, kiedy się jeszcze kochali.

Zostawiłem swoje dzieciństwo na peronie dworca, żegnając się z najlepszym przyjacielem i tuląc w ramionach matkę, której obiecałem, że odwiedzę ją, kiedy tylko będę mógł.

Na tym peronie widziałem ją płaczącą. Tym razem nie próbowała ukrywać łez. Nie byłem już dzieckiem, które pragnęła chronić przed wszystkim, także przed swoim płaczem i smutkiem, który tak naprawdę nigdy jej nie opuścił.

Kiedy pociąg ruszał i wychyliłem się przez okno wagonu, zobaczyłem, że Luc bierze ją za rękę i pociesza.

Mój świat wywrócił się do góry nogami – to Luc powinien wsiąść do tego pociągu, to on miał zdolności do nauk

przyrodniczych. A z nas dwóch to ja powinienem zaopiekować się pielęgniarką, która poświęciła życie innym, przede wszystkim synowi.



Czwarty rok medycyny.

Mama przeszła na emeryturę, teraz prowadzi bibliotekę miejską. We środy gra w belotkę z trzema przyjaciółkami.

Często do mnie pisze. Zajęcia na uczelni i nocne dyżury zajmują mi tyle czasu, że rzadko mam wolną chwilę, żeby jej odpisać. Odwiedza mnie dwa razy w roku. Jesienią i wiosną zatrzymuje się w hoteliku o dwa kroki od Szpitala Klinicznego i biega po muzeach, czekając na mój powrót.

Chodzimy na spacerzy nad rzekę. Podczas tych przechadzek pyta o moje życie i udziela setek rad, podpowiadając, co robić, żeby zostać lekarzem pełnym humanitaryzmu, bo w jej oczach to równie ważne, jak być dobrym lekarzem. W ciągu czterdziestu lat pracy widziała ich wielu i na pierwszy rzut oka potrafi poznać tych, którzy przedkładają karierę nad pacjentów. Słucham jej w milczeniu. Po spacerze zabieram ją na kolację do knajpki, którą lubi i gdzie zawsze chce płacić rachunek.

„Kiedyś, gdy będziesz już doktorem, zaprosisz mnie do dobrej restauracji”, powtarza, zabierając mi rachunek.

Rysy jej twarzy zmieniły się, ale z oczu wyziera czułość, która się nie starzeje. Rodzice starzeją się do pewnego wieku, potem ich wizerunek trwale wpisuje się w naszą pamięć. Wystarczy przymknąć oczy i pomyśleć o nich, żeby ujrzeć ich takich, jacy byli, jakby miłość, którą ich darzymy, miała moc zatrzymywania czasu.

Podczas każdego pobytu porządkuje moją norę, jakby uważała to za swój obowiązek. Kiedy wyjeżdża, znajduję

w szafie stos nowych koszul, a na łóżku czystą pościel, której zapach przypomina mi pokój z lat dzieciństwa.

Na nocnym stoliku trzymam zawsze list, który napisała niegdyś na moją prośbę, i zdjęcie znalezione na strychu.

Gdy odprowadzam ją na dworzec, tuli mnie i potem wsiada do wagonu, a jej uścisk jest zawsze tak mocny, że boję się, iż nigdy więcej jej nie zobaczę. Patrzę, jak pociąg znika za zakrętem, aby pomknąć do miasteczka, w którym się wychowałem, ku memu dzieciństwu, oddalonemu o sześć godzin jazdy od miejsca, gdzie teraz mieszkam.

Tydzień po jej wyjeździe zawsze dostaję list. Opowiada mi w nim o podróży i o partyjkach belotki, a poza tym podaje listę książek, które powinienem jak najszybciej przeczytać. Niestety, moją jedyną lekturą są podręczniki medycyny, które przeglądam nocą, przygotowując się do egzaminów.

Dyżuruję na przemian na izbie przyjęć i na pediatrii, pacjenci wymagają wiele uwagi. Mój szef to porządny facet, profesor, którego krzyku wszyscy się boją. A krzyczy przy każdym zaniedbaniu, po każdym błędzie. Ale przekazuje nam swoją wiedzę, a właśnie tego oczekujemy. Co rano, zaczynając obchód, niezmordowanie powtarza nam, że medycyna to nie zawód, ale powołanie.

Podczas przerwy biegnę do kafeterii po kanapki i siadam w ogrodzie przed kliniką. Spotykam tam wielu moich małych pacjentów, którzy wracają już do zdrowia. Tu, w towarzystwie rodziców, mogą odetchnąć świeżym powietrzem.

Właśnie w tym ogrodzie, tuż przy ukwieconym trawniku, moje życie odmieniło się po raz drugi.



Drzemałem na ławce. Studia medyczne to nieustanne

zmaganie się z niedoborem snu. Koleżanka z czwartego roku przysiadła się do mnie, wyrywając mnie z płytkiej drzemki. Sophie to dziewczyna pełna życia i ładna, dobrze się znamy i od miesięcy flirtujemy ze sobą, nie starając się w żaden sposób nazywać tego, co nas łączy. Gramy przyjaciół, udając, że nie dostrzegamy wzajemnej namiętności. Oboje dobrze wiemy, że brak nam czasu na prawdziwy związek. Tego ranka Sophie po raz setny mówiła mi o przypadku, który nie dawał jej spokoju. Dziesięcioletni chłopiec od dwóch tygodni nie przyjmował pokarmów. Jego stanu nie uzasadniały żadne patologie, układ pokarmowy funkcjonował prawidłowo – nie dopatrzono się żadnych zaburzeń wyjaśniających fakt, że organizm błyskawicznie odrzuca wszystko, co dziecko połknie. Chłopiec leżał pod kroplówką, a jego stan pogarszał się z dnia na dzień. Wzywano do niego trzech psychologów, ale nie udało im się rozwikłać zagadki. Sophie miała już obsesję na punkcie tego dzieciaka, interesowało ją tylko poszukiwanie sposobu leczenia jego choroby. Chciałem, żeby powróciły te środowe wieczory, kiedy urządzałyśmy sobie wspólne powtórki, więc, nadając słowom pewną dwuznaczność, obiecałem jej przejrzeć jego kartę i także o nim pomyśleć. Jakbyśmy my, zwykli praktykanci, mogli być mądrzejsi od zespołu lekarzy pracujących w szpitalu! Czyż jednak uczeń nie marzy zawsze, by przerosnąć mistrza?

Mówiła o pogorszeniu stanu zdrowia dziecka, kiedy moją uwagę zwróciła mała dziewczynka, która grała w ogrodowej alejce w klasy. Obserwując ją uważnie, zorientowałem się, że wcale nie skacze z pola na pole, zgodnie z zasadami. Ta zabawa polegała na czym innym – mała skakała na złączonych nogach na swój cień, mając nadzieję, że go schwyta dzięki szybkiemu manewrowi.

Zapytałem Sophie, czy jej mały pacjent może jeździć na

wózku i zaproponowałem, żeby go przywiozła. Sophie wolałaby, żebym to ja poszedł do jego pokoju, ale nalegałem i prosiłem, żeby nie traciła czasu. Pora, gdy słońce skrywa się za dachem budynku głównego, była już bliska, a ja potrzebowałem słońca. W końcu Sophie uległa.

Kiedy zniknęła mi z oczu, podszedłem do dziewczynki i kazałem jej obiecać, że zachowa w tajemnicy to, co zaraz jej powiem. Wysłuchiwała uważnie i zgodziła się zawrzeć układ.

Sophie wróciła po kwadransie, popychając wózek, na którym siedział jej mały pacjent. Bladość jego skóry i zapadnięte policzki świadczyły o wycieńczeniu organizmu. Widząc go, zrozumiałem, dlaczego Sophie aż tak się o niego martwiła. Zatrzymała się kilka metrów ode mnie, a z jej oczu wyczytałem pytanie: „I co teraz?”. Poprosiłem, żeby przesunęła wózek bliżej dziewczynki. Sophie zrobiła to, a potem usiadła obok mnie na ławce.

– Myślisz, że jedenastoletnia dziewczyna zdoła go wyleczyć? To twoja cudowna kuracja?

– Daj im chwilę, niech zwróci na nią uwagę.

– Przecież ta mała gra w klasy, dlaczego miałby się nią zainteresować? Dobrze, dość tego, odwiozę go do pokoju.

Chwyliłem Sophie za rękę i nie pozwoliłem jej odejść.

– Parę minut na powietrzu na pewno mu nie zaszkodzi.

A ty masz przecież innych pacjentów i powinnaś do nich zajrzeć. Zostaw mi go tutaj, popilnuję ich, póki mam przerwę. Nie bój się, będę go strzegł jak źrenicy oka.

Sophie wróciła na oddział pediatryczny. Podszedłem do dzieci, odpiąłem pasy, które zabezpieczały siedzącego w fotelu chłopca, wziąłem go na ręce i zaniósłem na trawnik. Tu, wzięwszy go na kolana, usiadłem plecami do zachodzącego słońca. Dziecko wtuliło się we mnie, oparło głowę o mój tors.

Błagałem cię z dzieciństwa, żeby do mnie powrócił, ale to było już tak dawno.

Tego, co potem usłyszałem, nie zdołałoby wymyślić żadne dziecko. Nie wiem, czy to on, czyjego cię szeptał mi do ucha, bo odwykłem od takich zwierzeń.

Odniosłem chłopca, posadziłem go w fotelu i zawołałem dziewczynkę, prosząc, by przy nim została do powrotu Sophie, a potem zająłem swoje miejsce na ławce.

Kiedy przyszła Sophie, powiedziałem jej, że mistrzyni gry w klasy i jej mały pacjent zdążyli się polubić, a dziewczynce udało się już nawet skłonić go, by wyjawiał, co tak mocno nim wstrząsnęło. Mała zgodziła się mi to powtórzyć. Sophie patrzyła na mnie zaskoczona.

Chłopczyk hodował królika i to stworzonko stało się jego powiernikiem i najlepszym przyjacielem. Jednak dwa tygodnie temu królik uciekł, a tego samego wieczoru, przy kolacji, matka dziecka zapytała, jak smakował rodzinie królik w potrawce, którego sama przyrządziła. Chłopiec od razu zrozumiał, że królik nie żyje i że właśnie go zjedli. Od tej chwili chciał tylko jednego – odpokutować za ten grzech i iść do swojego najlepszego przyjaciela tam, gdzie musiał się teraz znajdować. Może należałoby pomyśleć dwa razy, zanim powie się dziecku, że umarli żyją bez kochających ich osób w niebie.

Wstałem i zostawiłem osłupiałą Sophie na ławce. Teraz, kiedy odkryłem istotę problemu, należało przede wszystkim zastanowić się nad jego rozwiązaniem.

Po dyżurze znalazłem w swojej szafce kartkę od Sophie – chciała, żebym do niej przyszedł, bez względu na porę.



Zadzwońnięm do drzwi o szóstej rano. Sophie miała

rozespane oczy i była ubrana tylko w męską koszulę. W tym stroju wydała mi się pociągająca, chociaż koszula nie była moja.

Weszliśmy do kuchni i usiedliśmy przy kawie. Sophie zapytała, jak mogło mi się udać coś, z czym nie poradziła sobie trójka psychologów.

Przypomniałem jej, że dzieci mają własny język, który my już zapomnieliśmy, swój specyficzny sposób porozumiewania się.

– A tobie od razu przyszło do głowy, że zwierzy się tej małej!

– Miałem nadzieję, że szczęście się do nas uśmiechnie, a jeśli istnieje choćby cień szansy, to chyba warto to wykorzystać?

Sophie przerwała, wytykając mi kłamstwo. Dziewczynka wypaplała, że była zajęta grą w klasy, a ja siedziałem z małym pacjentem.

– Jej słowo przeciwko mojemu – odparłem, uśmiechając się do Sophie.

– Zabawne – ripostowała – ale jakoś łatwiej mi uwierzyć jej niż tobie.

– Powiesz mi, kto ci dał tę koszulę?

– Kupiłam ją na ciuchach.

– Widzisz, ty też nie umiesz kłamać.

Sophie wstała i podeszła do okna.

– Wczoraj w południe dzwoniłam do jego rodziców, to ludzie ze wsi, nie przypuszczali, że syn mógł się tak przywiązać do królika, i to właśnie do tego jednego. Nie rozumieją tego. Uważają, że króliki hoduje się po to, żeby je jeść.

– Zapytaj, jak by się czuli, gdyby kazano im zjeść ich psa.

– Nie ma sensu ich oskarżać, i tak są zrozpaczeni. Matka wciąż płacze, a ojciec jest kompletnie załamany. Masz pomysł

na wyciągnięcie małego z tego stanu?

– Może. Niech się postarają o młodego króliczka, rudego jak tamten, i niech go nam jak najszybciej przywiozą.

– Chyba nie zamierzasz wnosić królika do szpitala? Gdyby ordynator się o tym dowiedział, to pamiętaj, że to twój pomysł, a ja nie miałam o niczym pojęcia.

– Ja bym cię nie wydał. Czy teraz mogłabyś już zdjąć tę koszulę? Jest taka paskudna...



Kiedy Sophie brała prysznic, drzemałem w jej łóżku, zbyt zmęczony, żeby wracać do siebie. Zaczynała dyżur za godzinę, ja miałem jeszcze dziesięć, żeby się wyspać. Mieliśmy się zobaczyć w szpitalu, chociaż tej nocy pracowałem na izbie przyjęć, a ona na pediatrii, czyli w dwóch różnych budynkach.

Kiedy się obudziłem, na stole w kuchni czekał talerz z serami i liścik. Sophie prosiła, żebym w wolnej chwili do niej zajrzał. Myjąc talerz, zauważyłem w koszu na śmieci koszulę, którą miała na sobie tego ranka.

Przyszedłem na izbę przyjęć o północy. Rejestratorka poinformowała mnie, że wieczór był spokojny, właściwie mógłbym zostać w domu – dodała, wpisując mnie na tablicę dyżurujących stażystów.

Nikt nie potrafi wyjaśnić, dlaczego w niektóre noce na izbach przyjęć panuje tłok, a w inne prawie nic się nie dzieje. Ponieważ byłem zmęczony, nie zamierzałem narzekać na bezczynność.

Sophie spotkała się ze mną w kafeterii. Przysnąłem z głową opartą na rękach i nosem wciśniętym w stół. Obudziła mnie kuksańcem.

– Śpisz?

– Już nie – odparłem.

– Moi wieśniacy znaleźli rzadki skarb, rudego króliczka, dokładnie takiego, o jakiego prosiłeś.

– Gdzie teraz są?

– W hotelu, niedaleko stąd, czekają na telefon ode mnie. Jestem stażystką na pediatrii, a nie weterynarzem, więc gdybyś zechciał przedstawić mi swój plan, byłabym ci szczerze zobowiązana.

– Zadzwoń i powiedz, żeby przyszedli na izbę przyjęć, wyjdę po nich.

– O trzeciej nad ranem?

– A widziałaś kiedyś, żeby szef kliniki przechadzał się po korytarzach w środku nocy?

Sophie odszukała numer do hotelu w czarnym notesie, który nosiła w kieszeni fartucha. Ja pobiegłem na izbę przyjęć.

Rodzice jej małego pacjenta sprawiali wrażenie zdumionych. Fakt, że ktoś budzi ich nad ranem i każe przynieść do szpitala króliczka, wydawał się równie niepojęty im, jak i Sophie.

Matka chłopca ukryła małe zwierzątko w kieszeni palta. Wprowadziłem gości, wyjaśniwszy recepcjonistce, kim są – przedstawiłem ich jako ciotkę i wuja z prowincji, którzy przyjechali do mnie w odwiedziny. Nie wyglądała na zdziwioną tak późną porą tego rodzinnego spotkania, zresztą taka błażostka to za mało, żeby zaskoczyć kogoś, kto pracuje na izbie przyjęć w dużym szpitalu.

Poprowadziłem rodziców chłopca korytarzami, starając się uniknąć spotkania z pielęgniarką dyżurną.

Po drodze wyjaśniłem matce pacjenta, czego od niej oczekuję. Kiedy dotarliśmy do drzwi pediatrii, Sophie już na nas czekała.

– Posłałam pielęgniarkę dyżurną po herbatę do kafeterii, chwilę jej to zajmie, ale musisz się pospieszyć, cokolwiek zamierzasz zrobić, bo niedługo wróci. Daję wam najwyżej dwadzieścia minut – powiedziała Sophie.

Do pokoju chłopca weszła ze mną tylko matka. Usiadła na łóżku i pogłaskała go po głowie, żeby się obudził. Mały otworzył oczy i ujrzał mamę, jak we śnie. Ja siedziałem po drugiej stronie.

– Nie chciałem cię budzić, ale musimy ci coś pokazać – powiedziałem.

Dałem mu słowo, że nikt nie zjadł jego królika i że zwierzę wciąż żyje. Królik miał małe i jak każdy łajdak uciekł natychmiast z inną panią królikową, która wpadła mu w oko. Niektórzy ojcowie tak postępują.

– Twój tata czeka na korytarzu, zupełnie sam za tymi drzwiami, w środku nocy, bo kocha cię najbardziej na świecie, tak jak i twoją mamę. A jeśli mi nie wierzysz, to sam zobacz!

Matka wyjęła króliczka z kieszeni i położyła go na łóżku synka, przytrzymując obiema dłońmi. Dziecko popatrzyło uważnie na króliczka, wolno wysunęło rękę i pogłaskało go po łebku, a wtedy mama podała mu malca – znajomość została nawiązana.

– Ten króliczek nie ma nikogo, kto by się o niego troszczył. Jeżeli nie odzyskasz sił, zmarnieje. Musisz zacząć jeść, żebyś mógł się nim zaopiekować.

Zostawiłem chłopca z matką. Kiedy wyszedłem, poprosiłem ojca, żeby do nich wszedł. Miałem nadzieję, że moje drobne oszustwo zadziała. Ten prosty, masywny mężczyzna chwycił mnie w ramiona. Przez ułamek sekundy chciałem być małym chłopcem, który zaraz zobaczy swego tatę.



Nazajutrz po przyjeździe do szpitala znalazłem w szafce wiadomość z sekretariatu szefa kliniki – proszono mnie o niezwłoczne stawienie się w jego biurze. Po raz pierwszy otrzymałem takie wezwanie, więc najpierw zamieniłem dwa słowa z Sophie. Dyżurna pielęgniarka znalazła w łóżku małego pacjenta z pokoju 302 sierść królika, dziecko się wygadało w zamian za sok owocowy i płatki kukurydziane.

Sophie wyjaśniła pielęgniarce, co zwierzątko robiło w szpitalu, i – powołując się na skuteczność kuracji – błagała o zachowanie tego w tajemnicy. Niestety, są ludzie, dla których regulamin jest ważniejszy od rozumu, nakazującego czasem łamać zasady. Niesamowicie, jak regulaminy uspokajają tych, którym brakuje wyobraźni.

Cóż, w końcu przeżyłem jakoś szkolne kary – siedzenie w kozie u pani Schaeffer – sześćdziesiąt dwa razy w ciągu sześciu lat nauki, czyli co czwartą sobotę, a teraz pracowałem w szpitalu po dziewięćdziesiąt sześć godzin tygodniowo. Co jeszcze mogło mnie spotkać?

Nie musiałem iść do gabinetu profesora Fernsteina, bo szef osobiście prowadził poranny obchód, a towarzyszyło mu dwóch asystentów. Dołączyłem do podążających za nimi studentów. Sophie z miną zbitego psa zbliżała się do pokoju 302.

Fernstein zerknął na zawieszoną na łóżku kartę choroby. Wszyscy czekali w milczeniu.

– A więc to ten chłopiec, który odzyskał dziś rano apetyt? Radosna nowina, prawda? – rzucił, patrząc na swoją świtę.

Psychiatra zaczął wychwalać skuteczność terapii, którą stosował od kilku dni.

– A pan – Fernstein zwrócił się do mnie – może potrafi pan inaczej wyjaśnić to nagłe ozdrowienie?

– Skądże, panie profesorze – odparłem, spuszczać głowę.
– Na pewno? – nie ustępował.
– Nie zdążyłem jeszcze zapoznać się z historią choroby tego pacjenta, połowę czasu spędzam na izbie przyjęć...
– W takim razie powinniśmy uznać, że to zespół psychologiczno-psychiatryczny, zajmujący się chłopcem, wykonał tę doskonałą robotę i jemu przypisać sukces? – zapytał znowu, przerywając mi w pół słowa.
– Nie mamy chyba podstaw tego kwestionować.
Fernstein odwiesił kartę i podszedł do chłopczyka.
Sophie i ja popatrzyliśmy na siebie – moja przyjaciółka była wściekła. Stary profesor pogłaskał dziecko po włosach.
– Bardzo się cieszę, że miewasz się już lepiej, mój chłopcze. Teraz zaczniemy cię stopniowo karmić, a jeśli wszystko będzie dobrze, za kilka dni będziemy mogli wyjąć igły z twojej ręki i wrócisz do domu.
Potem przeszliśmy do innych sal, a kiedy opuściliśmy ostatnią, studenci wrócili do swoich zajęć.
Gdy i ja zamierzałem odejść, Fernstein mnie zatrzymał.
– Proszę na słowo, młody człowieku! – powiedział.
Sophie dołączyła do nas i oznajmiła:
– Ja także ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało, panie profesorze, to moja wina – oświadczyła.
– Nie wiem, o jakiej winie pani mówi, więc szczerze radzę milczeć. Z pewnością ma pani sporo pracy, co pani tu jeszcze robi?
Sophie nie kazała sobie tego powtarzać – zostawiła mnie sam na sam z profesorem.
– Młodzieńcze – zaczął – regulaminy są po to, abyście mogli zdobywać doświadczenie, nie zabijając zbyt wielu pacjentów, a zdobyte doświadczenie pozwala wam je naruszać.

Nie wiem, jak pan dokonał tego małego cudu albo co pana naprowadziło na właściwy trop, i kiedyś z ogromną przyjemnością wysłucham pana, jeśli będzie pan tak dobry i zechce zdradzić mi swój sekret, bo teraz znam tylko szczątkowe relacje. Ale nie dziś, byłbym bowiem zmuszony pana ukarać, a należę do tych, którzy uważają, że w naszym fachu liczy się tylko skutek. Tymczasem powinien pan wybrać specjalizację z pediatrii.

Kiedy ma się jakiś dar, szkoda go marnować, wielka szkoda.

Po tych słowach stary profesor odszedł.

Z dyżuru wróciłem zamyślony i niespokojny. Przez cały dzień i noc ciążyło mi poczucie, że czegoś nie dokończyłem, ale nie potrafiłem ustalić czego.



To był potworny tydzień. Pacjenci oblegali izbę przyjęć, dyżury się przedłużały znacznie ponad zwyczajowe dwadzieścia cztery godziny.

W sobotę rano, z oczyma podkrążonymi bardziej niż zwykle, poszedłem na spotkanie z Sophie.

Umówiliśmy się w parku, nad stawem, gdzie dzieci bawiły się modelami łodzi.

Przyszła z koszem, w którym znalazłem jajka, kielbasę i pasztet.

– Proszę – powiedziała. – To od naszych rolników. Zostawili to dla ciebie w szpitalu, wczoraj, już po twoim wyjściu, więc zobowiązałam się, że ci to przekażę.

– Daj mi słowo, że to nie jest pasztet z zająca!

– Nie, to wieprzowina. A jajka są świeżutkie. Jeśli odwiedzisz mnie dziś wieczorem, zrobię omlety.

– Jak się czuje twój pacjent?

– Z każdym dniem nabiera kolorów, wkrótce wyjdzie ze szpitala.

Odchyliłem głowę w tył, oparłem kark na splecionych rękach i z rozkoszą wygrzewałem się w słońcu.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała Sophie. – Trzech psychologów stawało na głowie, żeby skłonić go do mówienia, a ty spędziłeś z nim w parku kilka minut i wszystkiego się dowiedziałeś...

Byłem zbyt zmęczony, żeby podać jej logiczne wyjaśnienie, jakiego oczekiwała. Sophie była racjonalna i potrzebowała racjonalnej odpowiedzi, a takiej w tej chwili nie potrafiłem wymyślić. Zacząłem mówić bez namysłu, jakby jakaś siła kazała mi głośno wyznać to, do czego dotąd nie ważyłem się przyznać przed samym sobą.

– Ten chłopczyk nie powiedział ani słowa, to jego cień wyjawiał mi, dlaczego cierpi.

I nagle ujrzałem w oczach Sophie ten sam żal i smutek, jaki wyczytałem niegdyś na strychu z oczu matki.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, potem się podniosła.

– To nie studia uniemożliwiają nam stworzenie prawdziwego związku. – Jej usta drżały, gdy to mówiła. – Zajęcia i praca to tylko pretekst. Prawdziwy powód jest inny: nie darzysz mnie zaufaniem.

– Może to rzeczywiście kwestia braku zaufania, bo inaczej uwierzyłabyś mi – odparłem.

Sophie odeszła, a ja zostałem, ale po kilku sekundach cichy głos w mojej głowie nawymyślał mi od kretynów. Poderwałem się i pobiegłem za nią.

– Po prostu miałem szczęście, zadałem mu trafne pytania. Zastanawiałem się nad własnym dzieciństwem, zapytałem, czy stracił przyjaciela, kazałem opowiadać o rodzicach i po nitce do

kłębka... wyciągnąłem tego królika... tak mi się powiedziało. To był zwyczajny łut szczęścia, żaden sukces czy powód do chwały. Dlaczego to dla ciebie aż tak ważne, przecież dzieciak zdrowieje, a chyba to najważniejsze?

– Godzinami siedziałam przy łóżku tego chłopca i nigdy go nie słyszałam, a ty chcesz mi wmówić, że w ciągu paru minut opowiedział ci o swoim życiu?

Jeszcze nigdy nie widziałem Sophie tak rozwścieczonej.

Wziąłem ją w ramiona i wtedy, nie zdając sobie z tego sprawy, dopuściłem, by mój cień zlał się z jej cieniem.

„Nie mam żadnego talentu, nie wyróżniam się w żadnej dziedzinie, wykładowcy wciąż mi to powtarzają. Nie byłam córeczką, o jakiej marzył ojciec; zresztą zawsze chciał mieć syna. Niezbyt ładna, za chuda albo za gruba, zależnie od wieku, uczennica dobra, ale na pewno nie najlepsza... Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek mnie pochwalił. Nie dostrzegał we mnie niczego, co by zasługiwało na podziw”.

Od cienia Sophie usłyszałem to wyszeptane zwierzenie i bardzo mnie to do niej zbliżyło. Ująłem ją za rękę.

– Chodź ze mną, chcę się podzielić z tobą tajemnicą.

Sophie poszła za mną pod lipę. Położyliśmy się na trawie, w cieniu liści, gdzie było odrobinę chłodniej.

– Mój ojciec oszedł w pewien sobotni rano, kiedy wróciłem ze szkoły, gdzie za karę, już w pierwszym tygodniu nauki, zamiatałem liście. Cekał w kuchni, żeby mi powiedzieć, że się wyprowadza. Przez całe dzieciństwo wyrzucałem sobie, że nie byłem dość dobry, żeby uznał, iż warto zostać w domu. Całymi nocami starałem się dociec, na czym polegał mój błąd, czym go tak mocno rozczarowałem. Wciąż sobie powtarzałem, że gdybym był błyskotliwym dzieckiem, z którego mógłby czuć się dumny, nie zostawiłby mnie. Wiedziałem, że zakochał się

w innej kobiecie, ale musiałem wziąć na siebie odpowiedzialność za jego odejście. Bo tylko ból pozwalał mi walczyć ze strachem, że zapomnę jego twarz, ból przypominał mi o jego istnieniu, o tym, że nie różnię się od szkolnych kolegów i jak oni mam ojca.

– Dlaczego mówisz mi o tym właśnie teraz?

– Przecież chciałaś, żebyśmy sobie ufali, prawda? To przerażenie, kiedy tylko jakaś sytuacja cię przerasta, izolowanie się, kiedy myślisz, że ci się nie powiedzie... Mówię o tym teraz, ponieważ tylko słowa pozwalają usłyszeć to, czego inaczej nie da się wyrazić. Twój mały pacjent konał z samotności, dlatego wolał skazać się na śmierć, stał się cieniem samego siebie. Jego smutek poprowadził mnie ku niemu.

Sophie spuściła oczy.

– Zawsze miałam trudne relacje z ojcem – wyznała.

Milczałem. Sophie oparła głowę na moim ramieniu i przez chwilę siedzieliśmy, nie odzywając się. Słuchałem śpiewu ptaków nad nami – brzmiał jak wyrzut, że nie odważyłem się powiedzieć wszystkiego, co powinienem, więc zdobyłem się wreszcie na odwagę:

– Tak bardzo chciałbym mieć choćby trudne stosunki z ojcem. To, że zbyt wymagający ojciec nie potrafi zaznać szczęścia, wcale nie oznacza, że córka musi iść jego śladem. Jeżeli kiedyś twój ojciec zachoruje, doceni to, czym się zajmujesz. No, dosyć gadaniny. Czy zaproszenie na omlet jest nadal aktualne?



Mały pacjent Sophie nie wyszedł ze szpitala. Pięć dni po tym, jak zaczął normalnie się odżywiać, doszło do komplikacji i trzeba było znów podawać mu kroplówki. Którejś nocy na

skutek krwotoku wewnętrznego zmarł mimo prób reanimacji. To Sophie poinformowała rodziców o jego śmierci, chociaż zwykle zadanie to powierza się lekarzowi dyżurnemu. Po prostu Sophie siedziała sama przed pustym już łóżkiem, kiedy rodzice weszli do sali 302.

Do mnie wiadomość dotarła podczas przerwy, w ogrodzie. Sophie przyszła do mnie. Nie potrafiłem znaleźć słów, które zdołałyby ją pocieszyć. Objąłem ją i bardzo mocno przytuliłem. Myślałem o radzie, jakiej udzielił mi w szpitalnym korytarzu Fernstein. Bezsilny wobec choroby, bezsilny wobec rozpacz, miałem ochotę zapukać do jego gabinetu i poprosić, by mi pomógł, ale tak się przecież nie postępuje.

Dziewczynka, która grała w klasy, stanęła przed nami. Obserwowała nas, zdumiona naszym smutkiem. Do ogrodu przyszła jej matka – usiadła na ławce i zawołała córkę. Dziewczynka jeszcze raz rzuciła na nas okiem i pobiegła do mamy, a ta postawiła na ławce tekturowe pudełko. Dziewczynka rozwiązała sznurek i wyjęła z pudełka bułeczkę z czekoladą. Mama sięgnęła po kawową eklerkę.

– W ten weekend nie bierz dyżuru – powiedziałem do Sophie. – Zabiorę cię daleko stąd.

Mama czekała na nas na peronie. Starłem się, jak mogłem, uspokoić Sophie, na próżno jednak przez całą drogę powtarzałem jej, że nie musi się obawiać żadnego osądu – perspektywa spotkania z moją matką przerażała ją. Stale poprawiała włosy, raz po raz obciągała sweter albo wygładzała fałdy spódnicy. Po raz pierwszy zobaczyłem ją tak ubraną – zwykle nosiła spodnie. To podkreślenie kobiecości jakby ją krępowało – Sophie przyjęła styl chłopczycy i trwała przy nim jak za murem obronnym.

Mama, z dużym wyczuciem, najpierw przywitała się z nią,

dopiero potem przytuliła mnie. Zauważyłem, że kupiła mały samochód, już dość stary i niezbyt efektowny, ale i tak go polubiła, nadała mu nawet imię. Mama często nadawała rzeczom imiona. Pewnego dnia przyłapałem ją, gdy życzyła miłego dnia imbrykowi, który dokładnie wytarła, a potem ustawiła na parapecie, dziobkiem do okna, żeby mógł się rozejrzeć po świecie. Pomyśleć tylko, że zawsze oskarżała mnie o nadmiar wyobraźni.

Kiedy dotarliśmy do domu, właśnie ten imbryk, zwany Marceline, ku pamięci starej ciotki, po której odziedziczył imię, powrócił do łask. Biskopt z jabłkami polany syropem klonowym już czekał na stole w salonie. Mama zasypała nas pytaniami o zajęcia i pracę, o troski i radości. Rozmowa o codziennym życiu szpitala ożywiała drogie jej wspomnienia. Ona, która nigdy nie opowiadała mi o swojej pracy, kiedy wieczorem siedzieliśmy przy stole, teraz nie kazała się prosić – snuła anegdoty z życia pielęgniarek, ale przez cały ten czas zwracała się do Sophie.

Podczas rozmowy raz po raz pytała, jak długo zamierzamy zostać. Sophie, która w końcu usiadła swobodniej, już nie krzyżując nóg i nie trzymając się tak prosto, pospieszyła mi z pomocą i odpowiedziała na kilka z tej lawiny pytań. Korzystając z chwili przerwy, zabrałem bagaże, żeby wnieść je na górę. Gdy byłem na schodach, mama krzyknęła, że przygotowała dla Sophie pokój gościnny, a u mnie powlekła nową pościel. Potem dodała, że być może łóżko jest dla mnie za małe. Uśmiechnąłem się, pokonując ostatnie stopnie.

Dzień był piękny, więc mama zaproponowała, żebyśmy się wybrali na spacer, a tymczasem ona przygotowuje kolację. Zabrałem Sophie, żeby pokazać jej miasto mojego dzieciństwa, jednak szybko odkryłem, że nie ma tu co zwiedzać.

Szliśmy drogą, którą przemierzałem tyle razy – nic się tu nie zmieniło. Minąłem platan, którego korę naciałem scyzorykiem pewnego dnia, gdy było mi smutno. Rana już się zabiłiła, pozostał tylko napis, z którego wówczas byłem tak dumny: „Élisabeth jest brzydka”.

Sophie poprosiła, żebym jej opowiedział o swoim dzieciństwie. Sama dorastała w stolicy, kiedy więc zacząłem się zastanawiać, jak opisać jej nasze sobotnie rozrywki, sprowadzające się do wyprawy do supermarketu, zrobiło mi się głupio. Gdy zapytała, jak spędzałem dni, otworzyłem drzwi piekarni i powiedziałem:

– Wejdź, zaraz zobaczysz.

Matka Luca siedziała przy kasie. Na mój widok wstała z taboretu, wyszła z za lady i wzięła mnie w ramiona.

Tak, urosłem, to było nieuniknione, a poza tym – najwyższy czas, aby tak się stało. Kiepsko wyglądam – być może, nie goliłem się ostatnio. Owszem, na pewno schudłem. Wielkie miasto nie służy zdrowiu. Ale kto będzie leczył ludzi, jeżeli studenci medycyny wpędzają się w chorobę?

Matka Luca z radosnym uśmiechem proponowała nam do wyboru całą gamę ciast i ciastek.

Zamilkła na chwilę, przyglądając się Sophie, potem uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo: szczęście mi dopisało, jest naprawdę ładna.

Zapytałem o Luca. Mój przyjaciel spał nad nami. Studenci medycyny nie mają powodu zazdrościć godzin nauki i pracy uczniom piekarzy. Poprosiła, żebyśmy popilnowali sklepu, i poszła go obudzić.

– Pamiętaj chybaj jeszcze, jak obsłużyć klienta! – powiedziała, mrugając do mnie okiem, i zniknęła na zapleczu.

– Po co właściwie tu przyszliśmy? – zapytała Sophie.

Usiadłem za ladą.

– Chcesz eklerkę kawową?

Luc pojawił się rozczochrany. Matka pewnie nic mu nie powiedziała, bo na mój widok wytrzeszczył oczy.

Dałbym głowę, że postarzał się bardziej niż ja – i wcale nie wyglądał lepiej ode mnie, ale może to z powodu mąki na twarzy.

Nie widzieliśmy się od mojego wyjazdu – tak długa rozłąka dawała się odczuć. Obaj szukaliśmy słów, nie wiedzieliśmy, od czego zacząć, co wypada powiedzieć. Wytworzył się między nami dystans, ktoś musiał zrobić pierwszy krok, ale obu ogarnęło swoiste zawstydzenie. W końcu wyciągnąłem do niego rękę, a on chwycił mnie w ramiona.

– Gdzieś ty się tak długo podziewał, łachudro? Ilu pacjentów zdążyłeś uśmiercić, kiedy piekłem bułeczki z czekoladą?

Luc pobiegł się przebrać. Tym razem jego ojciec musiał radzić sobie sam.

Razem z Sophie poszliśmy na spacer i nawet nie zdając sobie z tego sprawy, wybraliśmy drogę, gdzie narodziła się i trwała tyle lat nasza przyjaźń.

Przed ogrodzeniem szkoły zamilkliśmy, patrząc na dziedziniec. Wydawało mi się, że pod wielkim kasztanowcem widzę cień niezdarnego chłopca, który grabi liście. Stara ławka stała pusta. Miałem ochotę wejść i rzucić okiem na miejsce, w którym kiedyś był składzik.

Tu zostawiłem dzieciństwo. Niechaj kasztanowce zaświadczą, że zrobiłem wszystko, żeby się z nim rozstać – życzenie, zawsze to samo, powtarzałem na widok każdej spadającej gwiazdy, a tych w połowie sierpnia wiele przelatywało na niebie. Tak bardzo pragnąłem wyrwać się

z przyciasnego ciała, nie wiem tylko, dlaczego dziś tak dotkliwie brakowało mi Yves'a.

– Ileż numerów tu wycięliśmy! – rzucił Luc z wymuszonym uśmiechem na twarzy. – Pamiętasz, jak się bawiliśmy?

– Ale nie zawsze – powiedziałem.

– Tak, to prawda, nie zawsze, ale jednak...

Sophie odkaszlnęła, co wcale nie znaczyło, że nasze towarzystwo ją nudzi, po prostu miała ochotę nacieszyć się zachodem słońca w ogrodzie. Zapewniła nas, że nie zabłądzi – w końcu wystarczyło iść prosto. „Poza tym chętnie dotrzymam towarzystwa twojej matce”, rzuciła, odchodząc.

Luc zaczekał, aż się nieco oddali, i gwizdnął z podziwu.

– Nie nudzisz się tam, stary łajdaku. Ja też chciałbym sobie postudiować, znowu pojeździć na tej karuzeli – powiedział, wzdychając.

– Wiesz, medycyna to nie lunapark.

– Zapewniam cię, że życie pracującego człowieka też go nie przypomina. Tak czy inaczej, jedno nas łączy: obaj nosimy w pracy białe fartuchy.

– Jesteś szczęśliwy? – zapytałem.

– Pracuję z ojcem, nie zawsze jest łatwo, ale uczę się zawodu. Zaczynam już nawet trochę zarabiać, no i zajmuję się siostrzyczką. Nie wyobrażasz sobie, jak ona urosła. Nie mogę narzekać, chociaż godziny pracy piekarza są okropne. Tak, myślę, że jestem szczęśliwy.

Mnie jednak wydawało się, że ogień, który kiedyś płonął w twoich oczach, zagaśł, że miałeś do mnie żal, bo wyjechałem i zostawiłem cię.

– Może spotkamy się wieczorem? – zaproponowałem.

– Matka nie widziała cię od paru miesięcy, poza tym... co

zrobisz z przyjaciółką? Od dawna jesteście razem?

– Nie wiem – odparłem, patrząc na Luca.

– Nie wiesz, od jak dawna z nią chodzisz?

– Sophie i ja to przyjaźń zakochanych – mruknąłem.

Naprawdę nie potrafiłbym sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy się pocałowaliśmy. Pewnego wieczoru, kiedy wszedłem, żeby pożegnać się z nią pod koniec dyżuru, nasze usta się spotkały, musiałbym jednak zapytać, czy traktowała to jako ten pierwszy raz. Któregoś dnia spacerowaliśmy po parku, kupiłem jej loda, a kiedy ocierałem palcem czekoladę z jej ust, pocałowała mnie. Może tego dnia przyjaźń przerodziła się w miłość.

A zresztą, czy to takie ważne, by pamiętać pierwszą chwilę?

– Zamieszasz się z nią naprawdę związać? – zapytał Luc. – Mam na myśli coś poważnego. Przepraszam, to chyba nie moja sprawa – dodał szybko.

– Przy tej zwariowanej pracy ledwie nam się udaje spędzić razem dwa wieczory w tygodniu, a i to przy dużym szczęściu.

– Możliwe, ale mimo natłoku zajęć znalazła sposób, żeby poświęcić ci cały weekend i przyjechać z tobą do tej zapadłej dziury, a to chyba o czymś świadczy. Dziewczyna zasługuje na coś więcej niż wieczór sam na sam z twoją matką, więc nie trać czasu na gadanie ze starym kumplem. Ja też chciałbym mieć dziewczynę, ale te ładne, z którymi chodziliśmy do szkoły, dawno uciekły z naszej miejsciny. Poza tym znajdź mi taką, która zechce związać się z facetem chodzącym spać o ósmej wieczorem i zrywającym się w środku nocy, żeby drożdże wyrosły?

– Twoja matka wyszła przecież za piekarza.

– Matka ciągle mi powtarza, że czasy się zmieniły, chociaż

ludzie stale chcą jeść świeży chleb.

– Luc, odwiedź nas dzisiaj, jutro wyjeżdżamy, a chciałbym...

– Nie mogę, zaczynam o trzeciej nad ranem, muszę się przespać, bo inaczej spaprzę całą robotę.

Luc, gdzie się podziałeś, przyjacielu, co zrobiłeś z tym śmiechem, którym mnie zarażałeś?

– Zrezygnowałeś z merostwa?

– Żeby zajmować się polityką, trzeba mieć odrobinę wykształcenia – odparł, śmiejąc się drwiąco.

Nasze cienie wydłużyły się na chodniku. W szkolnych latach zawsze pilnowałem, żeby nie zagarnąć cienia Luca, a kiedy nawet przypadkowo to robiłem, natychmiast mu go oddawałem. Przyjaźń z dzieciństwa to świętość. I może z tą myślą zrobiłem krok do przodu – za bardzo go lubiłem, żeby udawać, że nie słyszę, czego nie pozwala sobie mi wyznaczyć.

Luc niczego nie zauważył. Cień, który szedł przede mną, nie był mój, ale jak on mógłby to odgadnąć? Przecież teraz oba były tej samej wielkości.

Pożegnałem się z kolegą przed drzwiami piekarni. Znów wziął mnie w ramiona i powiedział, że się cieszy z naszego spotkania. Powinniśmy od czasu do czasu do siebie dzwonić.

Wróciłem do domu z pudełkiem słodyczy – prezentem od Luca mającym przypominać mi stare dobre czasy, jak powiedział, klepiąc mnie po plecach.



Przy kolacji mama rozmawiała z Sophie. Zadając jej całe serie pytań, w rzeczywistości starała się dowiedzieć, jak wygląda moje życie. Mama jest taka nieśmiała. Sophie zapytała ją, jakim byłem dzieckiem. Człowiek czuje się dziwnie, kiedy

w jego obecności inni o nim mówią, zwłaszcza jeśli rozmówcy jakby nie dostrzegali obecności zainteresowanego. Mama zapewniała ją, że byłem bardzo spokojnym chłopcem, ale przecież nie wiedziała o tylu sprawach, które w tym czasie przeżyłem. Na chwilę zamilkła, a potem oświadczyła, że nigdy jej nie rozczarowałem.

Lubię zmarszczki, które powstały wokół jej ust i oczu. Wiem, że ona ich nie znosi. Ja widzę w nich coś uspokajającego. W jej twarzy zapisane jest życie nas obojga. I może to nie dzieciństwa brakowało mi od powrotu do domu, ale matki, naszych wspólnych chwil, sobotnich popołudniowych wypraw do supermarketu, wspólnych posiłków wieczorem, czasem jedzonych w głębokim milczeniu, ale i w poczuciu niezwyklej bliskości, nocy, kiedy przychodziła do mojego pokoju, kładła się przy mnie i wsuwała palce w moje włosy. Lata mijają tylko na pozór. Najprostsze chwile są w nas zapisane na zawsze.

Sophie opowiadała jej o odejściu chłopczyka, którego nie zdołała uratować, o tym, jak trudno dawać z siebie wszystko, a zarazem chronić się przed rozpaczą wywołaną przez taką porażkę. Mama odparła, że rezygnacja w przypadku dzieci przychodzi nam ze znacznie większym bólem. Są lekarze, którzy z czasem stają się twardzi, ale mimo to – zapewniała – utrata pacjenta jest dla nich ciężkim ciosem. Czasami zastanawiałem się, czy nie podjąłem studiów medycznych, w nadziei że pewnego dnia zdołam wyleczyć matkę z ran, jakie zadało jej życie.

Po kolacji mama dyskretnie wyszła. Zaprowadziłem Sophie do ogrodu na tyłach domu. Noc była ciepła, Sophie położyła mi głowę na ramieniu i podziękowała, że na tych parę godzin wyciągnąłem ją ze szpitala. Przeprosiłem za gadulstwo matki i za to, że nie potrafiłem wymyślić bardziej intymnego miejsca

na weekend.

– Gdzie miałoby być bardziej intymnie? Setki razy opowiadałam ci o sobie, ty mnie słuchałeś, ale sam nigdy nie mówiłeś o sobie. Dziś wieczorem poczułam, że nadrabiam te braki.

Księżyc był coraz wyżej i Sophie pokazała mi go, mówiąc, że jest pełnia. Uniosłem głowę, żeby zerknąć na dach domu – cały lśnił.

– Chodź – powiedziałem, biorąc Sophie za rękę. – Idź za mną i staraj się nie hałasować.

Kiedy znaleźliśmy się na strychu, poprosiłem Sophie, żeby uklękła, bo tylko w tej pozycji mogła przejść pod stropem. Siedząc przy oknie, pocałowałem ją. Długo wsłuchiwalismy się w panującą wokół ciszę.

Sen pokonał Sophie. Zostawiła mnie, a zanim zamknęła klapę, powiedziała, że gdyby moje łóżko okazało się za małe, mogę przyjść do niej, gdzie starczy miejsca dla nas obojga.



W domu panowała niezmacona cisza. Otworzyłem kartonowe pudło i gdy szperałem w skarbach z dzieciństwa, doznałem dziwnego wrażenia, że moje dłonie stają się mniejsze, a świat, który porzuciłem, odradza się wokół mnie. Pierwsze smugi księżycowej poświaty dosięgły podłogi na strychu. Wstałem i uderzyłem głową o belkę – bolesny powrót do rzeczywistości! – ale przed sobą zobaczyłem cień. Wydłużał się, cieniutki jak narysowana ołówkiem kreska. Wdrapał się na skrzynię i dałbym słowo, że usiadł. Patrzył na mnie, prowokując, żebym to ja odezwał się pierwszy. Wytrzymałem.

– A zatem w końcu tu wróciłeś – powiedział. – Cieszę się, że cię widzę, czekaliśmy. – Czekaliście na mnie?

– To było nieuniknione, wiedzieliśmy, że prędzej czy później wrócisz.

– Jeszcze wczoraj wieczorem sam nie miałem pojęcia, że dziś tu będę.

– I myślisz, że twoja obecność jest przypadkowa? Dziewczynka, która bawiła się w klasy, była naszą emisariuszką. Potrzebowaliśmy cię.

– Kim jesteś?

– Delegatem. Chociaż klasa się rozproszyła, wciąż nad wami czuwamy, cienie nie starzeją się w ten sam sposób co ludzie.

– Czego ode mnie chcecie?

– Ile razy ratował cię ze szponów Marquésa? Pamiętasz te chwile samotności, które wypełniał głupimi dowcipami i wymuszonym śmiechem? Pamiętasz popołudnia, kiedy towarzyszył ci w drodze ze szkoły, i długie godziny, które razem spędzaliście? Był przecież twoim najlepszym przyjacielem, prawda?

– Dlaczego mi to mówisz?

– Pewnego wieczoru, tu, na strychu, patrzyłeś na zdjęcie, które ci dałem. Słyszałem, jak zapytałeś: Gdzie się podziała cała ta miłość? Teraz ja zadam ci pytanie: Co zrobiłeś z tą przyjaźnią?

– Jesteś cieniem Luca?

– Skoro mówisz do mnie per ty, to chyba wiesz, do kogo należę.

Księżyc chylił się w prawo. Zobaczyłem, że cień stopniowo zsuwa się ze skrzyni w stronę podłogi, że staje się coraz smuklejszy.

– Zaczekaj, nie odchodź, co mam zrobić?

– Pomóż mu zmienić coś w życiu, zabierz go ze sobą.

Pamiętaj, że z was dwóch to on powinien studiować medycynę. Jeszcze nie jest za późno, jeśli się kocha, nigdy nie jest za późno. Pomóż mu zostać tym, kim chciał być. Wiesz o tym od dawna. Przykro mi, że muszę cię opuścić, ale czas mija, nie mam wyboru. Do zobaczenia.

Księżyc zniknął z okna, cień zginął między dwoma pudłami.

Zamknąłem klapę na strych i poszedłem do Sophie. Kiedy położyłem się do łóżka, wtuliła się we mnie i od razu zasnęła. Długo leżałem w ciemnościach z szeroko otwartymi oczyma. Zaczęło padać, słuchałem, jak krople deszczu uderzają o dachówki, żywopłot szeleścił liśćmi dzikiej róży. W tym domu żaden odgłos nocy nie był mi obcy.



Musiała dochodzić dziewiąta, kiedy Sophie się przeciągnęła. Ani ona, ani ja nie spaliśmy tak długo od wielu miesięcy.

Zeszliśmy do kuchni, gdzie czekała na nas niespodzianka. Przy stole Luc rozmawiał z moją matką.

– Zwykle o tej porze kładę się spać, ale nie mogłem pozwolić, żebyście wyjechali bez pożegnania ze mną. Masz – powiedział – przyniosłem wam małe co nieco. Upiekłem je wcześniej rano, myśląc o was, to specjalny wypiek.

Luc podał mi wiklinowy koszyczek pełen rogalików i jeszcze ciepłych bułeczek maślanych.

– I co? – pytał wzruszony, obserwując opychającą się nimi Sophie.

– Nigdy w życiu nie jadłam tak smacznych bułeczek maślanych – odpowiedziała.

Mama przeprosiła, że musi nas zostawić, ale miała pilne

zajęcia w ogrodzie.

Sophie chwyciła rogalik, a ja wyczytałem z oczu przyjaciela, jak wielką przyjemność sprawia mu widok tej zajadającej z apetytem dziewczyny.

– Dobry z niego lekarz? – zapytał Sophie, wskazując mnie ruchem głowy.

– Może ma nie najlepszy charakter, ale będzie świetnym lekarzem – odpowiedziała z pełnymi ustami.

Luc chciał się dowiedzieć jak najwięcej o codziennym życiu szpitala, o jego funkcjonowaniu i naszych obowiązkach. Kiedy Sophie opisywała mu naszą pracę, wyraźnie widziałem, że się rozmarzył.

Potem Sophie zapytała go o wspomniane wczoraj kawały, o nasze chłopięce wybryki, o których mówił, kiedy staliśmy przed szkołą. Nie zważając na moje spojrzenia, Luc opowiadał jej o moich utarczkach z Marquésem, o karach, o tym, jak przez kolejne lata pomagał mi zwyciężać w wyborach na gospodarza klasy; nie pominął nawet epizodu z pożarem składziku. Im dłużej trwała ta rozmowa, tym naturalniej brzmiał śmiech Luca – znów był szczery, znów stał się zaraźliwy, jak za dawnych czasów.

– O której wyjeżdżacie? – zapytał.

Sophie zaczynała dyżur o północy, ja – nazajutrz. Pociąg odjeżdżał w południe. Luc ziewnął, zmagając się ze zmęczeniem. Sophie zostawiła nas samych i poszła spakować torbę.

– Przyjedziesz jeszcze? – zapytał Luc.

– Jasne, że tak – odpowiedziałem.

– Postaraj się przyjechać w poniedziałek, oczywiście, jeśli to możliwe, bo we wtorki piekarnia jest zamknięta... pamiętasz? Moglibyśmy spędzić razem wieczór, byłoby mi bardzo miło.

Tym razem mieliśmy niewiele czasu, a chciałbym dowiedzieć się więcej o twoim życiu, o studiach.

– Luc, dlaczego po prostu nie pojedziesz ze mną? Dlaczego nie chcesz spróbować szczęścia? Marzyłeś o studiach medycznych. Dopóki nie zdobędziesz stypendium, możesz pracować jako sanitariusz, zawsze to parę groszy, a o mieszkanie nie musisz się martwić, moja kawalerka nie jest duża, ale jakoś się zmieścimy.

– Chcesz, żebym wrócił do nauki? Stary, trzeba mi to było zaproponować pięć lat temu!

– To chyba nie problem, że zaczniesz później od innych. Słyszałeś, żeby pacjent, który wchodzi do gabinetu lekarza, pytał go o wiek?

– Chodziłbym na zajęcia z ludźmi znacznie młodszymi, a nie uśmiecha mi się być klasowym Marquésem.

– To pomyśl o wszystkich Élisabeth, które ulegną czarowi dojrzałości.

– Jasne... – westchnął w zamyśleniu – z tego punktu widzenia... Ale dość tych marzeń. Chwila takiej rozmowy dobrze mi robi, ale potem ty wsiądziesz do pociągu, a ja zostanę z chandrą.

– Co stoi na przeszkodzie, żebyś podjął decyzję? Zastanów się, tu chodzi o twoje życie.

– A co z życiem mojego ojca, matki, młodszej siostry? Oni naprawdę mnie potrzebują! Samochód na trzech kołach wylądowałby w rowie. Nie rozumiesz, co znaczy rodzina.

Luc spuścił głowę i wpatrywał się w filiżankę kawy.

– Przepraszam – szepnął – nie chciałem tego powiedzieć. Tak naprawdę, stary, ojciec nie pozwoliłby mi wyjechać. Potrzebuje mnie, jestem jego podporą na stare lata, liczy, że przejmę piekarnię, kiedy nie będzie miał już siły wstawać

w środku nocy.

– Czyli za dwadzieścia lat, Luc! Twój ojciec będzie na to za stary za dwadzieścia lat, a jest przecież jeszcze twoja młodsza siostra!

Luc parsknął śmiechem.

– Świetny pomysł! Chciałbym zobaczyć, jak ojciec uczy ją fachu, tyle że to ona by nim dyrygowała. Wobec mnie potrafi być twardy jak skała, ale ona robi z nim, co tylko chce.

Luc wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Bardzo się cieszę, że przyjechałeś. Tym razem nie każ nam tak długo na siebie czekać. W końcu, jeśli nawet zostaniesz kiedyś wybitnym profesorem i zamieszkas w dużym mieszkaniu w jakiejś pięknej dzielnicy wielkiego miasta, tu zawsze będzie twój dom.

Luc pożegnał się ze mną serdecznie i już miał wyjść. Kiedy był na progu, zatrzymałem go na chwilę.

– O której zaczynasz pracę?

– Czy to ważne?

– Ja też pracuję nocą, więc jeśli będę znał twoje godziny, nie będę się czuł taki samotny na izbie przyjęć. Wystarczy, że spojrzę na zegarek i pomyślę o tym, co właśnie robisz.

Luc dziwnie na mnie spojrzał.

– Pytałeś mnie o pracę w szpitalu, możesz chyba opowiedzieć mi, jak mija twoje życie w piekarni.

– O trzeciej rano robimy zaczyn. Trzeba go wymieszać z mąką, wodą, solą i drożdżami. Wstępnie wyrabiamy ciasto, czekamy, aż fermentacja umożliwi drożdżom działanie. Około czwartej nad ranem robimy przerwę, bo ciasto rośnie. Kiedy jest ciepło, otwieram drzwi na uliczkę za sklepem, wystawiam dwa taborety, dla mnie i dla taty. Siadamy przy kawie. W tym czasie niewiele mówimy, zresztą ojciec twierdzi, że trzeba być cicho,

żeby ciasto mogło w spokoju odpocząć, ale to przede wszystkim on potrzebuje odpoczynku, zwłaszcza ostatnio. Wypijam kawę, a potem pozwalam mu się zdrzemnąć godzinkę. Siedzi oparty o kamienny mur. Sam wracam, żeby umyć stół, i rozkładam lniane ścierki, na których kładziemy chleb. Potem ojciec wchodzi i przygotowujemy drugą fermentację. Porcjujemy ciasto, formujemy chleb, nacinamy każdy bochenek, żeby ładnie się zapiekła, i wreszcie wsadzamy chleb do pieca. Co noc powtarzamy te same gesty, ale za każdym razem praca przebiega inaczej, a efekt nigdy nie jest pewny. Kiedy jest zimno, ciasto fermentuje wolniej, trzeba dolewać gorącej wody, dorzucać więcej drożdży; kiedy jest gorąco, woda musi być bardzo zimna, inaczej ciasto za szybko wysycha. Nie da się upiec dobrego chleba, jeżeli nie zwraca się uwagi na każdy szczegół, nawet na pogodę na dworze. Piekarze nie lubią deszczu, bo on wydłuża ich pracę. O szóstej wyjmujemy poranny wypiek. Studzimy chleb i zanosimy do sklepu. To wszystko, kolego, ale jeśli sądzisz, że to, co usłyszałeś, robi z ciebie piekarza, to głęboko się mylisz. Zresztą twoje opowiadki o szpitalu nie uczynią ze mnie lekarza. No dobrze, teraz muszę już iść spać, ucałuj ode mnie mamę, a przede wszystkim twoją dziewczynę. Tak ładnie na ciebie patrzy... masz szczęście i bardzo się z tego cieszę.

Po wyjściu Luca poszedłem do mamy, która wciąż była w ogrodzie. Przykucnęła przy krzewach różanych. Deszcz położył kwiaty, więc teraz delikatnie je podnosiła.

– Bolał mnie kolana – jęknęła, wstając. – Ale ty wyglądasz już lepiej niż wczoraj. Powinieneś zostać tu kilka dni, żeby nabrać sił.

Nie odpowiedziałem, patrzyłem tylko w tve oczy, które się do mnie uśmiechały. Gdybyś wiedziała, jak bardzo pragnąłem,

żebyś znalazła dla mnie słowa usprawiedliwienia, jak wtedy, kiedy miałaś władzę wybaczenia wszystkiego, nawet nieobecności.

– Pasujecie do siebie – powiedziała matka, biorąc mnie pod rękę.

Ponieważ wciąż milczałem, kontynuowała monolog.

– Gdyby tak nie było, nie zabrałbyś jej wczoraj na strych. Wiesz, w tym domu słyszę każdy dźwięk, zawsze wszystko słyszałam. Kiedy wyjechałeś, zdarzało mi się tam wchodzić. Kiedy bardzo tęskniłam, podnosiłam klapę i szłam usiąść przy oknie. Nie wiem dlaczego, ale na górze zbliżałam się do ciebie, jakbym patrząc przez tę szybę, widziała cię w dali. Już dawno tam nie zaglądałam. Mówiłam ci, że bolą mnie kolana, a po tym bałaganie trzeba chodzić na czworakach. Och, nie rób takich min, daję słowo, że nigdy nawet nie zajrzałam do żadnego z twoich pudeł. Twoja matka ma pewne wady, ale nie jest wścibska.

– Przecież nie powiedziałem niczego takiego.

Mama dotknęła ręką mojego policzka.

– Bądź uczciwy wobec siebie, a przede wszystkim wobec niej; jeśli to nie miłość, nie pozwalaj się jej łudzić, to dobra dziewczyna.

– Dlaczego to mówisz?

– Bo jesteś moim synem i znam cię lepiej niż ktokolwiek inny.

Mama poprosiła, żebym poszedł do Sophie, a jej pozwolił skończyć przycinanie róż. Wszedłem na górę. Sophie siedziała przy oknie, zapatrzona w dal.

– Nie miałybyś do mnie żalu, gdybym tu jeszcze został?
Sophie odwróciła głowę.

– Na zajęciach mogę robić notatki za nas dwoje, ale

wydawało mi się, że masz dyżur w poniedziałek wieczorem?

– Właśnie, to druga przysługa, o którą chciałbym cię poprosić. Może mogłabyś iść do lekarza dyżurnego i uprzedzić go, że jestem chory, nic poważnego, zwykła angina, którą wolę wyleczyć, żeby nie zarażać pacjentów. Potrzebuję tylko dwudziestu czterech godzin.

– Nie, nie będę miała żalu, prawie nie widziałeś się z matką, a wieczór w towarzystwie syna na pewno sprawi jej radość. A skoro będę podróżowała sama, to poświęcę chwilę na wymyślenie sensownej wymówki.

Mama ucieszyła się, że zostanę nieco dłużej, niż zamierzałem. Pożyczyłem od niej samochód i odwiozłem Sophie na dworzec.

Cmoknęła mnie w policzek, uśmiechnęła się zadziornie i weszła do przedziału. W pociągach okna już się nie otwierają, nie można mówić sobie „do widzenia”, jak kiedyś. Gdy skład ruszył, Sophie pomachała mi, a ja czekałem na peronie, aż znikną światła ostatniego wagonu.

– Co się dzieje? – zapytała mama, kiedy wróciłem do domu.

– Wszystko jest w porządku, dlaczego się martwisz?

– Opóźniłeś wyjazd, zostawiłeś swoją dziewczynę samą i chcesz mi powiedzieć, że to wszystko po to, żeby spędzić jeden wieczór z matką?

Usiadłem obok niej przy kuchennym stole i wziąłem ją za rękę.

– Brakuje mi ciebie – powiedziałem, całując ją w czoło.

– Jak chcesz, mam nadzieję, że potem mi powiesz, co cię gnębi.

Kolację zjedliśmy na tacach w salonie. Mama przygotowała moje ulubione danie – szynkę z makaronem,

z muszelkami, jak za dawnych czasów. Usiadła na kanapie obok mnie i patrzyła, jak się objadam, ale sama niczego nie tknęła.

Gdy chciałem wynieść naczynia do kuchni, ujęła mnie za rękę i powiedziała, że zmywanie może poczekać. Zapytała, czy zechciałbym zaprosić ją na swój strych. Wszedłem razem z nią na górę, wyciągnąłem drabinę, podniosłem klapę i po chwili siedzieliśmy przy oknie.

Upłynęło kilka minut, zanim zadałem jej pytanie, które od tak dawna cisnęło mi się na usta.

– Czy od tamtego czasu miałaś jakieś wiadomości od taty?

Mama zmrużyła oczy. Rozpoznałem to spojrzenie pielęgniarki, które pojawiała się zawsze, gdy próbowała dociec, czy coś mi dolega, czy tylko udaję chorego, żeby uniknąć klasówki z historii albo z matematyki.

– Często jeszcze o nim myślisz? – zapytała.

– Zawsze kiedy na ostry dyżur zgłasza się mężczyzna w jego wieku, ogarnia mnie lęk, że to on, i zastanawiam się, co zrobię, jeżeli mnie nie pozna.

– Poznałby cię natychmiast.

– Dlaczego nigdy się ze mną nie spotkał?

– Potrzebowałam dużo czasu, żeby mu wybaczyć.

Być może za dużo. I dlatego powiedziałam wiele rzeczy, których żałuję, ale zrobiłam to, bo go jeszcze kochałam. Nigdy nie przestałam kochać twojego ojca. Kiedy miłość miesza się z nienawiścią, człowiek robi straszne rzeczy, takie, które potem mu ciążyą. Najbardziej miałam mu za złe nawet nie to, że ode mnie odszedł, bo w końcu pogodziłam się ze świadomością, że w pewnej mierze i ja jestem temu winna. Do rozpacz doprowadzała mnie myśl, że jest szczęśliwy u boku innej kobiety. Miałam do twojego ojca potworny żal o to, że ją aż tak pokochał. Muszę ci coś wyznać, chociaż wiem, że uznasz

własną matkę za staroświecką, kiedy się o tym dowiesz. Twój ojciec był jedynym mężczyzną w moim życiu. Gdybym go teraz spotkała, podziękowałabym mu za najpiękniejszy prezent, jaki mogłam dostać: za ciebie.

To nie cień matki wyznał mi tę prawdę, lecz ona sama.

Przytuliłem ją i powiedziałem, że bardzo ją kocham.

W życiu zdarzają się bezcenne chwile, które nadchodzą przypadkiem. Gdybym nie został tego wieczoru, chyba nigdy nie odbyłbym tej rozmowy z matką. Kiedy schodziliśmy ze strychu, obejrzałem się, żeby jeszcze raz rzucić okiem na okno, i w duchu podziękowałem mojemu cieniowi.



Nastawiłem budzik na trzecią rano. Kiedy zadzwonił, ubrałem się i na palcach wymknąłem z domu, a potem ruszyłem drogą prowadzącą do szkoły. O tej porze nigdzie nie było żywego ducha. Stalowe okiennice chroniły witrynę piekarni – minąłem ją i dyskretnie skręciłem w boczną uliczkę. Stojąc w mroku o pięćdziesiąt metrów od drewnianych drzwi, czekałem na odpowiedni moment.

O czwartej Luc i jego ojciec wyszli z piekarni. Tak jak mówił, ustawił dwa stołki pod ścianą, a jego ojciec usiadł pierwszy. Luc podał mu kawę i siedzieli obok siebie, nie rozmawiając. Ojciec Luca opróżnił filiżankę, postawił ją na ziemi i przymknął oczy. Luc popatrzył na niego, westchnął, podniósł filiżankę i wrócił do piekarni. Właśnie na tę chwilę czekałem – zdobyłem się na odwagę i podszedłem.

Luc to mój przyjaciel z dzieciństwa, mój najbliższy przyjaciel, ale – choć może się to wydawać dziwne – nie znałem jego ojca. Kiedy odwiedzałem Luca, musieliśmy zachowywać się cicho. Ten człowiek, który żył nocą, a spał popołudniami,

wzbudzał we mnie lęk.

Wyobrażałem sobie go jako ducha, który krąży nad nami, kiedy tylko oderwiemy oczy od zadania domowego. Właśnie piekarzowi, którego nigdy właściwie nie widziałem, zawdzięczam po części wyniki w nauce, a także uniknięcie kilku kar u pani Schaeffer, tak ochoczo skazującej uczniów na kożę. Gdyby nie strach, jaki we mnie wzbudzał, nie oddałbym w porę wielu prac domowych. Tego wieczoru, a raczej nocy, po raz pierwszy miałem z nim rozmawiać, a musiałem zacząć od wyrwania go ze snu i przedstawienia się.

Bąłem się, że drgnie, że zwróci uwagę Luca. Poklepałem go po ramieniu.

Zmrużył oczy, spojrział na mnie bez większego zdziwienia i ku memu zaskoczeniu powiedział:

– To ty jesteś kolegą Luca, tak? Poznają cię, trochę się postarzałeś, ale nie za bardzo. Twój przyjaciel jest wewnątrz. Możesz do niego zajrzeć, ale nie siedź za długo, bo mamy dużo roboty.

Powiedziałem mu, że nie przyszedłem do Luca. Piekarz długo mi się przypatrywał, potem wstał i dał mi znak, żebym zaczekał kawalek dalej. Uchylił drzwi piekarni i krzyknął do syna, że idzie rozprostować nogi. Po chwili do mnie dołączył.

Ojciec Luca słuchał, nie przerywając mi. Kiedy doszliśmy do wylotu uliczki, mocno uścisnął mi rękę i powiedział:

– A teraz już się wynoś!

I odszedł, nie oglądając się.

Wracałem do domu ze zwieszoną głową, wściekły, że spałem misję, którą mi powierzono. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy.



Kiedy dotarłem do domu, starałem się jak mogłem, żeby przekręcić klucz w zamku, nie robiąc hałasu. Niepotrzebnie się tak męczyłem – zapaliło się światło, a matka ubrana w szlafrok stanęła w drzwiach kuchni.

– No wiesz! – rzuciła. – W tym wieku nie musisz już wymykać się przez okno ani skakać przez ogrodzenie.

– Poszedłem się tylko przejść, nie mogłem zasnąć.

– Wydaje ci się, że nie słyszałam budzika?

Matka podpaliła gaz pod stojącym na kuchni czajnikiem.

– Już za późno, żeby się kłaść – powiedziała. – Siadaj, zaparzę ci kawy, a ty powiesz mi wreszcie, po co zostałeś o jedną noc dłużej, a przede wszystkim, co robiłeś o tej porze poza domem.

Usiadłem przy stole i opowiedziałem o spotkaniu z ojcem Luca.

Kiedy skończyłem relację z tej żalösnej wyprawy, mama położyła mi ręce na ramionach i spojrzała mi prosto w oczy.

– Nie możesz tak brutalnie wtrącać się w życie innych ludzi, nawet jeśli robisz to dla ich dobra. Gdyby Luc dowiedział się, że poszedłeś do jego ojca, mógłby mieć do ciebie pretensję. On i tylko on ma prawo decydować o swoim życiu. Musisz być bardziej rozważny, czas w końcu dorosnąć. Nie masz obowiązku leczyć ran każdego, kogo spotkasz. Nawet najlepszy lekarz nie byłby w stanie podołać takim obowiązkom.

– A ty? Czy nie to właśnie próbowałaś robić przez całe życie? Czy nie dlatego wracałaś wieczorami tak zmęczona?

– Kochanie, wydaje mi się – powiedziała, wstając – że odziedziczyłeś niestety naiwność po matce i upór po ojcu.



Wsiadłem do pierwszego porannego pociągu. Matka

odwiozła mnie na dworzec. Na peronie obiecałem jej, że wkrótce znowu ją odwiedzę. Uśmiechnęła się.

– Kiedy byłeś mały i przychodziłam wieczorem zgasić światło w twoim pokoju, pytałeś zawsze: „Mamusiu, kiedy będzie następny dzień?”. Mówiłam ci, że wkrótce, i zawsze, zamykając za sobą drzwi, czułam, że ta odpowiedź wcale cię nie przekonała. Wydaje mi się, że z wiekiem role się odwracają. A zatem do zobaczenia wkrótce, kotku, dbaj o siebie.

Wsiadłem do wagonu i patrzyłem przez okno na sylwetkę mamy niknącą w dali.

Pierwszy list od matki dostałem dziesięć dni po powrocie. Jak zawsze pytała, co u mnie słychać, i liczyła na szybką odpowiedź. Często mijały całe tygodnie, zanim po pracy znalazłem czas i energię, aby sprawić jej tę drobną przyjemność. Brak troski, jaki okazują rodzicom dorastające dzieci, graniczy z czystym egoizmem. Miałem tym większe poczucie winy, że wszystkie jej listy przechowywałem w pudełku, które stało na półce w bibliotezce niczym dobroczynna obecność matki.

Od weekendowego wypadu prawie nie widywałem się z Sophie, nie spędziłem z nią ani jednej nocy. Podczas krótkiego pobytu w domu mojego dzieciństwa powstała między nami granica, której ani ona, ani ja nie potrafiliśmy przekroczyć. Kiedy wreszcie sięgnąłem po pióro i napisałem do matki, zakończyłem list zdaniem mówiącym, że Sophie ją całuje. Dzień po tym kłamstwie poszedłem na jej oddział i wyznałem, że bardzo tęsknię. Nazajutrz zgodziła się iść ze mną do kina, jednak po filmie zdecydowała się wrócić do siebie.

Od miesiąca Sophie pozwalała zalecać się do siebie młodemu lekarzowi z pediatrii, za nas dwoje podejmując decyzję o położeniu kresu naszej niejednoznacznej więzi. Być może głównie – mojemu brakowi zdecydowania. Świadomość,

że inny mężczyzna mógłby zdobyć coś, czego ja nie zdecydowałem się przyjąć, doprowadzała mnie do szału. Zrobiłem wszystko, żeby ją odzyskać, i po dwóch tygodniach nasze ciała odnalazły się w mojej pościeli. Przepędziłem intruza, życie wróciło do normy, a ja znowu się uśmiechałem.

Na początku września, gdy wróciłem po długim dyżurze, pod drzwiami czekała mnie wielka niespodzianka – na małej walizce siedziała Luc, oszołomiony, ale wesoły.

– No, stary, długo kazałeś na siebie czekać! – powiedział, wstając. – Mam nadzieję, że znajdziesz w domu coś do jedzenia, bo konam z głodu.

– Co ty tu robisz? – zapytałem, otwierając drzwi kawalerki.

– Ojciec mnie wyrzucił!

Luc zdjął kurtkę i rozsiadł się w jedynym fotelu, jaki miałem. Kiedy otwierałem dla niego puszkę tuńczyka i stawiałem talerz na pełniacej funkcję stołu skrzyni, zaczął nieco chaotyczną opowieść.

– Nie mam pojęcia, co napadło mojego starego. Wiesz, tamtej nocy po twoim wyjeździe, kiedy już przygotowaliśmy ciasto i zrobiliśmy sobie przerwę, ku memu zdumieniu nie wrócił do piekarni. Pomyślałem, że się nie obudził, i szczerze mówiąc, trochę się zaniepokoiłem. Otworzyłem drzwi na uliczkę i zobaczyłem go: siedział na taborecie i płakał. Zapytałem, co się stało, ale nie chciał mi nic powiedzieć. Mruknął tylko, że to zmęczenie, i kazał mi obiecać, że zapomnę, iż kiedykolwiek widziałem go w takim stanie, no i że nie powiem o tym mamie. Obiecałem. Ale po tamtej nocy bardzo się zmienił. Zwykle jest dla mnie dość ostry, mam na myśli pracę, i wiem, że to jego sposób na uczenie mnie zawodu, nie mogę mieć mu tego za złe. Podejrzewam, że dziadek też się z nim nie pieścił. Ale teraz z każdym dniem robił się coraz

łagodniejszy, był niemal miły. Kiedy źle uformowałem chleb, zamiast mnie zwymyślać, podchodził i jeszcze raz pokazywał mi, jak się to robi. Powtarzał przy tym, że to nic wielkiego, że jemu też czasami coś nie wychodzi. Daję ci słowo, nie wierzyłem własnym oczom i uszom. Któregoś wieczoru mnie przytulił. Pomyślałem, że pomieszało mu się w głowie, no i chyba nie bardzo się myliłem, bo przedwczoraj zwolnił mnie jak najzwyczajniejszego ucznia. O szóstej rano, patrząc mi prosto w oczy, powiedział, że skoro jestem tak niezdarny, to najprawdopodobniej fach piekarza nie jest dla mnie, i zamiast marnować czas swój i jego, powinienem raczej spróbować szczęścia w mieście. Muszę tylko wybrać własną drogę, bo w dzisiejszych czasach tak osiąga się zadowolenie. Kiedy to mówił, był wściekły. Przy obiedzie oznajmił matce, że wyjeżdżam i że po południu piekarnia będzie zamknięta. Wieczorem, przy stole, nikt nie odezwał się nawet słowem, a mama płakała. Prawdę mówiąc, w jadalni zalewała się łzami, ale kiedy wychodziłem do kuchni, biegła za mną, obejmowała mnie i szeptała, że dawno nie czuła się tak szczęśliwa. Rodzona matka cieszyła się, że ojciec wyrzucił mnie na zbity pysk... Daję słowo, rodzice mi powariowali! Trzy razy sprawdzałem w kalendarzu, czy to na pewno nie pierwszy kwietnia. Rano ojciec przyszedł do mojego pokoju i powiedział, żebym się ubrał. Wsiedliśmy do samochodu i jechaliśmy osiem godzin, osiem godzin w kompletnej ciszy. Tylko w południe zapytał, czy jestem głodny. Przyjechaliśmy tu wczesnym wieczorem. Wysadził mnie przed tym domem i powiedział, że tu mieszkasz. Skąd o tym wiedział? Nawet ja nie znałem twojego adresu! Wysiadł, wyjął z bagażnika moją walizkę i postawił ją przede mną. Potem podał mi kopertę, mówiąc, że to niewiele, ale tylko tyle mógł mi dać, i że powinno wystarczyć na jakiś czas.

A potem wsiadł do wozu i odjechał.

– Nic więcej nie powiedział? – zapytałem.

– Owszem. Zanim ruszył, oświadczył: „Jeśli się zorientujesz, że jesteś równie kiepskim lekarzem, jak piekarzem, wracaj, wtedy naprawdę nauczę cię zawodu”. Rozumiesz coś z tego?

Otworzyłem jedyną butelkę wina, jaką miałem w domu, prezent od Sophie, ocalały tego wieczoru, kiedy jedliśmy razem kolację. Napełniłem dwa duże kieliszki i pijąc, oświadczyłem Lucowi, że ja również nic z tego nie rozumiem.



Pomogłem mojemu przyjacielowi w wypełnianiu wszystkich formularzy potrzebnych przy zapisie na pierwszy rok medycyny, poszedłem z nim do dziekanatu i patrzyłem, jak zostawia tam lwią część pieniędzy od ojca.

Zajęcia zaczynały się w październiku. Znów mieliśmy się razem uczyć. Wprawdzie teraz nie mogliśmy sięść w jednej ławce, ale przynajmniej dana nam była szansa spotkania w małym szpitalnym parku. Chociaż nie było tam ani kasztanowca, ani kosza do koszykówki, wiedziałem, że będzie tak jak dawniej.

Kiedy spotkaliśmy się tam po raz pierwszy, podziękowałem jego cieniowi.



Luc zamieszkał u mnie. Nie był kłopotliwym współlokatorem, bo funkcjonowaliśmy w zupełnie różnych godzinach. Kiedy szedłem na nocny dyżur, spał w moim łóżku, a kiedy wracałem, spieszył się już na zajęcia. W nieliczne dni, kiedy obaj byliśmy w domu, rozkładał materac pod oknem,

zwijał kołdrę w rulon, robiąc sobie z niej poduszkę, i spał jak suseł.

W listopadzie zwierzył mi się, że zadurzył się w pewnej studentce, z którą często się uczy. Annabelle była od niego młodsza o pięć lat, ale przysięgał, że jest dojrzała niż inne dziewczyny w jej wieku.

Na początku grudnia poprosił, żebym mu wyświadczył wielką przysługę. Tego wieczoru zapukałem do drzwi Sophie i wylądowałem w jej łóżku. Związek Luca z Annabelle zbliżył mnie w końcu do Sophie. Sypiałem u niej coraz częściej, a w moim mieszkanku coraz częściej nocowała Annabelle. W niedzielne wieczory Luc zapraszał nas do mnie i brał się do gotowania, abyśmy mogli skorzystać z jego znajomości sztuki wypieku. Nie potrafiłbym wyliczyć tych wszystkich nadziejących i zapiekanych ciast na słodko i na ostro, którymi nas raczył. Po kolacji Sophie i ja zostawialiśmy Luca z Annabelle, żeby nie przeszkadzać im w nauce i zapewnić spokój.



Z mamą nie widziałem się od lata – odwołała tradycyjne jesienne odwiedziny. Była zmęczona, wołała oszczędzić sobie trudów podróży. Napisała mi, że dom, podobnie jak ona, starzeje się. Zaczęła go odnawiać i zapachy chemikaliów zaszkodziły jej. Przez telefon zapewniała mnie, że nie ma powodu do niepokoju. Kilka tygodni wypoczynku i wszystko wróci do normy. Kazała mi obiecać, że odwiedzę ją w Boże Narodzenie, a Boże Narodzenie już się zbliżało.

Kupiłem prezent i bilet kolejowy, wynegocjowałem wolny wieczór dwudziestego czwartego grudnia. Kierowca autobusu i szklanka na jezdni zburzyły moje plany. Z relacji świadków

wiadomo, że niekontrolowany poślizg rzucił autobus na barierę, potem pojazd przewrócił się na bok. Ucierpiało czterdziestu ośmiu pasażerów i szesnastu przechodniów. Właśnie pakowałem torbę, kiedy leżący na nocnym stoliku biper zaczął piszczeć. Zadzwoiłem do szpitala – ściągano wszystkich stażystów.

W holu izby przyjęć panowało istne szaleństwo, pielęgniarki nie radziły sobie z nawałem pracy, wszystkie gabinety były zajęte, personel uwijał się jak w ukropie. Najciężej ranni czekali, aż zwolni się miejsce na bloku operacyjnym, lżej poszkodowani leżeli na noszach albo siedzieli w poczekalni. Luc jako noszowy krążył między nadjeżdżającymi wciąż ambulansami a gabinetami. Po raz pierwszy zdarzyło nam się pracować razem. Był blady i kiedy się mijaliśmy, uważnie go obserwowałem.

Gdy strażacy przekazali mu mężczyznę, któremu z łydki sterczały pod kątem prostym kość strzałkowa i piszczel, odwrócił się w moją stronę, zzieleniał i miękko osunął się wzdłuż drzwi, a potem upadł jak długi na posadzkę. Podbiegłem, podniosłem go i posadziłem na fotelu w poczekalni, żeby go ocucić.

Zamęt trwał przez kilka godzin. O świcie izba przyjęć wyglądała jak szpital polowy po zakończeniu bitwy. Posadzka była zachlapana krwią i zasypana brudnymi gazikami. Ale powrócił spokój i zespół starał się już tylko uporządkować swoje miejsce pracy.

Luc wciąż siedział w fotelu, tam gdzie go zostawiłem. Usiadłem przy nim. Opuścił głowę między kolana. Zmusiłem go, żeby się wyprostował i spojrzął na mnie.

– Już po wszystkim – powiedziałem. – Przeszedłeś dziś chrzest bojowy i chociaż wydaje ci się, że wypadłeś fatalnie,

radziłeś sobie całkiem nieźle.

Luc westchnął, rozejrzał się wokół i wybiegł na zewnątrz, żeby zwymiotować. Poszedłem za nim, chcąc go pocieszyć po tym brutalnym starciu z realiami naszej pracy.

– Mówiłeś chyba, że nieźle sobie radziłem? – zapytał, opierając się o ścianę.

– To była piekielna świąteczna noc. Zapewniam cię, że się sprawdziłeś.

– Zachowałem się jak gówniarz, spójrzmy prawdzie w oczy. Najpierw zemdlałem, a teraz pobiegłem się wyrzygać. Wyobrażam sobie, że student medycyny nie może się bardziej popisać.

– Przyznam ci się, że i ja zemdlałem, kiedy po raz pierwszy wszedłem do sali sekcyjnej. Może cię to pocieszy.

– Dziękuję, że mnie uprzedziłeś, bo w najbliższy poniedziałek mam pierwsze zajęcia z anatomii.

– Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

Luc zgromił mnie wzrokiem.

– Nie, nic nie jest dobrze. Grzebałem w cieście, a nie w żywym ciele, kroilem chleb, nie zakrwawione koszule i spodnie, a przede wszystkim nigdy nie słyszałem, żeby chałka darła się jak opętana, nawet jeśli wbijałem jej nóż w świeżo upieczoną skórę. Zastanawiam się, czy na pewno jestem do tego stworzony.

– Luc, większość studentów medycyny ma takie wątpliwości. Z czasem oswoisz się z krwią i cierpieniem. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka to satysfakcja wyleczyć człowieka.

– Leczyłem ludzi bułeczkami z czekoladą i zapewniam cię, że zawsze mi się udawało – odparł Luc, zdejmując fartuch.

Spotkałem się z nim w domu, nieco później. Opróżniał torbę i wciąż wściekły układał rzeczy w szufladach komody,

którą mu oddałem.

– To pierwsze Boże Narodzenie, które siostra spędza beze mnie. Co mam jej powiedzieć przez telefon, żeby usprawiedliwić swoją nieobecność?

– Powiedz jej prawdę, stary, opowiedz, jaką miałeś noc, tak po prostu.

– Mam o tym opowiedzieć mojej jedenastoletniej siostrzyczce? Dużo masz jeszcze takich dobrych pomysłów?

– Poświęciłeś wigilijny wieczór na ratowanie ludzi, których spotkało nieszczęście, o co rodzina mogłaby mieć do ciebie pretensję? Poza tym sam mogłeś się znaleźć w tym autobusie, więc przestań się nad sobą uzalać.

– Ale mogłem być w domu! Duszę się tu, duszę się w tym mieście, w sali wykładowej, przy tych podręcznikach, którymi się karmię nie tylko w dzień, ale i w nocy.

– Może mi wreszcie powiesz, co się naprawdę stało? – zapytałem, zerkając na Luca.

– Chodzi o Annabelle. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ja marzyłem, żeby wreszcie przeżyć prawdziwą miłość. Zawsze kiedy ojciec przywoływał mnie do porządku, bo bujałem w obłokach, wyobrażałem sobie siebie z dziewczyną. A teraz, kiedy naprawdę mi się to zdarzyło, pragnę tylko jednego: znów być wolny. Kiedyś miałem ci za złe, że nie angażujesz się bardziej w znajomość z Sophie. Gdy zobaczyłem ją pierwszy raz, u twojej matki, pomyślałem sobie, że to jakby rzucać perły przed wieprze.

– Serdeczne dzięki.

– Przepraszam cię, ale dało się zauważyć, że ledwie raczysz na nią spojrzeć, na taką dziewczynę! To niesamowite...

– Czyżbyś chciał mi dać do zrozumienia, że Sophie wpadła ci w oko?

– Nie bądź durniem, gdyby o to chodziło, nie bawiłbym się w delikatne aluzje. Mówię tylko, że teraz nic już nie rozumiem. Nudzę się z Annabelle, prawdę mówiąc, to przestało już być zabawne. Traktuje wszystko śmiertelnie poważnie, patrzy na mnie z góry, bo dorastałem na prowincji.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Pojechała na święta do domu, do rodziny.

Proponowałem, że do niej przyjadę, ale wyczułem, że pomyśl, żeby przedstawić mnie rodzicom, wprowadził ją w zakłopotanie. Nie jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

– Nie sądzisz, że trochę przesadzasz? Może dziewczyna boi się jeszcze tak zobowiązującego związku? Przedstawienie kogoś rodzinie ma pewne konsekwencje, coś już oznacza. To dalszy etap w budowie reakcji.

– Zastanawiałeś się nad tym wszystkim, zapraszając Sophie do swojej matki?

Patrzyłem na Luca bez słowa. Nie, nic takiego nie przyszło mi na myśl, kiedy spontanicznie zaproponowałem Sophie, żeby ze mną pojechała, a dopiero teraz zadałem sobie pytanie, jak mogła to odebrać. Mój egoizm i głupota usprawiedliwiały jej późniejsze zachowanie wobec mnie i ten dystans, jaki się między nami wytworzył na jesieni. A teraz, przed Bożym Narodzeniem, nie zaproponowałem jej nawet spotkania. Nasza przyjaźń i miłość przywiedły i tylko ja tego nie dostrzegałem. Zostawiłem Luca z jego rozterkami i chwyciłem za telefon, żeby zadzwonić do Sophie. Nie odebrała. Może zobaczyła mój numer na ekranie i uznała, że nie ma ochoty na tę rozmowę?

Potem zadzwoniłem do mamy, żeby przeprosić za to kolejne rozczarowanie. Zapewniła mnie, że nie muszę się tym martwić, bo doskonale mnie rozumie. Dodała, że prezenty mogą poczekać, ponieważ postara się, zamiast jak zwykle wiosną,

odwiedzić mnie już w lutym.



W sylwestrowy wieczór miałem dyżur, zamieniłem się, żeby móc spędzić z matką Wigilię, i źle wyszedłem na tym układzie. Luc wsiadł do pociągu, ciesząc się na spotkanie z rodziną. Sophie nadal się nie odzywała. Usiadłem w fotelu w poczekalni izby przyjęć, licząc na chwilę spokoju przed napływem ofiar petard odpalanych o północy. Jednak tej nocy czekało mnie zupełnie niespodziewane spotkanie.

Starszą panią na izbę przyjęć przywieźli o dwudziestej trzeciej strażacy. Wniesiono ją na noszach, więc jej rozbawiona twarz mocno mnie zaskoczyła.

– Co panią wprawiło w tak dobry nastrój? – zapytałem, mierząc jej ciśnienie.

– To długa i skomplikowana historia, nie zrozumie pan – odparła, chichocząc.

– Może jednak da mi pani szansę!

– Zapewniam, że uznałby mnie pan za wariatkę!

Starsza pani usiadła na noszach i bacznie mi się przyjrzała.

– Ja pana znam! – zawołała.

– Myli się pani – powiedziałem, zastanawiając się, czy należy zlecić wykonanie rezonansu.

– Pewnie pomyślał pan sobie, że zaczynam wszystko mylić, i zastanawia się pan, jakie badania warto jeszcze przeprowadzić, tymczasem z nas dwojga to pan cierpi na silniejszą sklerozę, drogi chłopcze!

– Skoro pani tak uważa...

– Mieszka pan na czwartym piętrze po prawej stronie, a ja tuż nad panem. I co, młody człowieku, które z nas dwojga ma lepszą pamięć?

Od początku studiów bałem się, że pewnego dnia spotkam w podobnych okolicznościach ojca. Tego wieczoru natknąłem się na sąsiadkę, ale nie na klatce schodowej naszej kamienicy, tylko tu, na izbie przyjęć. Mieszkałem w tym budynku od pięciu lat, od pięciu lat słyszałem nad głową jej kroki, gwizd czajnika, kiedy rano gotowała wodę, otwieranie okien, ale nigdy nie zastanawiałem się, kto tam mieszka, jak wygląda osoba, która na co dzień jest tak blisko mnie. Luc ma rację – wielkie miasto doprowadza do szaleństwa, wysysa z ludzi dusze i wypluwa je jak przeżutą gumę.

– Nie ma się czego wstydzić, chłopcze. To, że dwa czy trzy razy odebrałam dla pana jakąś przesyłkę, wcale nie znaczy, że od razu powinien mnie pan odwiedzać. Wiele razy spotykaliśmy się na schodach, ale pan biega tak szybko, że zgubiłby pan własny cień na tych piętrach.

– Zabawne, że pani tak mówi – odpowiedziałem, obserwując reakcję jej źrenic na światło.

– Co w tym śmiesznego? – zdziwiła się i zacisnęła powieki.

– Nic. Może mi pani w końcu wyjaśnić, co wprawia panią w tak dobry nastrój?

– O nie, na pewno nie teraz, kiedy wiem, że jest pan moim sąsiadem. A właśnie, mam do pana małą prośbę.

– Proszę mówić śmiało.

– Gdyby pański kolega mógł zachowywać się nieco ciszej, kiedy figluje z przyjaciółką, byłabym szczerze zobowiązana. Nie mam nic przeciwko młodości i jej prawom, ale w moim wieku człowiek śpi niestety jak zając pod miedzą.

– Pocieszę panią, teraz nic takiego nie będzie się już działo, bo jeśli dobrze zrozumiałem, zerwali ze sobą.

– Och – westchnęła w zamyśleniu – bardzo mi przykro. No dobrze, skoro jednak nic mi nie dolega, mogę już chyba wrócić

do domu?

– Muszę panią zatrzymać na obserwację. To mój obowiązek.

– A co pan chce obserwować?

– Panią!

– Oszczędzę panu czasu. Jestem starą kobietą w szacownym wieku, którego panu nie podam, i poślizgnęłam się w kuchni. Nie ma tu czego obserwować ani robić, wystarczy zabandażować nogę w kostce, bo puchnie dosłownie w oczach.

– Proszę trochę odpocząć, pošlemy panią na prześwietlenie i jeżeli nie stwierdzimy złamania, sam odwiozę panią do domu, kiedy zakończę dyżur.

– Ponieważ jesteśmy sąsiadami, daję panu trzy godziny. Potem sama wrócę do domu, jeżeli pan mnie stąd nie zabierze.

Wypisałem skierowanie na prześwietlenie i powierzyłem pacjentkę sanitariuszowi, a sam wróciłem do pracy.

Sylwestrowe noce są utrapieniem dla ostrych dyżurów i izb przyjęć. Około w pół do pierwszej zaczynają napływać pierwsi pacjenci. Alkohol i nadmiar jedzenia – ta szaleńcza skłonność do świętowania, jaką ma wiele osób, zawsze pozostanie dla mnie niezrozumiała.

Wczesnym rankiem poszedłem do staruszki z sąsiedztwa – siedziała na wózku, trzymając na kolanach torebkę. Nogę miała zabandażowaną.

– Dobrze, że wybrał pan medycynę, bo jako szofer nie utrzymałby pan posady. Zabierze mnie pan stąd wreszcie?

– Kończę dyżur za pół godziny. Boli panią ta noga?

– Zwykle zwichnięcie, nie trzeba być lekarzem, żeby się zorientować. Jeśli przyniesie mi pan kawę z automatu, to jeszcze chwilę poczekam. Chwilę, ale ani minuty dłużej.

Podszedłem do dystrybutora napojów i podałem starszej

pani kawę. Umoczyła usta w kubeczku i oddała mi go ze wstrętem, wskazując palcem wiszący w pobliżu worek na śmieci.

W holu izby przyjęć było zupełnie pusto. Zdjąłem fartuch, zabrałem płaszcz z dyżurki i wyszedłem, pchając przed sobą wózek.

Rozglądałem się za taksówką, kiedy zauważył mnie jeden z kierowców karetek. Zapytał, dokąd chcę jechać. Kończył pracę i uprzejmie zaproponował, że nas podwiezie. Był tak miły, że pomógł mi wnieść sąsiadkę po schodach. Dotarliśmy na piąte piętro, ledwie dysząc. Sąsiadka podała mi klucze. Kierowca pożegnał się z nami, a ja pomogłem starszej pani usiąść wygodnie w fotelu.

Obiecałem, że do niej zajrzę i przyniosę wszystko, czego potrzebuje. Po urazie nie powinna przez kilka dni chodzić po schodach. Zapisałem swój numer telefonu na kartce i zostawiłem w widocznym miejscu, na stoliku, prosząc, by dzwoniła do mnie bez wahania w razie jakichkolwiek problemów. Zamierzałem wyjść, kiedy mnie zawołała.

– Nie jest pan zbyt wścibski, nawet pan nie zapytał, jak mam na imię.

– Alice, ma pani na imię Alice. Wpisano to do pani karty.

– Datę urodzenia też?

– Owszem.

– To przykre.

– Nie robiłem obliczeń.

– Uprzejmy z pana chłopak, ale nie wierzę. Tak, mam dziewięćdziesiąt dwa lata, i wiem, wyglądam na zaledwie dziewięćdziesiąt!

– Na znacznie mniej, dałbym głowę, że...

– Milcz, chłopcze, każda liczba, którą podasz, będzie za

wysoka. Ale i tak nie jesteś wścibski, bo dotąd nie dowiedziałeś się, co mnie bawiło, kiedy przyjechałam do szpitala.

– Przyznam szczerze, że już o tym zapomniałem.

– W takim razie idź do kuchni, w szafce nad zlewem znajdziesz paczkę kawy. Umiesz się posługiwać ekspresem?

– Tak mi się wydaje.

– Cokolwiek zrobisz, będzie to lepsze od trucizny, którą przyniosłeś mi w szpitalu.

Staralem się zaparzyć jak najlepszą kawę. Po chwili wróciłem do pokoju z tacą. Alice nalała nam kawy, wypła swoją, nie czyniąc żadnych uwag. Chyba zdałem egzamin.

– A zatem... skąd ten dobry humor wczoraj wieczorem? – podjąłem. – Przecież to nic zabawnego, że zrobiła sobie pani krzywdę.

Alice przechyliła się, sięgając po pudełko ciastek, które stało na stoliku.

– Nie wyobrażasz sobie, jak męczą mnie własne dzieci! Ich rozmowy są nie do zniesienia, żona syna i mąż córki nie do wytrzymania. Oboje stale tylko narzekają, nie widzą nic poza czubkiem własnego nosa. Nie dało się ich nauczyć odrobiny poezji. Wyobraź sobie, że byłam nauczycielką francuskiego, a ta dwójka kretynów lubiła tylko liczby. Chciałam się wymigać od kolacji u synowej, bo to istna udręka, kobieta gotuje jak noga, indyk sam by się lepiej upiekł. Wczoraj rano, kiedy miałam wyruszać na dworzec, żeby wsiąść do pociągu i pojechać do tej ich ponurej wiejskiej rezydencji, zadzwoniłam i powiedziałam, że zwichnęłam nogę w kostce. Udali bardzo zmartwionych, ale zapewniam cię, że po pięciu minutach już o mnie zapomnieli.

– A gdyby któreś zdecydowało się przyjechać po panią samochodem?

– Nie było takiego ryzyka, córka i syn prześcigają się

w egoizmie, odkąd skończyli szesnaście lat. Teraz przybyło im po czterdzieści, ale wciąż nie wiadomo, kto wygrywa w tej konkurencji. Byłam w kuchni i właśnie pomyślałam, że kiedy oni wrócą, będę musiała zabandażować nogę, żeby uwiarygodnić to kłamstwo, gdy nagle poślizgnęłam się i wylądowałam na ziemi, kopytami do góry. Za kwadrans dwunasta pojawili się strażacy. Jakoś zdołałam otworzyć im drzwi. Sześciu przystojnych chłopaków tylko dla mnie, w moim mieszkaniu, zamiast przypalonego indyka synowej... nie liczyłam na tyle szczęścia! Zbadali mnie i przypięli do noszy, żeby znieść mnie po schodach. Kiedy mieliśmy ruszać do szpitala, wybiła północ, więc zapytałam kapitana, czy zechciałby chwilę poczekać. Mój stan nie wymagał natychmiastowego leczenia. Zgodził się, a ja poczęstowałam ich czekoladkami i odczekaliśmy stosowną chwilę...

– Na co pani czekała?

– A jak pan sądzi? Na telefon! Ale w tym roku nie da się jeszcze przyznać zwycięstwa żadnemu z moich pisklątek. Po przyjeździe do szpitala śmiałam się z powodu tej kostki, która w ambulansie zaczęła mocno puchnąć. No i dostałam swój bandaż!

Pomogłem Alice ułożyć się w łóżku, włączyłem jej telewizor i zostawiłem, żeby mogła odpocząć. Po powrocie do domu chwyciłem za telefon i zadzwoniłem do matki.

Styczeń był mroźny. Luc wrócił z domu z silną motywacją do nauki. Ojciec doprowadzał go do szału, młodsza siostra więcej czasu spędzała przed konsolą do gier niż na rozmowach z bratem. Na moją prośbę Luc odwiedził mamę. Zauważył, że nie najlepiej wyglądała. Przywiózł mi od niej list i prezent gwiazdkowy.

Kochanie! Wiem, że praca pochłania cały Twój czas. Niczego nie

musisz żałować, w Wigilię byłam trochę zmęczona i wcześniej się położyłam Ogród jest teraz jak ja – śpi pod szronem. Zarośla pobielają, wszystko to wygląda bajkowo. Sąsiad przyniósł mi tyle drewna, że mogłabym tu przetrwać oblężenie. Wieczorem palę w kominku i patrzę, jak płomienie strzelają w górę. Myślę wtedy o Tobie, o tym zabieganym życiu, jakie prowadzisz. To przywołuje tyle wspomnień! Teraz chyba lepiej rozumiesz, dlaczego czasami wracałam do domu u kresu sił, i mam nadzieję, że mi wybaczysz te wieczory, kiedy nie miałam już siły nawet na rozmowę. Bardzo bym chciała widywać się z Tobą częściej, tęsknię za Tobą, ale jestem dumna i zadowolona z tego, co robisz. Przyjadę Cię odwiedzić wczesną wiosną. Wiem, że obiecałam Ci wizytę w lutym, ale przy tym mrozie wolę być ostrożna. Nie chciałabym narobić Ci kłopotu i zostać Twoją kolejną pacjentką... Gdybyś jakimś cudem znalazł kilka dni wolnego, chociaż pisząc to, nie łudzę się nawet, że to realne, byłabym najszczęśliwszą z matek. Czeka nas cudowny rok – w czerwcu uzyskasz dyplom, zaczniesz specjalizację. Doskonale wiesz, że kiedy to piszę, czuję dumę i najchętniej powtórzyłabym to jeszcze sto razy. Życzę Ci dobrego, szczęśliwego roku, synku. Twoja kochająca mama. PS Jeżeli nie podoba Ci się kolor tego szalika, to masz pecha – nie da się go wymienić, zrobiłam go własnoręcznie na drutach... Jest trochę krzywy, ale nic dziwnego – to moja pierwsza i ostatnia robótka, bo potwornie się namęczyłam i takie dzierganie wcale mnie nie bawi.

Rozpakowałem prezent i założyłem szalik na szyję. Luc zaczął się ze mnie śmiać – szalik był fioletowy, na jednym końcu trochę szerszy. Ale kiedy go zawiązałem, wcale nie było tego widać. Nosiłem ten szalik przez całą zimę.



Sophie pojawiła się pod koniec pierwszego tygodnia stycznia. Co noc zaglądałem na jej oddział, ale nie udało mi się z nią spotkać. To ona odwiedziła mnie na izbie przyjęć, zaraz po powrocie. Jej smagła buzia zaskakiwała wśród bladych twarzy innych osób. Powiedziała mi, że musiała trochę odetchnąć. Zabrałem ją do kafeterii na wprost szpitala. Zjedliśmy razem kolację przed powrotem do pracy.

– Gdzie byłaś?

– Jak się domyślasz, na słońcu.

– Sama?

– Z przyjaciółką.

– Którą?

– Ja też mam przyjaciół z dzieciństwa. Jak się miewa twoja matka?

Słuchała mnie długo, aż nagle położyła dłoń na mojej ręce i spojrzała mi prosto w oczy.

– Ty i ja... ile to już czasu? – zapytała.

– Dlaczego pytasz?

– Odpowiedz. Kiedy był nasz pierwszy raz?

– Tego dnia, kiedy nasze usta się spotkały, gdy odwiedziłem cię w pracy – powiedziałem bez wahania.

Sophie zwróciła na mnie smutne oczy.

– W dniu, kiedy kupiłem ci loda w parku? – spróbowałem.

Sposepniała jeszcze bardziej.

– Pytam o datę.

Musiałem chwilę pomyśleć, ale Sophie nie zostawiła mi na to czasu.

– Po raz pierwszy kochaliśmy się dokładnie dwa lata temu. Nawet tego nie pamiętasz. Nie widzieliśmy się od dwóch tygodni, a rocznicę świętujemy w jakimś podrzędnym barze na wprost szpitala, tylko dlatego, że musieliśmy coś zjeść przed

dyżurem. Nie mogę być raz twoją najlepszą przyjaciółką, a raz kochanką. Jesteś gotów poświęcać się dla całego świata, dla obcego człowieka, którego rano jeszcze nie znałeś, ale ja jestem tylko boją, której się chwytnasz podczas sztormu i puszczasz ją, kiedy tylko wraca ładna pogoda. Przez tych kilka miesięcy poświęciłeś Lucowi więcej czasu i uwagi niż mnie przez dwa lata. Czy ci się to podoba, czy nie, nie jesteśmy już na szkolnym podwórku, życie to nie pasmo szczenięcych wygłupów. Jestem cieniem w twoim życiu, ty w moim znaczysz o wiele więcej i to mnie boli. Dlaczego zabrałeś mnie do swojej matki, dlaczego pozwoliłeś, żeby zdarzyła się chwila intymności na strychu, po co pozwalałeś mi wejść do twojego życia, skoro wyznaczyłeś mi jedynie rolę gościa? Sto razy byłam bliska zerwania z tobą, ale sama nie potrafię tego zrobić. Dlatego proszę cię, wyświadczyć nam obojgu przysługę, zrób to. Albo jeżeli wierzysz, że możemy coś wspólnie stworzyć, choćby tylko na jakiś czas, pozwól, żebyśmy naprawdę to przeżyli.

Sophie wstała i wyszła. Przez szybę widziałem, jak czeka na chodniku, aż zmieni się światło, żeby przejść przez ulicę. Padał deszcz, postawiła kołnierz kurtki i – sam nie wiem czemu – właśnie tym niewinnym gestem rozbudziła we mnie niesamowite pożądanie.

Opróżniłem kieszenie, wykładając na stół pieniądze, żeby zapłacić rachunek, i zaraz pobiegłem za nią. Całowaliśmy się w strugach zimnego deszczu, a między pocałunkami przeproszałem ją za ból, jaki jej zadałem. Gdybym mógł to przewidzieć, błagałbym też o wybaczenie krzywdy, jaką dopiero miałem jej wyrządzić, jednak wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, a moje pożądanie było szczerze.

Szczoteczka do zębów w kubku, kilka rzeczy w szafie, budzik na nocnym stoliku, parę przyniesionych książek

– zamieszkałem u Sophie, a swoją kawalerkę zostawiłem Lucowi. Wpadałem tam codziennie, na chwilę, jak marynarz, który wychodzi na nabrzeże, żeby sprawdzić, czy łódź jest dobrze zacumowana. Za każdym razem zaglądałem przy okazji piętro wyżej. Alice mieszała się świetnie. Ucinaliśmy sobie krótką pogawędkę, a ona niezmiennie opowiadała okropieństwa o swoich dzieciach i poprawiał jej się nastrój. Udzieliłem Lucowi wskazówek, żeby pod moją nieobecność dopilnował, czy staruszka ma wszystko, czego jej trzeba.

Pewnego wieczoru, kiedy przypadkiem spotkaliśmy się u niej, rzuciła zdumiewającą uwagę.

– Zamiast wydawać na świat dzieci i zamęczać się, wychowując je, należałoby je adoptować już dorosłe. Człowiek wiedziałby przynajmniej, z kim ma do czynienia. Was obu wzięłabym bez wahania.

Luc zerknął na mnie zaskoczony, a Alice, którą jego reakcja bardzo ucieszyła, podjęła:

– Darujmy sobie hipokryzję, sam mi powiedziałeś, że rodzice cię irytują, dlaczego uważasz, że rodzicom nie wolno czuć tego samego wobec swoich dzieci?

A ponieważ Luc zaniemówił, zabrałem go do kuchni i wyjaśniłem na osobności, że Alice ma osobliwe poczucie humoru i nie trzeba mieć jej tego za złe, bo jest mocno rozżalona. Chociaż starała się za wszelką cenę zachować godność wobec ogromu cierpienia i próbowała nawet zniechęcić potomstwo, wszystkie te wysiłki były daremne – miłość do dzieci okazywała się silniejsza od wszystkiego. Porzucona, przeżywała tragedię.

To nie Alice wyjawiała mi tę tajemnicę. Pewnego ranka, kiedy ją odwiedziłem, słońce zajrzało do pokoju i nasze cienie troszeczkę za bardzo się do siebie zbliżyły.



W pierwszych dniach marca zwołano zebranie wszystkich pracowników izby przyjęć. Okazało się, że płyty, którymi obłożono sufit, zawierają azbest. Ekipa fachowców miała je wymienić, a prace planowano na trzy dni i trzy noce. Przez ten czas nasze zadania miał wypełniać inny szpital. Personel otrzymał urlop techniczny na cały weekend.

Natychmiast zadzwoniłem do matki, żeby podzielić się z nią dobrą wiadomością – mogłem ją odwiedzić, zapowiedziałem, że przyjadę w piątek. Po chwili milczenia matka powiedziała mi, że bardzo jej przykro, ale obiecała przyjaciółce, że pojedzie z nią na południe. Zima była wyjątkowo sroga, i kilka dni na słońcu dobrze by im zrobiło. Podróż została zaplanowana kilka tygodni temu, hotel otrzymał już zaliczkę, bilety lotnicze były bezzwrotne. Nie widziała możliwości odwołania tego wyjazdu. Tak bardzo chciałyby się ze mną zobaczyć, to naprawdę głupi zbieg okoliczności, miała jednak nadzieję, że ją zrozumiem i że nie będę miał do niej żalu. Jej głos brzmiał tak słabo, że natychmiast zapewniłem, iż nie tylko ją zrozumiem, ale też cieszę się, że ruszy się z domu i wyjedzie na kilka dni. Już za miesiąc będzie prawdziwa wiosna, a wtedy mnie odwiedzi i nadrobimy stracony czas.

Tego wieczoru Sophie miała dyżur, a ja nie pracowałem. Luc gorączkowo się uczył, potrzebował pomocy. Zjedliśmy makaron, a potem usiedliśmy przy biurku. Ja grałem rolę nauczyciela, on – ucznia. O północy mój przyjaciel rzucił podręcznikiem do biologii przez cały pokój. Ja także przed sesją egzaminacyjną na pierwszym roku żyłem w potwornym stresie, miałem ochotę wszystko rzucić, uciec przed ryzykiem porażki. Podniosłem książkę i wróciłem do wykładu, jakby nic się nie

stało. Ale Luc był nieobecny duchem, a jego zdenerwowanie zaczynało mnie niepokoić.

– Jeżeli nie wyniosę się stąd przynajmniej na dwa dni, eksploduję. To, co zostanie z mojego ciała, oddam medycynie. Pierwszy ludzki inkubator rozerwany od środka powinien zainteresować patologów. Już widzę, jak leżę na stole sekcyjnym, otoczony przez grupę studentów. Pociesza mnie tylko myśl, że zanim wyląduję dwa metry pod ziemią, dziewczyny pobawią się jeszcze moim fiutem.

Z tej tyrady wyciągnąłem wniosek, że mój przyjaciel naprawdę musi trochę odetchnąć. Po chwili namysłu zaproponowałem mu, żebyśmy wyskoczyli na wieś i tam kontynuowali naukę.

– Nie lubię krów – odburknął posępnie.

Zapadła cisza, ale kiedy Luc błędził wzrokiem gdzieś w dali, ja nie spuszczałem go z oka.

– Morze – powiedział. – Chcę popatrzeć na morze, na horyzont, na ten bezkres, na wodę, na fale... I chcę usłyszeć mewy...

– Chyba wiem, czego ci trzeba – powiedziałem.

Najbliższe wybrzeże było od nas oddalone o trzysta kilometrów, jedyny jadący tam pociąg zatrzymywał się na każdej stacyjce, a podróż trwała sześć godzin.

– Wynajmijmy samochód, trudno, to pochłonie całą moją pensyjkę salowego, ja stawiam, tylko błagam, zabierz mnie nad morze.

Gdy Luc kończył, patrząc na mnie jak na wybawcę, otworzyły się drzwi i do mieszkania weszła Sophie.

– Było otwarte – powiedziała. – Nie przeszkadzam?

– Wydawało mi się, że masz dyżur.

– Też tak myślałam, niepotrzebnie zmarnowałam cztery

godziny. Pomyliłam dni i zorientowałam się dopiero po paru godzinach, że jesteśmy na oddziale we dwoje. I pomyśleć, że mogłam spędzić z tobą cały wieczór.

– Biedactwo – westchnąłem.

Sophie patrzyła na mnie, a jej mina nie wróżyła nic dobrego. Szeroko otworzyłem oczy, milcząco pytając, co się stało i o co jej chodzi.

– O ile mnie słuch nie myli, wyjeżdżasz na weekend nad morze? Och, nie rób takiej miny, nie mam zwyczaju podsłuchiwać pod drzwiami. Luc tak wrzeszczał, że słychać go było już na schodach.

– Sam nie wiem – rzuciłem. – Skoro byłaś przy naszej rozmowie, to chyba wiesz, że jeszcze nie udzieliłem odpowiedzi.

Luc wodził wzrokiem, patrząc to na nią, to na mnie, jak obserwator pojedynku dwóch tenisistów.

– Zrobisz, jak zechcesz, jeśli macie ochotę spędzić ten weekend we dwóch, znajdę sobie inne zajęcie, nie przejmujcie się mną.

Luc zrozumiał, przed jakim stanąłem dylematem. Poderwał się z krzesła, padł do stóp Sophie, uczepił się jej nóg i zaczął ją błagać. Przypomniało mi się, że widziałem, jak zrobił ten numer pani Schaeffer, żeby uniknąć kary.

– Zaklinam, Sophie, jedź z nami, nie dąsaj się, nie obwiniaj go, wiem, że chciałaś spędzić z nim te dwa dni, ale on właśnie próbował uratować mi życie. Po co studiujesz medycynę, skoro odmawiasz pomocy człowiekowi w niebezpieczeństwie, zwłaszcza że ten człowiek to ja? Umrę, skonam, dusząc się pod książkami, jeśli mnie stąd nie zabierzecie. Jedź z nami, zlituj się, obiecuję, że pójdę sobie na plażę, usiądę i już mnie nie zobaczycie, będę niewidzialny. Będę się trzymał na dystans, nie

pisnę słowa, zapomnisz nawet, że tam jestem. Dwa dni nad morzem, tylko we dwoje i mój cień gdzieś w dali. Powiedz „tak”, zgódź się, proszę, płacę za samochód, benzynę i hotel. Pamiętasz te rogaliki, które upiekłem specjalnie dla ciebie? Nie znałem cię, ale już wiedziałem, że się polubimy. Jeżeli się zgodzisz, zrobię ci takie *chouquettes*, jakich w życiu nie jadłaś.

Sophie spuściła oczy i zapytała z pełną powagą:

– Najpierw mi powiedz, co to są te *chouquettes*.

– Kolejny powód, żebyś z nami pojechała – odparł Luc. – Nie możesz tak łatwo zrezygnować z moich specjałów! A jeśli odmówisz, to ten bałwan też nie pojedzie, a jeśli nie odetchnę, nie będę w stanie zabrać się do nauki i obleję egzaminy. Krótko mówiąc, moja kariera medyczna jest w twoich rękach!

– Przestań rznąć głupa. – Sophie uśmiechnęła się rozczulona i pomogła mu wstać.

Pokiwała głową i stwierdziła, że zawsze się wzajemnie bronimy.

– Dzieciaki! – rzuciła pogardliwie. – Niech będzie weekend nad morzem, ale po powrocie chcę dostać moje *chouquettes*.

Zostawiliśmy Luca sam na sam z książkami. Umówiliśmy się, że przyjedzie po nas w piątek rano.

Kiedy szliśmy do domu, Sophie wzięła mnie za rękę.

– Naprawdę zrezygnowałbyś z weekendu, gdybym nie zgodziła się z wami jechać? – zapytała.

– A zamierzałaś się nie zgodzić? – odpowiedziałem pytaniem.

Wchodząc do mieszkania, powiedziała, że Luc to facet jedyny w swoim rodzaju.

Luc wyszperał niewątpliwie najtańszy samochód do wynajęcia w całym mieście – stary brek, który każdy bok miał w innym kolorze. Brakowało osłony chłodnicy, między

przednimi światłami było coś, co przypominało zardzewiały kaloryfer, a same reflektory łypały na drogę jak zezowate oczy.

– No dobra, to stary grat – przyznał Luc, widząc, że Sophie nie wie, czy wsiadać do tej kupy złomu – ale silnik pracuje równo, a klocki hamulcowe są nowiutkie. Zawieszenie trochę skrzypi, jednak dojedziemy bez problemów, a za to wóz jest naprawdę przestronny.

Sophie uznała, że bezpieczniej będzie usiąść z tyłu.

– Zostawiam wam przód – powiedziała, zamykając drzwi z potwornym zgrzytem.

Luc przekręcił kluczyk w stacyjce i odwrócił do nas rozanieloną gębę.

Amortyzatory były oryginalne, więc na każdym zakręcie rzucało nami jak na karuzeli. Po pięćdziesięciu kilometrach Sophie zażądała, żebyśmy zatrzymali się na pierwszej stacji benzynowej. Najzwyczajniej wyrzuciła mnie z miejsca pasażera, bo doszła do wniosku, że woli ten fotel śmierci od tylnego siedzenia, gdzie potwornie ją mdliło od ciągłego turlania się od okna do okna, gdy samochód podskakiwał albo wchodził w zakręt.

Skorzystaliśmy z okazji, żeby zatankować do pełna i zjeść po kanapce przed dalszą drogą.

Reszty podróży właściwie nie pamiętam. Ułożyłem się wygodnie na tylnym siedzeniu i dałem ukołysać. Po chwili zapadłem w głęboki sen. Co pewien czas otwierałem oczy – Sophie i Luc prowadzili ożywioną rozmowę, ale ich głosy brzmiały w moich uszach jak kołysanka, więc znów zasypiałem.

Po pięciu godzinach jazdy Luc lekko mną potrząsnął – dotarliśmy do celu.

Zaparkował samochód przed starym hotelem, którego elewacja doskonale pasowała do pstrokatej karoserii naszego

wozu, zupełnie jakby ten stary grat wrócił do rodzinnego domu.

– Tak, wiem, to nie jest czterogwiazdkowy hotel, ale obiecałem, że za wszystko płacę, a nie stać mnie na nic lepszego – powiedział Luc, wyjmując torby z bagażnika.

Bez słowa poszliśmy za nim do recepcji. Właścicielka nadmorskiego hotelu zapewne zaczęła go prowadzić, gdy miała około dwudziestu lat, teraz przybyło jej pół wieku i doskonale pasowała do tego miejsca. Przypuszczałem, że poza sezonem będziemy tu jedynymi pensjonariuszami, okazało się jednak, że na schodach natychmiast pojawiło się około piętnaściora staruszków, którzy z ciekawością obserwowali nowo przybyłych.

– To stali mieszkańcy – powiedziała właścicielka, wzruszając ramionami. – W pobliżu był dom starców, któremu odebrano licencję, i musiałam przyjąć tę miłą gromadkę, bo przecież nie można było zostawić ich na ulicy. Macie szczęście, jeden z moich lokatorów zmarł w zeszłym tygodniu, pokój jest wolny. Zaraz was tam zaprowadzę.

– O tak, przyznaję, że rzeczywiście mieliśmy nieziemskiego farta! – jęknęła Sophie, idąc po schodach.

Właścicielka poprosiła swoich pensjonariuszy, żeby usunęli się z korytarza i pozwolili nam przejść.

Sophie uśmiechała się do wszystkich. Gdybyśmy przypadkiem zatęsknili do atmosfery szpitala, to tu znajdziemy ukojenie.

– A jak myślisz, skąd miałem ten adres? – mruknął Luc. – Dała mi go koleżanka z roku, w czasie wakacji przyjeżdża tu, żeby sobie trochę dorobić.

Drzwi pokoju numer 11 otworzyły się i zobaczyliśmy dwa łóżka. Oboje odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na Luca.

– Obiecuję wam, że będę bardzo dyskretny – przeproszał. –

W końcu hotele są po to, żeby w nich spać, co? A poza tym, jeśli aż tak potrzebujecie spokoju, mogę nocować w samochodzie, i tyle.

Sophie położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała, że przyjechaliśmy tu zobaczyć morze i tylko to się liczy. Uspokojony Luc zaproponował, żebyśmy wybrali łóżko, które bardziej nam odpowiada.

– Żadne – burknąłem, dając mu kuksańca.

Sophie wybrała to, które stało dalej od okna, a bliżej łazienki.

Kiedy odstawiliśmy torby, uznała, że nie warto marnować czasu – była głodna, no i chciała popatrzeć na morze. Luc nie kazał się prosić.

Od plaży dzieliło nas około sześciuset metrów, jak twierdziła właścicielka. Narysowała nam na kartce plan okolicy. Powiedziała, że po drodze znajdziemy bar, gdzie można coś zjeść o każdej porze dnia.

– Teraz ja was zapraszam – zadeklarowała się Sophie, którą już odurzyło morskie powietrze.

Gdy weszliśmy w uliczkę handlową, ogarnęło mnie wrażenie, że już ją widziałem. Gotów byłem przysiąc, że kiedyś tu byłem, ale tylko wzruszyłem ramionami, bo przecież wszystkie nadmorskie miejscowości turystyczne są do siebie podobne. Pewnie znowu wyobraźnia spletała mi figla.

Luc i Sophie byli głodni jak wilki, menu dnia ich nie nasyciło, więc Sophie zamówiła jeszcze *creme caramel*.

Kiedy wyszliśmy z baru, było już ciemno. Morze szumiało tuż obok i chociaż w ciemnościach niewiele mogliśmy zobaczyć, zdecydowaliśmy się na spacer po plaży.

Nabrzeże było ledwie oświetlone – trzy stare latarnie, znacznie od siebie oddalone, rzucały blade światło. Dalej była

już tylko czarna otchłań.

– Czujecie to? – zawołał Luc, rozkładając ręce. – Czujecie ten zapach jodu? W końcu uwolniłem się od smrodu środków do dezynfekcji, który mnie prześladował, odkąd zacząłem pracować jako sanitariusz. Zdarzało mi się nawet szorować nozdrza szczoteczką do zębów, żeby się go pozbyć, ale to nic nie dało. A teraz stał się cud!

I ten szum, słyszycie szum fal?

Luc nie czekał na odpowiedź – zdjął buty i skarpetki i ruszył biegiem po piasku, prosto ku rozbijającym się na brzegu falom. Sophie popatrzyła, jak się oddala, mrugnęła do mnie okiem, zdjęła pantofle i pobiegła za Lukiem, który gonił uciekające fale, krzycząc jak opętany. Ja także za nimi poszedłem. Księżyc był prawie w pełni i zobaczyłem sunący przede mną cień. Mógłbym przysiąc, że gdy mijałem kałużę, dostrzegłem w tafli słonej wody sylwetkę dziewczynki, która mnie obserwowała.

Luc i Sophie zdążyli się tymczasem zmęczyć. Oboje byli zadyszani. Wszyscy mieliśmy lodowate nogi, a Sophie trzęsła się jak osika. Wziąłem ją w ramiona, żeby posmarować jej plecy. Nadszedł czas powrotu. Przeszliśmy przez osadę, niosąc buty w rękach. Wszyscy mieszkańcy hotelu już spali, więc po cichu przemknęliśmy do pokoju.

Sophie wzięła ciepły prysznic, wskoczyła do łóżka i niemal natychmiast zasnęła. Luc popatrzył na nią, skinął mi ręką i zgasił światło.



Rano bez entuzjazmu myśleliśmy o śniadaniu w jadalni. Panowała tam niezbyt radosna atmosfera, a mlaskanie i głośne przeżuwanie nie poprawiały apetytu.

– Śniadanie jest wliczone w cenę – przekonywał nas Luc.

Ale widząc zbolaną minę Sophie, która nie miała nawet ochoty posmarować masłem grzanki, Luc odsunął krzesło, kazał nam zaczekać i zniknął w kuchni. Po długim jak wieczność kwadransie siedzący przy stolikach pensjonariusze unieśli głowy, wciągając nietypowy zapach, który wypełnił salę. Zapanowała głęboka cisza, staruszkowie odłożyli sztuce i z zainteresowaniem wpatrywali się w drzwi jadalni.

W końcu pojawił się Luc. Włosy i twarz miał w mące, a w ręku niósł koszyk pełen placków. Przeszedł między stolikami, rozdzielając po dwie sztuki na osobę, a potem wrócił do nas, położył trzy placki na talerzu Sophie i usiadł.

– Zrobiłem, co się dało, nie miałem dużego wyboru – powiedział. – Musimy kupić trzy kilogramy mąki, trzy kostki masła i cukier, bo chyba zużyłem wszystkie zapasy naszej gospodyni.

Jego placki były aromatyczne, ciepłe i rozplływały się w ustach.

– Wiesz, brakuje mi tego – przyznał Luc, rozglądając się wokół. – Zawsze lubiłem tę chwilę, kiedy pierwsi klienci wchodzili rano do piekarni, spragnieni świeżych bułeczek. Popatrz na nich, wyglądają na szczęśliwych. Chociaż to nie klasyczna medycyna chyba dobrze im robi.

Uniosłem głowę – staruszkowie zajadali się plackami. Teraz nie panowała tu już przytłaczająca cisza, jak pół godziny temu, kiedy przyszliśmy, ale gwar ożywionych rozmów.

– Masz złote ręce – powiedziała Sophie, jedząc. – W końcu to też pewna forma leczenia.

– Kiedy patrzę na tego staruszka – stwierdził Luc, dyskretnie wskazując wyprostowanego mężczyznę – myślę, że za kilka lat właśnie tak będzie wyglądał Marqués.

Wszyscy nasi współbiesiadnicy byli od nas przynajmniej trzy razy starsi. Ale wśród tych beztroskich twarzy i rozbrzmiewającego od czasu do czasu śmiechu poczułem się nagle, jakbym znowu znalazł się w szkolnej stołówce, tylko że koledzy z klasy lekko się postarzelili.

– Sprawdzimy, jak wygląda morze w biały dzień? – ponagliła nas Sophie.

Wróciliśmy do pokoju po swetry i kurtki i wyszliśmy z budynku.

Kiedy doszliśmy do plaży, zrozumiałem wreszcie, dlaczego wczoraj towarzyszyło mi wrażenie, że kiedyś już tu byłem. Ta nadmorska osada nie była mi obca. Na końcu deptaka z porannej mgły wynurzała się latarnia morska – mała, porzucona latarnia, taka jak w moich wspomnieniach.

– Idziesz? – dobiegł mnie głos Luca.

– Słucham?

– Dalej, na plaży, jest otwarta kawiarenka. Sophie i ja marzymy o prawdziwej kawie, bo ta w hotelu to była lura.

– Idźcie, zaraz was dogonię, muszę tylko coś sprawdzić.

– Musisz coś sprawdzić na plaży? Jeżeli się boisz, że morze odeszło w siną dal, to daję ci słowo, dziś wieczorem znowu tu wróci.

– Mógłbyś coś dla mnie zrobić? Przestań mnie traktować jak idiotę!

– Zrobiłeś się strasznie drażliwy! A zatem twój unizony sługa dotrzyma towarzystwa pani twego serca, abyś mógł w spokoju przeliczyć muszelki. Czy pan każe powtórzyć coś Madame?

Nie słuchając już bredni Luca, podszedłem do Sophie, przeprosiłem, że na chwilę ją zostawię, i obiecałem szybko do nich dołączyć.

- Dokąd idziesz?
- Nasunęło mi się pewne wspomnienie. Za kwadrans będę już z wami.
- Co to za wspomnienie?
- Wydaje mi się, że byłem tu kiedyś z mamą. Spędziliśmy nad morzem tylko kilka dni, ale te dni miały ogromne znaczenie w moim życiu.
- I dopiero teraz sobie o tym przypomniałeś?
- To było czternaście lat temu. Nigdy więcej tu nie przyjeżdżałem.

Sophie odeszła. Kiedy ona i Luc zniknęli, skręciłem na nabrzeże.

Przerdzewiała tablica nadal wisiała na łańcuchu. Z całego „Wstęp wzbroniony” czytelne pozostały tylko „t” i „o”. Przeszedłem nad łańcuchem i otworzyłem metalowe drzwi, których przeżarty przez sól zamek praktycznie nie istniał. Potem wszedłem po schodach na balkonik. Stopnie jakby się spłaszczyły, wydawało mi się, że kiedyś były wyższe. Wspiąłem się po drabinie pod kopułę – szyby były całe, ale aż czarne od brudu. Wytarłem je pięściami i przysunąłem twarz do dwóch reflektorów niczym do lornetki zwróconej na moją przeszłość.

I wtedy poczułem coś pod stopą. Na podłodze znalazłem drewnianą skrzynkę pokrytą warstwą kurzu. Przykucnąłem i otworzyłem ją.

Wewnątrz leżał bardzo stary latawiec. Szkielet był nienaruszony, ale skrzydła orła ledwie się trzymały. Wziąłem ptaka na ręce i delikatnie muskałem palcami jego skrzydła, tak kruche i delikatne. Potem zajrzałem do skrzynki i zaparło mi dech w piersi. Zobaczyłem usypany z piasku zarys połówki serca. Obok leżała zwinięta w rulonik kartka. Rozwinąłem ją i przeczytałem:

Czekałam na Ciebie przez cztery lata, nie dotrzymałeś obietnicy, już tu nie przyjechałeś. Latawiec umarł, pochowałam go tu – kto wie, może kiedyś go odnajdziesz. A poniżej widniał podpis: Clea.

Czterdzieści metrów. Sznurek był nawinięty ze zdumiewającą starannością. Zszedłem na plażę, ułożyłem orła na piasku, połączyłem drewienka. Sprawdziłem węzeł, który trzymał całość, rozwinąłem pięć metrów linki i pobiegłem pod wiatr.

Skrzydła orła chwyciły wiatr, ruszył w lewo, skręcił w prawo i wzbił się w niebo. Próbowałem nakreślić nim „S” i ósemkę, ale podziurawiony papier nie reagował na moje manewry jak należy. Poluzowałem trochę i natychmiast się wzniósł. Jego cień ślizgał się po piasku, a mnie ten taniec upajał. W uszach brzmiał mi ten niekontrolowany śmiech, śmiech płynący z głębi dzieciństwa, jedyny w swoim rodzaju śmiech o brzmieniu wiolonczeli.

Co się stało z moją przyjaciółką z wakacji, z dziewczynką, której bez obawy powierzyłem wszystkie swoje tajemnice, ponieważ nie mogła mnie usłyszeć?

Przymknąłem oczy – biegliśmy, ile tchu w piersi, orzeł ciągnął nas za sobą, wytyczał kierunek. Nikt nie potrafił tak manewrować latawcami jak ty, więc spacerowicze często przystawali, podziwiając twoją zręczność. Ileż razy właśnie tu brałem cię za rękę? Co się z tobą stało? Gdzie teraz mieszkasz? Na której plaży spędzisz to lato?

– W co się bawisz?

Nie słyszałem, kiedy nadszedł Luc.

– Bawi się latawcem – odpowiedziała Sophie. – Mogę spróbować? – zapytała, wyciągając rękę po orła.

Zabrała mi go, zanim zdążyłem zareagować. Latawiec

zrobił piruet i zaczął pikować dziobem w dół. Uderzając o piasek, roztrzaskał się.

– Oj! Przepraszam – westchnęła Sophie. – Nie mam do tego smykałki.

Podbiegłem do miejsca, gdzie spadł latawiec. Obie listwy były złamane, zniszczone skrzydła przylgnęły do torsu. Był w opłakanym stanie. Przyklęknałem i wziąłem go do rąk.

– Nie rób takiej miny, wyglądasz, jakbyś się miał popłakać – powiedziała Sophie. – Przecież to tylko stary latawiec. Jeżeli chcesz, możemy zaraz kupić nowy.

Nie odezwałem się ani słowem. Może dlatego, że opowiadając jej o Cléi, dopuściłbym się zdrady. Dzieciństwo jest święte, a pierwszej miłości nic nie może nam odebrać. Ona zostaje, tkwi głęboko w nas. Jeśli tylko ożywi ją jakieś wspomnienie, wypływa na powierzchnię, choćby nawet z połamanymi skrzydłami. Zwinąłem linkę i złożyłem orła, a potem poprosiłem Luca i Sophie, żeby na mnie poczekali. Sam odniosłem go do latarni, jego latarni. Kiedy dotarłem na szczyt, włożyłem go do skrzynki i prosiłem, żeby mi wybaczył. Wiem, to głupie rozmawiać ze starym latawcem, ale tak to już jest. Zamknąłem skrzynkę i najzwyczajniej się rozplakałem – nie potrafiłem nad tym zapanować.

Kiedy wróciłem do Sophie, nie byłem w stanie się do niej odezwać.

– Masz czerwone oczy – wyszeptała, tuląc mnie. – To był wypadek, nie chciałam go zniszczyć...

– Wiem – powiedziałem. – To była pamiątka, spał sobie spokojnie na górze, nie powinienem go budzić.

– Nie wiem, o czym mówisz, ale widzę, że to dla ciebie bolesne. Jeżeli chcesz pogadać, chodźmy się przejść, dobrze nam zrobi, jeżeli spędzimy trochę czasu sam na sam. Odkąd

przyszliśmy na tę plażę, mam wrażenie, że cię tracę, wcale cię tu nie ma.

Pocałowałem Sophie i przeprosiłem ją. Szliśmy brzegiem morza, sami, obok siebie, dopóki nie przyłączył się do nas Luc.

Zobaczyliśmy go z daleka, krzyczał na całe gardło, żebyśmy na niego zaczekali.

Luc jest moim najbliższym przyjacielem, tego ranka potwierdził to po raz kolejny.

– Pamiętasz, jak kiedyś rozbiłeś sobie głowę, spadając z roweru? – powiedział, zbliżając się z rękami z tyłu. – Dobrze, niewdzięczniku, odświeżę ci pamięć. Dostałeś od mamy żółty rower. Wziąłem swój stary rower i zaczęliśmy szturmować to zbocze za cmentarzem. Kiedy mijaliśmy bramę, nie wiem, czy chciałeś się upewnić, że nie ściga nas żaden duch, ale odwróciłeś głowę i wjechałeś w paskudną dziurę. Potem wywinąłeś fantastycznego orła i wyłożyłeś się jak długi.

– No i co?

– Zamknij się, zaraz zrozumiesz. Przebiłeś koło i martwiłeś się tym bardziej niż pozdieranymi kolanami. Wciąż powtarzałeś, że matka cię zabije. Dostałeś ten rower dwa dni wcześniej i gdybyś przyprowadził go do domu w takim stanie, nie darowałyby ci. Musiała brać nadgodziny, żeby na niego zarobić. To była autentyczna katastrofa.

Przypomniałem sobie tamto popołudnie. Luc wyjął klucz z saszetki z narzędziami przyczepionej do siodełka i zamienił koła naszych rowerów. Części do siebie pasowały. Kiedy skończył, zapewnił, że moja mama niczego nie zauważy. Potem Luc poprosił ojca, żeby naprawił mi koło, i nazajutrz znów je zamieniliśmy. Mama faktycznie nie zauważyła, że zniszczyłem rower.

– W końcu sobie przypomniałeś! W porządku, ale

zapamiętaj sobie, że to już ostatni raz. Najwyższy czas, żebyś naprawdę dorósł.

Luc pokazał wreszcie, co ukrywał za plecami – podał mi nowiutki latawiec.

– Nic innego nie było na bazarze przy plaży, a i tak masz szczęście: facet powiedział, że to już ostatni, bo dawno takich nie sprzedają. To sowa, nie orzeł, ale nie będziesz chyba kaprysił, przecież ptak to ptak, a ten, w dodatku, lata nocą. Czy teraz jesteś już zadowolony?

Sophie złożyła latawiec na piasku, podała mi linkę i dała znak, żebym zaczynał. Czułem się trochę śmieszny, kiedy jednak Luc skrzyżował ręce i strzelił obcasami, zrozumiałem, że wystawia mnie na próbę, więc ruszyłem, a latawiec wzbił się pod niebo.

Ten latał doskonale. Z latawcami jest jak z jazdą na rowerze – jeśli się kiedyś umiało je puszczać, nigdy się tego nie zapomni, choćby minęło wiele lat.

Za każdym razem, kiedy sowa kreśliła idealne „S” i ósemkę, Sophie biła brawo, a ja za każdym razem czułem, że troszeczkę ją okłamuję.

Luc gwizdnął przez zęby i wskazał na nabrzeże. Nasza piętnastka starszuchów rozsiadła się na kamiennym murku i podziwiała powietrzne piruety sowy.

Wracaliśmy do hotelu z nimi, bo zbliżała się pora naszego wyjazdu. Kiedy Luc i Sophie weszli na górę, żeby się spakować, skorzystałem z okazji i zapłaciłem rachunek, dorzucając drobną kwotę za spustoszenia, jakie Luc poczynił rano w kuchni, gdy szykował śniadanie dla Sophie i reszty.

Właścicielka zainkasowała należność bez zmrużenia oka, zaraz potem zapytała szeptem, czy mógłbym zdobyć dla niej przepis na placki. Prosiła już o to Luca, ale bezskutecznie.

Obiecałem, że spróbuję mu wydrzeć tę tajemnicę i prześlę jej przepis pocztą.

Starszy pan, który siedział wyprostowany przy stole, kiedy jedliśmy śniadanie, ten, w którym Luc dostrzegł wcielenie Marquésa za parę lat, podszedł do mnie.

– Świetnie sobie radziłeś na plaży, chłopcze – powiedział.

Podziękowałem mu za komplement.

– Wiem, co mówię, bo przez całe życie sprzedawałem latawce. Kiedyś miałem stragan przy plaży. Co ci się stało, dlaczego patrzysz na mnie, jakbyś zobaczył ducha?

– A gdybym panu powiedział, że dawno temu podarował mi pan latawiec, uwierzyłby pan?

– Widzę, że twoja dziewczyna potrzebuje pomocy – powiedział starszy pan, wskazując schody.

Sophie schodziła z piętra, niosąc i swoją, i moją torbę. Wziąłem je od niej i poszedłem wrzucić do bagażnika. Luc usiadł za kierownicą, Sophie obok niego.

– Jedziemy? – zapytała, patrząc na mnie.

– Poczekajcie jeszcze minutkę, zaraz wracam. Pobiegiłem do hotelu. Starszy pan zdążył już usiąść w swoim fotelu. Oglądał telewizję.

– Pamięta pan może taką niemą dziewczynkę?

Klakson samochodu ponaglił mnie trzykrotnie.

– Wydaje mi się, że twoim przyjaciółom bardzo się spieszy. Odwiedźcie nas kiedyś, powitamy was z radością, zwłaszcza twojego kolegę, bo te placki, które podał nam rano, były pyszne.

Klakson wył bez przerwy, więc choć z ciężkim sercem, wyszedłem, już po raz drugi obiecując sobie, że kiedyś tu wrócę.



Sophie nuciła melodyjki, a Luc na gorąco układał do nich teksty i śpiewał jak szalony. Raz po raz wytykał mi, że nie chcę się do nich przyłączyć, a Sophie prosiła, żeby zostawił mnie w spokoju. Po czterech godzinach jazdy Luca zaniepokoił nagły skok wskaźnika paliwa – strzałka gwałtownie przesunęła się w lewo.

– Jedno z dwojga – oznajmił z powagą mój przyjaciel – albo ten przeklęty wskaźnik nawalił, albo za chwilę będziemy musieli pchać samochód.

Po kolejnych dwudziestu kilometrach silnik zaczął się krztusić, a potem zgasł kilka metrów od stacji paliw. Wsiadając z wozu, Luc poklepał go po masce, dziękując, że zechciał doturlać się tak blisko swojej jadłodajni.

Zająłem się napełnianiem baku, a tymczasem Luc poszedł kupić wodę i herbatniki. Sophie wysiadła i objęła mnie w pasie.

– Całkiem seksownie wyglądasz przy tej pompie – rzuciła półgłosem.

Cmoknęła mnie w szyję i pobiegła za Lukiem do sklepu. Zanim weszła, odwróciła się i zapytała:

– Masz ochotę na kawę?

Nie dając mi czasu na odpowiedź, uśmiechnęła się i dodała:

– Kiedy wreszcie zdecydujesz się powiedzieć, co jest nie tak, będę w pobliżu, jak zawsze, chociaż czasem chyba tego nie dostrzegasz.

Po kilku kilometrach jazdy zaczęło lać. Wycieraczki z trudem usuwały wodę, a ich pisk na przedniej szybie przyprawiał o ból zębów. Do miasta dotarliśmy już po zapadnięciu zmroku. Sophie spała tak głęboko, że Luc nie miał odwagi jej obudzić.

– Co robimy? – szepnął.

– Nie wiem; zaparkuj, a potem poczekamy, aż się obudzi.

– Zabierzcie mnie do domu, zamiast pleść te bzdury – wyszeptwała, nie otwierając oczu.

Ale Luc nie zamierzał jej słuchać – pojechał do naszego mieszkania. Nie ma mowy, oznajmił, żebyśmy popadli teraz w smętki niedzielного wieczoru. W dodatku przy takiej pogodzie zawsze trzeba wzmacniać czujność. Wszyscy troje stawiamy czoło paskudztwom końca weekendu. Obiecał, że przygotuje nam makaron, o jakim się nam nawet nie śniło.

Sophie wyprostowała się i przetarła oczy.

– Niech będzie ten makaron, ale potem macie mnie odwiedzić.

Zjedliśmy, siedząc po turecku na dywanie. Luc zasnął w moim łóżku, a Sophie i ja resztę nocy spędziliśmy u niej.

Kiedy się obudziłem, już jej nie było. W kuchni, na stoliku, gdzie ustawiła szklankę i talerz ze sztućcami do śniadania, zostawiła mi kartkę.

Dziękuję, że zabrałeś mnie nad morze. Dziękuję za te dwa niespodziewane dni. Chciałabym umieć Cię okłamać, powiedzieć, że jestem szczęśliwa, chciałabym, żebyś mi uwierzył, ale nie potrafię. Kiedy jesteś ze mną, najbardziej mnie boli, że jesteś taki samotny. Nie mam do Ciebie żalu, ale niczym nie zasłużyłam sobie na to, żeby stać za zamkniętymi drzwiami. Byłeś bardziej pociągający, kiedy byliśmy przyjaciółmi. Nie chciałabym stracić najlepszego przyjaciela, za bardzo potrzebuję jego serdeczności i czułości, no i szczerości. Muszę odzyskać Cię takiego jak, kiedyś. Później, w kafeterii, będziesz mi opowiadał, co przyniósł dzień, a ja opowiem Ci o sobie i znów staniemy się sobie bliscy, tak jak wtedy, kiedy z tego zrezygnowaliśmy. Za jakiś czas uda się nam, zobaczysz. Wychodząc, zostaw klucz na stole. Całuję, Sophie

Złożyłem kartkę, wsunąłem ją do kieszeni spodni.

Zabrałem z komody kilka swoich rzeczy, zostawiłem tylko jedną z koszul, bo Sophie przypięła do niej karteczkę: „Tej nie bierz, teraz jest już moja”.

Zostawiłem klucz od mieszkania tam, gdzie prosiła, i wyszedłem, święcie przekonany, że jestem skończonym durniem, pewnie największym idiotą na świecie.



Wieczorem próbowałem dodzwonić się do matki, bardzo chciałem z nią porozmawiać, zwierzyć się jej, usłyszeć głos. Ale nie odbierała. No cóż, przecież mówiła mi, że wybiera się w podróż. Zapomniałem, kiedy wraca.

Minęły trzy tygodnie. Kiedy spotkaliśmy się w szpitalu, oboje czuliśmy się skrępowani, chociaż zachowywaliśmy się jakby nigdy nic. Głupi wybuch śmiechu pomógł odrodzić się naszej przyjaźni. Siedzieliśmy w szpitalnym parku, korzystając z chwili spokoju, i Sophie opowiadała mi o przykrej przygodzie, jaka zdarzyła się Lucowi. Na izbę przyjęć trafiło równocześnie dwóch rannych. Luc jechał na blok operacyjny, gdzie jego pacjent miał trafić jako pierwszy. Na zakręcie w korytarzu zbyt gwałtownie zjechał w bok, żeby ominąć oddziałową, i pacjent zsunął się z noszy. Luc rzucił się na ziemię, żeby zamortyzować upadek, akcja się udała, ale nosze przejechały pechowemu sanitariuszowi po twarzy. Zarobił trzy szwy na czole.

– Twój najlepszy przyjaciel był bardzo dzielny. Znacznie bardziej niż ty, kiedy w sali sekcyjnej rozciąłeś sobie skalpelem palec – dorzuciła.

Zupełnie zapomniałem o tym epizodzie z pierwszego roku studiów.

Wreszcie zrozumiałem, skąd ta rana, którą zauważyłem już wczoraj. Wmawiał mi, że to drzwi wahadłowe uderzyły go

w twarz. Sophie kazała mi obiecać, że nie powiem mu, skąd znam prawdę. W zasadzie, ponieważ to ona zakładała mu szwy, obowiązywała ją tajemnica lekarska.

Obiecałem, że jej nie wydam. Sophie wstała – musiała wracać do pracy, ale zawołałem ją, żeby podzielić się inną uwagą na temat Luca.

– Wiesz, że nie jesteś mu obojętna?

– Wiem – powiedziała, odchodząc.

Słońce łagodnie grzało, a mnie została jeszcze chwila przerwy, więc postanowiłem posiedzieć w ogrodzie.

Do parku przyszła dziewczynka, która lubiła grać w klasy. Za szybą, w korytarzu, jej rodzice rozmawiali z ordynatorem hematologii. Dziewczynka podeszła do mnie, a ze sposobu, w jaki się poruszała – krok do przodu, krok w bok – odgadłem, że usiłuje zwrócić na siebie moją uwagę. Koniecznie chciała coś powiedzieć.

– Wyzdrowiałam – oznajmiła z dumą.

Ile razy widziałem tę dziewczynkę bawiącą się w szpitalnym ogrodzie? Nigdy nawet nie zadałem sobie pytania, na jaką cierpi chorobę.

– Mogę już wrócić do domu!

– Bardzo się cieszę, chociaż muszę się przyznać, że będzie mi ciebie troszeczkę brakowało. Przyzwyczailem się, że tu jesteś i że się bawisz.

– A ty? Też będziesz mógł niedługo wrócić do domu?

I zaraz potem dziewczynka wybuchnęła śmiechem, śmiechem, który brzmiał jak wiolonczela.

Są takie drobne sprawy, które pozostawiamy za sobą, okruchy życia zakotwiczone w pyle czasu. Możemy się starać je ignorować, ale te drobiazgi, jeśli je ze sobą połączyć, tworzą łańcuch, którym jesteśmy przykuci do przeszłości.

Luc przygotował kolację. Czekał na mnie, pólleżąc w fotelu. Po powrocie do domu pochyliłem się nad jego raną.

– Nic mi nie jest, przestań się bawić w doktora, wiem, że o wszystkim już wiesz – powiedział, odpychając moją rękę. – Dobra, masz pięć minut, możesz się ze mnie pośmiać. Ale potem pogadamy o czym innym.

– Pomógłbyś mi wynająć samochód, którym wyjechaliśmy na weekend?

– A dokąd się wybierasz?

– Chciałbym wrócić nad morze.

– Jesteś głodny?

– Tak.

– Świetnie się składa, bo jeśli chcesz, żebym ci coś przygotował, to powiesz mi, po co chcesz tam jechać. A jeśli wolisz bawić się w sekrety, to na stacji benzynowej, tu obok, przy odrobinie szczęścia mają jeszcze jakieś kanapki.

– Ale co miałbym ci powiedzieć?

– Co się z tobą stało na tej plaży? Brakuje mi mojego starego przyjaciela. Zawsze byłeś trochę inny, uciekałeś gdzieś myślami. I zawsze było mi z tego powodu przykro, ale wytrzymałem to. Teraz naprawdę nie mogę, to się stało nieznośne. Miałeś najwspanialszą dziewczynę, jaką znam, a okazałeś się tak głupi, że po tym niezapomnianym weekendzie ona też się oddaliła.

– Pamiętasz te wakacje, kiedy pojechałem z mamą nad morze?

– Tak.

– A pamiętasz Clée?

– Pamiętam tylko, że na początku roku szkolnego powiedziałaś mi, iż Élisabeth nic cię już nie obchodzi, że spotkałeś bratnią duszę, że to ona będzie kiedyś kobietą twojego

życia. Ale przecież byliśmy wtedy dziećmi, pamiętasz? Myślisz, że czekała na ciebie nad tym morzem? Zejdź na ziemię, stary. Postąpiłeś z Sophie jak kompletny idiota.

- Ale tobie to chyba na rękę, co?
- Czy ta jadowita uwaga ma coś sugerować?
- Prosiłem cię tylko o pomoc w wynajęciu samochodu.
- W piątek wieczorem będzie stał pod twoim domem, kluczyki zostawię ci na biurku. W lodówce masz zapiekankę, trzeba ją tylko odgrzać. Dobranoc, idę się przejść.

Usłyszałem, jak zamykają się za nim drzwi. Podszedłem do okna, chciałem go zawołać i przeprosić. Na próżno wołałem – nawet się nie odwrócił. Po chwili zniknął za zakrętem.



Postarałem się o piątkowy dyżur, żeby w sobotę od rana mieć już wolne. Po powrocie do domu znalazłem kluczyki od breka – Luc dotrzymał słowa.

Wskoczyłem pod prysznic, przebrałem się i przed południem wyruszyłem w drogę. Zatrzymałem się tylko, żeby uzupełnić bak. Wskaźnik paliwa rzeczywiście nawalił, więc musiałem szacować zużycie benzyny, żeby wiedzieć, kiedy znowu zatankować. Przynajmniej miałem czym zająć myśli. Od wyjazdu doznawałem niemiłego wrażenia, że za moimi plecami siedzą Luc i Sophie.

Przed hotelem pełnym starców zaparkowałem wczesnym popołudniem. Właścicielka nie kryła zaskoczenia moją wizytą. Z przykrością poinformowała mnie, że pokój, w którym mieszkaliśmy, jest zajęty, innego wolnego w tej chwili nie ma. Nie zamierzałem jednak nocować. Wyjaśniłem jej, że chcę tylko pomówić z jednym z jej pensjonariuszy, z tym starszym panem, który tak prosto się trzyma. Muszę go o coś zapytać.

– I przejechał pan taki szmat drogi, żeby zadać mu jakieś pytanie? Nie wie pan, że mamy telefon? Pan Morton stał przez całe życie przy swoim straganie, dlatego chodzi teraz taki wyprostowany. Znajdzie go pan w salonie, spędza tam całe popołudnia, prawie nigdy nie wychodzi.

Podziękowałem właścicielce, podszedłem do pana Mortona i usiadłem przed nim.

– Witaj, młody człowieku, czym mogę służyć?

– Nie pamięta mnie pan? Byłem tu jakiś czas temu w towarzystwie młodej kobiety i mojego przyjaciela.

– Nie przypominam sobie. A kiedy to było?

– Trzy tygodnie temu. Luc upiekł dla wszystkich placki na śniadanie, zajadał się pan nimi.

– Bardzo lubię placki, zresztą lubię wszystko, co słodkie. Ale kim pan jest?

– Niech pan sobie przypomni... puszczałem latawce na plaży, a pan powiedział, że nieźle sobie z tym radzę.

– A, latawce... Kiedyś je sprzedawałem. Miałem stragan przy plaży. Handlowałem też innymi rzeczami: spławikami, wędkami... Nie ma tu żadnych ryb, ale sprzedawałem sporo wędek. No i krem do opalania. Napatrzyłem się w życiu na plażowiczów, na najróżniejszych ludzi... Witaj, młody człowieku, czym mogę służyć?

– Kiedy byłem chłopcem, przyjechałem tu na dziesięć dni. Bawiła się ze mną pewna dziewczynka, wiem, że przyjeżdżała tu każdego lata. To nie była zwykła mała dziewczynka, była głuchoniema.

– Sprzedawałem jeszcze parasolki i pocztówki, ale ludzie tak je kradli, że zrezygnowałem z tego. Zauważyłem braki dopiero pod koniec tygodnia, bo zawsze zostawały mi znaczki. To dzieciaki mi je podkładały... Witaj, młody człowieku, czym

mogę służyć?

Ogarnęło mnie zwątpienie. Właściwie nie wierzyłem już, że czegokolwiek się dowiem, kiedy podeszła do nas starsza pani.

– Dziś nic pan z niego nie wyciągnie, ma kiepski dzień. Wczoraj był przytomniejszy, ale tak to już jest, odchodzi i wraca, ma coś z głową. Wiem, o jaką dziewczynkę panu chodzi, pamięć mi jeszcze nie szwankuje. Mówi pan o Cléi, dobrze ją znałam, tylko muszę panu powiedzieć, że wcale nie była głucha.

Widząc zdumienie na mojej twarzy, podjęła:

– Chętnie opowiem panu całą tę historię, ale jestem głodna, a z pustym brzuchem kiepsko mi się rozmawia. Jeśli zabierze mnie pan do cukierni na herbatę, możemy pogadać. Mam iść po płaszcz?

Po chwili podałem starszej pani płaszcz i ruszyliśmy w stronę cukierni. Moja towarzyszka usiadła przy stoliku na zewnątrz i poprosiła, żebym poczęstował ją papierosem. Nie paliłem. Skrzyżowała ręce na piersi, wymownie patrząc na sklep tytoniowy naprzeciwko.

– Wolę jasne – oznajmiła.

Wróciłem z paczką papierosów i zapalkami.

– Pod koniec roku będę już lekarzem – powiedziałem, podając jej papierosy. – Gdyby moi wykładowcy zobaczyli, że zaopatruję panią w to świństwo, zmyliby mi głowę.

– Gdyby pana wykładowcy marnowali czas na obserwowanie, co robią mieszkańcy tej zapadłej dziury, szczerze doradzałabym panu zmianę uczelni – odparła, zapalając zapalkę. – Biorąc pod uwagę czas, jaki mamy jeszcze przed sobą, zastanawiam się, dlaczego ludzie starają się ze wszystkich sił zatruć nam resztkę życia. Nie pić, nie palić, unikać tłuszczu,

unikać cukru, unikać soli... Ci wszyscy mędracy, którzy myślą za nas, tak bardzo chcą nam przedłużyć życie o tych parę dni, że odbierają nam całą jego radość i chęć, żeby tu zostać. Kiedy byłam w pana wieku, czułam się taka wolna! Można było skracać sobie życie, ale i naprawdę żyć. Dlatego skorzystam z pana miłego towarzystwa, żeby zagrać tej medycynie na nosie, i jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, poproszę o babkę z rumem.

Zamówiłem babkę z rumem, eklerkę kawową i dwie filiżanki gorącej czekolady.

– Ach, mała Cléa... jak mogłabym jej nie pamiętać!
W tamtych czasach prowadziłam księgarnię. Widzi pan, jak kończą handlowcy... Człowiek przez całe lata służy innym, a kiedy przechodzi na emeryturę, nikt go nawet nie odwiedzi. Rozdawałam na prawo i lewo „dzień dobry”, „proszę”, „dziękuję”, „do widzenia”, a od dwóch lat nikt do mnie nie zajrzał, bo nie prowadzę już sklepu. I to w takiej małej dziurze... Sądzi pan, że im się wydaje, iż wyniosłam się na Księżyc? A mała Cléa była naprawdę miła. O, napatrzyłam się na źle wychowane dzieciaki! Ale muszę powiedzieć, że dzieci nigdy nie są tak źle wychowane, jak ich rodzice. Jej mogłabym darować, że nie powiedziała „dziękuję”, bo przecież miała doskonałe usprawiedliwienie, ale niech pan sobie wyobrazi, że ona mi to pisała. Często przychodziła do księgarni, oglądała książki, wybierała jakąś i siadała w kąci, żeby poczytać. Mąż bardzo lubił tę małą, nawet odkładał dla niej ciekawe książki. Wychodząc, wyciągała z kieszeni karteczkę, na której było napisane: „Dziękuję pani, dziękuję panu”. Aż trudno uwierzyć, że tak naprawdę nie była ani głucha, ani niema. A tak, Cléa cierpiała na pewien typ autyzmu, ta blokada tkwiła w jej głowie. Wszystko słyszała, tylko słowa nie chciały się wydobywać.

I wie pan, co ją wyrwało z tego więzienia? Proszę sobie wyobrazić, że muzyka! To piękna i zarazem smutna historia. Pewnie się pan zastanawia, czy nie zmyślam, żeby naciągnąć pana na paczkę papierosów i babkę rumową? Proszę się nie obawiać, tak nisko nie upadłam, z pewnością jeszcze nie. Może za parę lat, ale gdyby miało się tak stać, wolałabym, żeby Bóg zabrał mnie przedtem z tego świata. Nie chcę żyć tak, jak ten handlarz z bazaru przy plaży. Och, to nie jego wina, na jego miejscu pewnie też bym oszalała. Jeżeli człowiek tyra przez całe życie, żeby wychować dzieci, a potem żadne z nich nawet do niego nie zajrzy, nie znajdzie chwili, żeby zadzwonić, można popaść w obłęd i wymazać z pamięci wszystkie wspomnienia. No, ale pana nie interesują losy tego sprzedawcy, tylko małej Cléi. Przed chwilą mówiłam o niewdzięczności klientów, ludzi, którym służyło się całe życie, a którzy potem udają, że nas nie poznają na targu. To było uogólnienie, a nie powinno się uogólniać. Kiedy składaliśmy do grobu mojego męża, ona tu była. I, zapewniam pana, przyjechała sama. Nie poznałam jej, ale na swoje usprawiedliwienie powiem, że bardzo urosła, tak samo jak pan. Bo wiem, kim pan jest, pamiętam tego chłopca z latawcem! A pamiętam dlatego, że co roku, kiedy Cléa tu przyjeżdżała, przychodziła do mnie i podsuwała mi karteczkę z pytaniem, czy wrócił chłopiec z latawcem. To pan, prawda? W dniu pogrzebu mojego męża trzymała się trochę z tyłu. Zachowywała się delikatnie i dyskretnie. Zastanawiałam się, kto to może być, więc proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy szepnęła mi do ucha: „To ja, Cléa, pamięta mnie pani, pani Pouchard? Tak mi przykro, bardzo lubiłam pani męża, zawsze był dla mnie miły”. Łzy kręciły mi się w oczach, ale kiedy to usłyszałam, rozplakałam się na dobre. O, nawet teraz, na samo wspomnienie, ściska mnie w gardle.

Pani Pouchard otarła oczy wierzchem dłoni. Podałem jej chusteczkę.

– Uściskała mnie, a potem odjechała. Trzysta kilometrów w jedną stronę, trzysta w drugą, a wszystko tylko po to, żeby przyjść na pogrzeb mojego męża. Cléa jest muzykiem, koncertuje. Och, opowiadam to tak chaotycznie, przepraszam. Chwileczkę, wróćmy do tego, na czym skończyłam. Otóż mała Cléa poprosiła rodziców o coś niezwykłego: chciała grać na wiolonczeli. Proszę sobie wyobrazić minę jej matki! Rozumie pan, jakie to było dla niej bolesne? Pańskie głuche dziecko chce zostać muzykiem, zupełnie jakby beznogi chciał być linoskoczkiem. W księgarni szukała wyłącznie książek o muzyce i zauważyłam, kiedy rodzice po nią przychodzili, że byli tym coraz bardziej poruszeni. W końcu to ojciec Cléi zdobył się, żeby powiedzieć żonie: „Skoro tego właśnie chce, znajdziemy sposób, żeby tak się stało”. Zapisali ją do specjalnej szkoły, gdzie jeden z nauczycieli uczył dzieci słuchać wibracji muzyki, nakładając uczniom słuchawki na szyję. Och, postęp chyba nie zna granic. Właściwie jestem temu często przeciwna, ale muszę przyznać, że akurat to jest pożyteczne. Nauczyciel Cléi zaczął ją uczyć nut, czytania partytury i oto stał się cud. Cléa, która nigdy nie powtórzyła poprawnie prostego słowa, zupełnie normalnie recytowała *do, re, mi, fa, sol, la, si, do*. Gama płynęła jej z ust jak woda z kranu. I muszę panu powiedzieć, że wtedy to jej rodzicom odebrało mowę. Cléa uczyła się muzyki, zaczynała śpiewać, a słowa płynęły za nutami. To wiolonczela wyrwała ją z więzienia, ucieczka z wiolonczelą to w końcu nie było co!

Pani Pouchard zamieszała gorącą czekoladę, uniosła filiżankę do ust i wypła odrobinę. Oboje milczeliśmy, zatopieni we wspomnieniach.

– Dostała się do Konserwatorium Narodowego, tam studiuje. Na pańskim miejscu, żeby ją odnaleźć, zaczęłabym właśnie od uczelni.

Zrobiłem zapas ciasteczek i czekoladek dla pani Pouchard, potem przeszliśmy przez ulicę, żeby kupić karton papierosów, i odprowadziłem ją do hotelu. Obiecałem, że latem ją odwiedzę i zabiorę na spacer po plaży. Poprosiła mnie jeszcze, żebym jechał ostrożnie i zapiął pasy. W tym wieku, dodała, warto jednak trochę na siebie uważać.

Wyruszyłem o zmierzchu i jechałem do późnej nocy. Zdążyłem w samą porę, żeby oddać samochód i iść na dyżur.



Po powrocie do miasta zamieniłem biały fartuch na strój detektywa. Konserwatorium znajdowało się dość daleko od szpitala, mogłem tam jednak dojechać metrem – po dwóch przesiadkach byłem już na placu Opery, a konserwatorium wznosiło się tuż za nim. Problem stanowiły godziny nauki i pracy. Zbliżały się też egzaminy semestralne, więc ucząc się i pracując, miałem czas tylko późnym wieczorem. Dopiero po dziesięciu dniach mogłem tam dotrzeć przed zamknięciem, a właściwie kiedy dotarłem, właśnie zamykano, choć od stacji metra pędziłem jak szalony. Dozorca poradził mi, żebym przyszedł jutro, ale błagałem, żeby pozwolił mi wejść, bo muszę dostać się do sekretariatu.

– O tej porze nikogo tam już nie ma, więc jeśli chce pan złożyć podanie o przyjęcie na studia, musi pan przyjść przed siedemnastą.

Przyznałem się, że nie to mnie sprowadza. Studiuje medycynę, a moja obecność w tym miejscu wynika z nadziei, że odnajdę pewną dziewczynę, dla której muzyka jest niezwykle

ważna. Konserwatorium to mój jedyny trop, jednak musi się znaleźć ktoś, kto zechce udzielić mi informacji.

– Na którym roku medycyny jest pan teraz? – zapytał dozorca.

– Zostało mi kilka miesięcy do stażu.

– Na kilka miesięcy przed stażem ma się chyba wystarczające kwalifikacje, żeby rzucić okiem na chore gardło? Od dwóch dni pali mnie, kiedy przełykam, a nie mam czasu ani pieniędzy, żeby iść do lekarza.

Chętnie zgodziłem się go zbadać. Wprowadził mnie do budynku, a konsultacja odbyła się w jego pokoiku. Wystarczyła minuta, żeby stwierdzić anginę. Poprosiłem, żeby wpadł nazajutrz na izbę przyjęć, po receptę. Będzie mógł też od razu pobrać antybiotyki ze szpitalnej apteki. W zamian za tę przysługę dozorca zapytał mnie o nazwisko poszukiwanej dziewczyny.

– Cléa – powiedziałem.

– Cléa, i co dalej?

– Wiem tylko, jak ma na imię.

– Mam nadzieję, że to żart.

Z mojej twarzy wyczytał, że niestety nie jest to głupi dowcip.

– Proszę posłuchać, doktorze. Bardzo chciałbym panu pomóc, ale musi pan zrozumieć, że ta instytucja przyjmuje rocznie dwustu studentów, z których część kształci się tylko przez kilka miesięcy, inni kontynuują naukę przez kilka lat, a część trafia do powiązanych z uczelnią orkiestr i zespołów muzycznych. W ciągu ostatnich pięciu lat do naszych rejestrów trafiło niemal tysiąc osób, a listy układane są alfabetycznie według nazwisk. Odnaleźć tu pańską... jak jej na imię?

– Cléa.

– A więc odnaleźć tu pańską Cléę to mrówcza praca. Cóż, bardzo mi przykro, ale Cléa bez nazwiska... przykro mi, nie jestem w stanie udzielić panu informacji.

Odszedłem równie rozczarowany, jak byłem zachwycony kilka minut wcześniej – kiedy dozorca zgodził się mnie wpuścić.

Cléa bez nazwiska. Oto, kim jesteś w moim życiu – dziewczynką, z którą bawiłem się jako chłopiec, a która dziś jest kobietą, wspomnieniem przyjaźni, marzeniem, którego los nie ziścił. Idąc korytarzami metra, widziałem, jak biegniesz przede mną po deptaku, ciągnąc latawiec, który krąży w górze; Cléa bez nazwiska, pisarka doskonałych „S” i ósemek na niebie. Dziewczynka, której śmiech brzmiał jak wiolonczela, której cień wezwał mnie na pomoc, nie zdradzając jej sekretu; Cléa bez nazwiska, która napisała do mnie: *Czekałam na ciebie przez cztery lata, nie dotrzymałeś obietnicy, już tu nie przyjechałeś.*

Kiedy wróciłem do domu, Luc wciąż był na mnie obrażony. Zapytał, dlaczego jestem taki blady. Opowiedziałem mu o wizycie w konserwatorium i o tym, jak zrobiłem z siebie głupca.

– Jeżeli z tym nie skończysz, oblejesz egzaminy. Myślisz już tylko o niej. Odbija ci, uganiaś się za zjawą, stary.

Ofuknąłem go i powiedziałem, że przesadza.

– Trochę tu posprzątałem, kiedy marnowałeś czas. Wiesz, ile kartek znalazłem w koszu na śmieci? Dziesiątki, jednak to nie były ani notatki z zajęć, ani wzory chemiczne, ale rysunki. Twarz, zawsze ta sama. Masz niezłą kreskę, ale powinieneś wykorzystać ten talent do robienia szkiców z anatomii.

A przyszło ci chociaż do głowy, żeby wspomnieć dozorczy, że ta twoja Cléa jest w klasie wiolonczeli?

– Nie, nie pomyślałem o tym.

– W dodatku nieprzytomny! – warknął Luc, opadając na

fotel.

– Skąd wiesz, że Cléa gra na wiolonczeli, przecież ci tego nie mówiłem?

– Od dziesięciu dni budzi mnie Rostropowicz, jem kolację z Rostropowiczem, zasypiam, słuchając Rostropowicza. Nie rozmawiamy ze sobą, bo ty gadasz tylko z wiolonczelą, i jeszcze pytasz, jak na to wpadłem! Ale powiedz, skąd wiesz, że nawet jeśli odnajdziesz tę Cléę, ona cię pozna?

– Jeśli mnie nie pozna, poddam się.

Luc patrzył na mnie przez chwilę i nagle walnął pięścią w blat biurka.

– Przysięgnij mi! Przysięgnij na moją głowę, co ja mówię, przysięgnij na naszą przyjaźń, że jeżeli cię nie pozna, kiedy się spotkacie, raz na zawsze dasz sobie z nią spokój i znowu będziesz taki, jakim zawsze cię znałem.

Pokiwałem głową.

– Jutro nie pracuję, ale wpadnę do szpitala po antybiotyki i pójdę zanieść je od ciebie temu dozorczy z konserwatorium, a przy okazji spróbuję dowiedzieć się trochę więcej o twojej Cléi – obiecał Luc.

Podziękowałem mu i zaproponowałem, żebyśmy wyskoczyli na kolację. Nasze finanse były skromne, ale w restauracji, nawet byle jakiej, nie słuchalibyśmy wiolonczeli.

Wylądowaliśmy w pobliskim barze. Wróciliśmy trochę podpici i kiedy Luc siadł na ławce, bo kręciło mu się w głowie, przyznał mi się, że jest w kłopotcie. Strzelił gafę, powiedział, i zaraz dodał, że zrobił to niechcący.

– Jaką gafę?

– Przedwczoraj jadłem obiad w szpitalnej kawiarni, spotkałem tam Sophie i przysiadłem się do jej stolika.

– I co?

– Zapytała, co u ciebie słycać.
– Co powiedziałeś?
– Że jest fatalnie. A ponieważ się zaniepokoiła, próbowałem ją uspokoić. I chyba wymknęło mi się coś o twoich obecnych zmartwieniach.

– Mam nadzieję, że nie mówiłeś nic o Cléi?

– Nie wymieniłem jej imienia, ale bardzo szybko zorientowałem się, że powiedziałem zbyt dużo. Chyba wspomniałem, że wbiłeś sobie do głowy, iż musisz odnaleźć swoją bratnią duszę. Natychmiast dodałem, ale już ze śmiechem, że kiedy ją poznałeś, miałeś dwanaście lat.

– Jak na to zareagowała?

– Jak to Sophie. Powinieneś ją znać lepiej niż ja.

Powiedziała, że ma nadzieję, iż będziesz szczęśliwy, że na to zasługujesz, że jesteś wspaniałym facetem. Przepraszam, nie powinienem. Ale nie myśl sobie, że zrobiłem to, bo miałem w tym jakiś interes. Nie jestem aż tak przebiegły. Po prostu byłem na ciebie wściekły i nie zachowałem wystarczającej ostrożności.

– A dlaczego byłeś na mnie wściekły?

– Bo Sophie mówiła to wszystko naprawdę szczerze.

Zarzuciłem sobie rękę Luca na ramię i pomogłem mu wejść po schodach. W domu ułożyłem go w łóżku, bo był pijany jak bela, a sam przespałem się na jego materacu pod oknem.



Luc dotrzymał słowa. Nazajutrz po tym pijaństwie, mimo potwornego kaca, przyszedł do mnie na dyżur, wziął z apteki antybiotyk i powędrował do konserwatorium. Łatwość, z jaką Luc zaskarbia sobie sympatię ludzi, od których chce coś uzyskać, do dziś jest dla mnie tajemnicą, ale to fakt, że nikt nie

potrafi się oprzeć jego czarom.

Luc dostarczył lekarstwa dozorca, wypytał go o pracę, skłonił nawet do opowiedzenia paru rodzinnych historyjek i przygód i w niespełna godzinę załatwił to, na co mnie ten sam dozorca nie pozwolił – mógł grzebać w listach studentów, jak długo chciał. Dozorca posadził go przy stole i Luc podjął poszukiwania jak fachowy śledczy.

Zaczął od list przyjęć z dwóch lat, zakładając, że najprawdopodobniej wtedy Cléa rozpoczęła studia. Czytał stronę po stronie, pomagając sobie linijką, którą przesuwał po papierze, żeby nie przeoczyć żadnego imienia. Wczesnym popołudniem zatrzymał linijkę pod nazwiskiem Cléa Norman. Była studentką pierwszego roku na kierunku muzyki klasycznej, w klasie wiolonczeli.

Dozorca pozwolił mu przejrzeć plany zajęć, a Luc obiecał wpaść znowu z zapasem leków, gdyby w ciągu kilku dni nie ustąpił.



Zaczynał się wieczór. Postanowiłem wykorzystać chwilę spokoju na izbie przyjęć i wpaść do kafeterii na wprost szpitala, żeby coś przekąsić. To tam spotkałem Luca. Usiadł przy moim stoliku, sięgnął po menu, zamówił przystawkę, danie główne i deser, nawet nie mówiąc mi „cześć”.

- Ty stawiasz – oznajmił, oddając kartę kelnerce.
- A z jakiej okazji? – zapytałem.
- Ponieważ drugiego takiego przyjaciela jak ja nie znajdziesz. Powinieneś o tym wiedzieć.
- Ustaliłeś coś?
- Gdybym ci powiedział, że mam dwa bilety na sobotni mecz, to pewnie wcale by cię to nie poruszyło. Dobrze się

składa, bo w sobotę ta twoja Cléa gra w teatrze merostwa. Dvorak, koncert na wiolonczelę i *Ósma Symfonia*. Udało mi się zdobyć bilet w trzecim rzędzie, będziesz mógł popatrzeć na nią z bliska. Wybacz, że nie będę ci towarzyszył, ale nasłuchałem się już wiolonczeli i uważam, że wyczerpałem limit na najbliższych sto lat.



Stanąłem przed szafą, zastanawiając się, jak się ubrać na ten wieczór. Sprawa okazała się prosta – wystarczyło otworzyć drzwi i ogarnąć spojrzeniem moje rzeczy. Nie mogłem przecież iść na koncert w zielonych spodniach i białej bluzie.



Sprzedawczyni doradziła mi niebieską koszulę i ciemną marynarkę, pasującą do flanelowych spodni.

Teatr merostwa okazał się małą salą, w której stało w półkolu sto krzeseł. Scena miała najwyżej dwadzieścia metrów długości. Tyluż muzyków grało w występującym tego wieczoru zespole. Dyrygent powitał publiczność, rozległy się oklaski, muzycy weszli z prawej strony sceny. Serce biło mi coraz mocniej, aż poczułem jego dudnienie w skroniach. Nie minęła minuta, a wszyscy zajęli miejsca – nie zdążyłem w tak krótkim czasie odszukać tej, dla której przyszedłem.

Sala pogrążyła się w ciemnościach, dyrygent uniósł batutę i rozbrzmiały pierwsze dźwięki muzyki. W drugim rzędzie siedziało osiem kobiet, ale moją uwagę przykuła tylko jedna twarz.

Byłaś taka, jak sobie wyobrażałem, bardziej kobieca i jeszcze piękniejsza. Włosy opadały ci na ramiona i chyba przeszkadzały, kiedy pociągałaś smyczkiem po strunach. Nie

potrafiłem wyodrębnić dźwięków wiolonczeli z chóru instrumentów. Potem nadeszła ta chwila – grałaś solo, ledwie kilka dźwięków, parę nut, które naiwnie chwyciłem jako przeznaczone wyłącznie dla mnie. Minęła godzina, a ja nie oderwałem od ciebie oczu. A kiedy cała sala wstała, żeby nagrodzić was oklaskami, ja najgłośniej krzychałem „brawo”.

Wydawało mi się, że nasze oczy się spotkały, uśmiechałem się do ciebie i nieporadnie dawałem ci znaki ręką. Ukłoniłaś się widowni wraz z innymi muzykami, potem kurtyna opadła.

Z drżącym sercem pobiegłem, by czekać na ciebie przed wyjściem dla artystów. Stojąc u wylotu uliczki, wpatrywałem się w stalowe drzwi.

Wyszłaś w czarnej sukni, z włosami przewiazanymi czerwoną apaszką. Jakiś mężczyzna obejmował cię w talii, uśmiechałaś się do niego. Nie zdawałem sobie sprawy, że mogę się poczuć tak bezbronny. Widziałem cię u boku mężczyzny, na którego patrzyłaś, a w twoich oczach dostrzegłem to, co chciałyby dostrzec, gdy zwrócisz je na mnie. Przy tobie wydawał się taki wysoki, a ja, w tej uliczce, taki mały. Gdybym był na jego miejscu, dałbym ci wszystko, ale byłem tylko sobą, cieniem tego, którego kochałaś, kiedy byliśmy dziećmi, cieniem dorosłego, którym się stałem.

Mijając mnie, przystanęłaś. „Czy my się znamy?”, zapytałaś. Twój głos był dźwięczny, taki, jaki słyszałem, kiedy nie mogłaś mówić – jak głos twojego cienia, gdy przed laty błagał o pomoc. Odpowiedziałem, że po prostu przyszedłem cię posłuchać. Nieco zażenowana zapytałaś, czy chcę autograf. Coś bąknąłem, ty poprosiłaś przyjaciela o długopis. Napisałaś na kartce swe imię, podziękowałem ci i odeszłaś pod ramię z tym mężczyzną. Usłyszałem, jak mówisz, że chyba masz pierwszego fana, i ta myśl cię rozbawiła. Śmiech, który usłyszałem u wylotu

uliczki, nie brzmiał już jak śpiew wiolonczeli.



Wróciłem do domu. Na dole, przed wejściem, natknąłem się na Luca.

– Wyjrzałem przez okno, zobaczyłem, że idziesz, a z twojej miny wyczytałem, że lepiej, żebyś nie musiał sam iść po schodach. Domyślałem się, że nie wszystko potoczyło się tak, jak chciałeś. Przykro mi, ale przecież wiesz, że ta próba była z góry skazana na porażkę. Nie przejmuj się, stary. No, chodź, nie stój tu tak, przejdźmy się, spacer dobrze ci zrobi. Nie musimy rozmawiać, ale jeżeli masz ochotę pogadać, to jestem obok. Zobaczysz, jutro ten ból nie będzie już taki dotkliwy, a pojutrze o wszystkim zapomnisz. Uwierz mi, zawód miłosny to cierpienie, które trwa kilka dni, z czasem wszystko się układa, lepiej czy gorzej. Rusz się, stary, chyba nie zamierzasz tu stać i lamentować. Jutro będziesz wspaniałym lekarzem. Ona nawet nie wie, o kogo się otarła, ale któregoś dnia spotkasz kobietę swojego życia. To nie będą tylko różne Élisabeth i Clee, zasługujesz na kogoś lepszego.



Dotrzymałem obietnicy, którą złożyłem Lucowi, pożegnałem się z dzieciństwem i skupiłem na studiach.

Czasami wieczorem spotykaliśmy się – Luc, Sophie i ja. Razem się uczyliśmy – ja i Sophie do egzaminów końcowych, Luc do testów po pierwszym roku.

Wszyscy troje zdaliśmy, a potem oblaliśmy to jak należy.

Tego lata ani Sophie, ani ja nie mieliśmy wakacji. Luc pojechał na dwa tygodnie do domu. Wrócił wypoczęty i cięższy o kilka kilogramów.

Jesienią odwiedziła mnie mama. Dała mi walizeczkę pełną nowych koszul i przeprosiła, że nie wejdzie na górę, żeby zrobić porządek w kawalerce. Schody ją męczyły, miała coraz większe problemy z kolanami. Kiedy spacerowaliśmy nad rzeką, zaniepokoiła mnie jej zadyszka. Pogładziła mnie po twarzy i uśmiechając się, powiedziała, iż powinienem pogodzić się z myślą, że i ona się starzeje.

– Ciebie też to kiedyś spotka – powiedziała, kiedy kończyliśmy kolację w jej ulubionej restauracji. – A teraz ciesz się młodością, bo nawet nie wiesz, jak szybko przemija.

I znowu przechwyciła rachunek, zanim zdążyłem wyciągnąć po niego rękę.

Kiedy szliśmy w stronę hotelu, opowiadała o domu. Całe dnie zajmowało jej malowanie kolejnych pokoi, chociaż uważała, że trochę za bardzo ją to wyczerpuje. Wspomniała, że zrobiła porządki na strychu i że zostawiła tam dla mnie pudełko. Kiedy przyjadę, muszę wejść na górę. Usiłowałem wyciągnąć z niej coś więcej, ale mama nie chciała zdradzić sekretu.

– Sam zobaczysz, kiedy przyjedziesz – powiedziała, całując mnie na pożegnanie przed hotelem.

Nazajutrz po tej kolacji odprowadziłem ją na dworzec. Miała już dość wielkiego miasta, wołała nieco skrócić pobyt.



Między przyjaciółmi pewnych rzeczy się nie mówi, ale się je odgaduje. Luc i Sophie spędzali razem coraz więcej czasu. Luc zawsze znajdował jakiś pretekst, żeby ją do nas zaprosić. Zachowywał się trochę jak Élisabeth, kiedy zbliżała się do Marquésa, z tygodnia na tydzień dyskretnie przesuwając się na koniec klasy, z tym że teraz wyraźnie to widziałem. Nie licząc tych paru wieczorów, kiedy Luc dla nas gotował, widywałem go

coraz rzadziej. Jako stażysta tyrałem niemal bez przerwy, on pracował coraz dłużej, żeby z pensji sanitariusza opłacać studia.

Zdarzało się, że zostawialiśmy kartki na biurku w pokoju, życząc sobie wzajemnie miłego dnia albo dobrej nocy. Luc często odwiedzał naszą sąsiadkę z góry. Któregoś dnia usłyszał głuchy odgłos i bojąc się, że upadła, pobiegł do jej mieszkania. Alice czuła się doskonale, po prostu robiła gruntowne porządki i pozbywała się wszystkiego, co należało już do przeszłości. Rzuciła przez pokój albumami ze zdjęciami, teczkami pełnymi jakichś papierów, najrozmaitszymi pamiątkami, które gromadziła przez całe życie, a od których teraz zapragnęła się uwolnić.

– Przecież nie zabiorę tego ze sobą do grobu – oświadczyła Lucowi, radośnie witając go w drzwiach.

Luc rozbawiony bałaganem, który panował u staruszki, poświęcił całe popołudnie, żeby pomóc jej w porządkach. Napęłniała plastikowe worki, a on znosił je na dół i wrzucał do śmietnika.

– Nie mogę dać moim dzieciom satysfakcji, pozwalając, żeby zaczęły mnie kochać, kiedy umrę. Powinny były zrobić to wcześniej!

Tego niezwykłego dnia połączyła ich nić porozumienia. Zawsze kiedy spotykałem sąsiadkę na schodach i kłaniałem się jej, prosiła, żebym pozdrowił Luca, a jego zafascynował jej silny charakter i zdarzało się, że zostawiał mnie samego, żeby spędzić część wieczoru ze staruszką.



Zbliżało się Boże Narodzenie. Próbowałem załatwić sobie kilka dni urlopu, żeby odwiedzić matkę, ale szef zdecydowanie odmówił.

– Może nie rozumie pan dokładnie sensu stażu? –
odpowiedział, gdy przyszedłem z podaniem. – Kiedy będzie pan już pełnoprawnym lekarzem, będzie pan mógł jeździć do domu na święta i jak ja teraz będzie pan wyznaczał stażystów, którzy pana wyręczą w pracy. Cierpliwość i wytrwałość – dodał takim tonem, że najchętniej dałbym mu w pysk – jeszcze przez kilka lat będzie pan sobie wypruwał flaki, a potem przyjdzie pana kolej, wtedy znajdzie pan czas na spokojne zajadanie indyka w rodzinnym gronie.

Zadzwoiłem do mamy i oczywiście nie miała do mnie pretensji. Któż potrafiłby lepiej niż ona zrozumieć problemy stażysty? Zwłaszcza kiedy szef kliniki jest nadęty, arogancki i pewny siebie... Jak zawsze, kiedy wpadałem we wściekłość, mama znalazła sposób, żeby mnie uspokoić.

– Pamiętasz, co mi powiedziałaś, kiedy było mi przykro, bo nie mogłam przyjść do szkoły na rozdanie świadectw?

– Że za rok znowu będzie rozdanie świadectw – westchnąłem.

– W przyszłym roku na pewno będzie kolejne Boże Narodzenie, kochanie, a jeśli twój szef znowu będzie taki twardy, to też nic się nie stanie, możemy zrobić sobie święta w styczniu.

Kilka dni przed Gwiazdką Luc zaczął się pakować i zauważyłem, że zabiera więcej rzeczy niż zwykle. Wystarczyło, żebym się odwrócił, a już wpychał do toreb swetry, koszule i spodnie, także te letnie. W końcu zauważyłem, że coś ukrywa i że jest nieswój.

– Dokąd ty jedziesz?

– Wracam do domu.

– I na kilka dni wakacji musisz taszczyć ze sobą wszystkie te rzeczy?

Luc usiadł w fotelu.

– Czegoś mi brak w takim życiu – powiedział.

– Ale czego ci brak?

– Życia!

Skrzyżował ręce i patrzył na mnie w milczeniu. Po chwili zaczął mówić dalej.

– Nie jestem tu szczęśliwy, stary. Myślałem, że studiując medycynę, zmienię swoje życie, że rodzice będą ze mnie dumni. Syn piekarza został lekarzem, wspaniała historia awansu! Tylko widzisz, nawet gdybym kiedyś został wybitnym chirurgiem, nigdy nie dorosnę mojemu ojcu do pięt. Tata robi tylko chleb, ale gdybyś zobaczył, jak szczęśliwi są ludzie, którzy przychodzą wczesnym rankiem do piekarni. Pamiętasz tych staruszków z hotelu nad morzem, którym usmażyłem placki? On codziennie dokonuje takiego cudu. Jest człowiekiem skromnym i dyskretnym, niewiele mówi, ale jego oczy robią to za niego. Kiedy pracowałem z nim w piekarni, zdarzało nam się nie zamienić słowa przez całą noc, a jednak, wyrabiając ciasto, mieliśmy ze sobą tyle wspólnego. Chcę być podobny do niego. I chcę wykonywać zawód, którego pragnął mnie nauczyć. Któregoś dnia pomyślałem sobie, że może i ja będę miał kiedyś dzieci, i wiem, że jeśli zostanę tak dobrym piekarzem jak mój ojciec, będą mogły czuć się ze mnie dumne, jak ja jestem dumny z niego. Nie miej do mnie żalu, nie wrócę po Bożym Narodzeniu, rezygnuję z medycyny. Czekaaj, nic nie mów, wiem, że przyczyniłeś się do tego, że rozmawiałeś z moim ojcem. Nie on mi o tym powiedział, to matka. Codziennie tutaj, nawet kiedy doprowadzałeś mnie do szału, w głębi ducha dziękowałem ci, że dałeś mi szansę studiowania. Dzięki tobie teraz już wiem, czego nie chcę robić. Kiedy przyjedziesz do domu, zrobię dla ciebie bułeczki z czekoladą i kawowe eklerki, takie jak te, które kiedyś

jedliśmy. Albo nie, raczej takie, jakie będziemy jedli w przyszłości. Więc nie traktuj tego jak pożegnania, a tylko jak zwykłe „do zobaczenia”, stary.

Luc objął mnie i uściskał. Chyba się trochę przy tym popłakał, mnie zresztą też łzy stanęły w oczach. To takie głupie – dwóch dorosłych facetów, którzy szlochają, obejmując się. A może i nie, jeśli są przyjaciółmi, którzy kochają się jak bracia.

Przed wyjściem Luc zdobył się na jeszcze jedno wyznanie. Pomogłem mu znieść bagaże do starego breka, siadł za kierownicą i już zatrzaskał drzwi. Po chwili otworzył okno, żeby zacząć patetycznym głosem:

– Rozumiesz, że głupio mi o tym mówić, ale skoro między tobą a Sophie wszystko jest już jasne, to znaczy, kiedy ona jest już pewna, że łączy was tylko przyjaźń... to czy masz coś przeciwko temu, żebym od czasu do czasu do niej zadzwonił? Bo może nie zauważyłeś, ale podczas tego nieszczęsnego weekendu, kiedy ty bawiłeś się w latarnika zamarłej latarni i puszczałeś latawce, my mieliśmy czas na długie rozmowy. Oczywiście, mogę się mylić, ale mam wrażenie, że coś wtedy zaiskrzyło, że coś nas połączyło... Rozumiesz, co mam na myśli... Więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chętnie cię odwiedzę, a przy okazji zaproszę ją na kolację.

– Czy ze wszystkich wolnych dziewczyn na świecie musiałeś wybrać właśnie Sophie?

– Już ci powiedziałem: jeżeli nie masz nic przeciwko temu, ale cóż jeszcze mógłbym zrobić...

Samochód ruszył, Luc na pożegnanie pomachał mi ręką.

Przytłoczony pracą, nie dostrzegałem upływu czasu. We środy spędzałem wieczory z Sophie – jedliśmy razem kolację, czasem szliśmy przedtem do kina, gdzie ciemność koła towarzyszące każdemu z nas poczucie samotności. Luc pisał do

niej co tydzień. Te krótkie liściki powstawały o świcie, kiedy jego ojciec drzemał na krześle oparty o mur piekarni. Za każdym razem Sophie powtarzała mi tych parę adresowanych do mnie linijek. Luc przepraszał, że nie znajduje czasu, żeby do mnie pisać. Myślę, że w ten sposób chciał mi przekazać, iż stale koresponduje z Sophie.

W kawalerce panował spokój, który zaczynał mnie drażnić. Zdarzało mi się rozglądać po pokoju, w którym spędziliśmy we troje tyle wieczorów, zerkać na drzwi do kuchni, z nadzieją że stanie w nich Luc z półmiskiem makaronu albo którąś ze swoich fantastycznych zapiekaneek. Coś mu obiecałem i dotrzymałem słowa – we wtorki i w soboty odwiedzałem naszą sąsiadkę z góry i spędzałem z nią godzinę. Po kilku miesiącach dowiedziałem się o jej życiu znacznie więcej niż rodzona dzieci. Tak w każdym razie twierdziła. Te odwiedziny przynosiły pewne korzyści – otóż staruszka, która z zasady nie chciała przyjmować leków, ustępowała pod wpływem mego lekarskiego autorytetu.

W pewien poniedziałkowy wieczór, ku memu ogromnemu zaskoczeniu, spełniło się jedno z moich marzeń. Wracając do domu, już na klatce schodowej poczułem znajomy zapach. Gdy otworzyłem drzwi, zobaczyłem Luca kręcącego się w fartuchu po kuchni i trzy nakrycia stojące na blacie.

– No właśnie, zapomniałem oddać ci klucze! Uznałem, że nie ma sensu, żebym czekał na ciebie na schodach. Zamiast marnować czas, przygotowałem twoją ulubioną zapiekankę z makaronu. Powiesz mi, czy ci smakuje. Wiem, są trzy nakrycia. Pozwoliłem sobie zaprosić Sophie. Nawiasem mówiąc, mógłbyś przypilnować kuchni? Muszę wskoczyć pod prysznic, ona będzie tu za pół godziny, a ja dotąd nie miałem nawet czasu się przebrać.

– A tak przy okazji: dzień dobry – powiedziałem.

– Tylko nie zaglądamy do piekarnika! Liczę na ciebie, daj mi pięć minut. Mógłbyś pożyczyć mi koszulę? O – powiedział, grzebiąc w mojej szafie – niebieska będzie w sam raz.

Wykorzystałem wolny dzień, bo pamiętasz, że we wtorki piekarnia jest nieczynna? Spałem w pociągu i jestem rześki jak ryba. Niesamowite, że znowu tu jestem.

– A ja bardzo się cieszę, że cię widzę.

– No, nareszcie! Zastanawiałem się, czy w końcu to powiesz! A spodnie... może mógłbyś mi pożyczyć jakieś spodnie?

Luc rzucił mój szlafrok na łóżko i ubrał się w spodnie, które sam sobie wybrał, a potem uczesał się przed lustrem i poprawił niesforny kosmyk włosów opadający mu na czoło.

– Nie sądzisz, że powinienem obciąć włosy? Wiesz, że zaczynają mi wypadać? To podobno uwarunkowane genetycznie, a mój ojciec ma na głowie ogromne ładowisko dla komarów. Obawiam się, że wkrótce dorobię się pasa startowego na czole! Jak wyglądam? – zapytał, odwracając się do mnie.

– W jej guście, bo przecież o to pytasz. W tym stroju wydasz się Sophie bardzo seksowny.

– Co ci chodzi po głowie? Po prostu tak rzadko mam okazję ubrać się inaczej niż w ciuchy piekarza, że kiedy mogę wyglądać jak normalny człowiek, cieszę się z tego i chcę wypaść jak najlepiej.

Sophie zadzwoniła do drzwi, a Luc pobiegł, żeby ją powitać. Oczy błyszczały mu jeszcze bardziej niż w dzieciństwie, kiedy udało nam się zrobić kawał Marquésowi.

Sophie przysłała w granatowym sweterku i sięgającej kolan spódnicy w kratkę. Kupiła te rzeczy po południu, na ciuchach, i zapytała nas, czy pasuje do niej ten styl retro.

– Wyglądasz cudownie – odparł Luc.

Jego opinia chyba jej wystarczyła, bo nie czekając, co powiem, poszła z nim do kuchni.

Przy jedzeniu Luc przyznał się nam, że czasami tęskni za studenckim życiem, chociaż oczywiście nie za salą sekcijną, dodał natychmiast, ani za szpitalnymi korytarzami, a już na pewno – nie za izbą przyjęć. Budzącym jego tęsknotę atrybutem studenckiego życia były takie wieczory jak dzisiejszy.

Po kolacji zostałem w domu. Tym razem to Luc poszedł na resztę nocy do Sophie. Przed wyjściem obiecał, że odwiedzi mnie znowu późną wiosną. Los chciał inaczej.

W jednym z listów mama zapowiedziała, że odwiedzi mnie na początku marca. Planując ten pobyt, zarezerwowałem stół w jej ulubionej restauracji i po ciężkim boju wywalczyłem u szefa kliniki dzień urlopu. We środę rano wyszedłem po nią na dworzec. Pasażerowie wysiadali z wagonów, niemal już pustych, jednak nie było wśród nich mojej matki. Nagle na peronie pojawił się Luc. Był bez bagażu, stał bez ruchu i bez słowa. Zobaczyłem łzy w jego oczach i od razu zrozumiałem, że mój świat się zawalił i że nic już nie będzie jak dawniej.

Luc podszedł do mnie powoli. Dałbym wszystko, żeby nie podszedł nigdy, żeby nie mógł wypowiedzieć tych słów, których wciąż jeszcze szukał.

Staliśmy w tłumie podróżnych, którzy szli w stronę wyjścia z dworca. Pragnąłem należeć do tych, dla których ziemia kręciła się, jakby nigdy nic, podczas gdy mój świat właśnie się zawalił.

Luc powiedział: „Stary, twoja mama nie żyje” – a ja poczułem, że ostrze sztyletu rozdziera moje trzewia. Chwycił mnie w ramiona, a ja zaniósłem się szlochem.

Na tym dworcowym peronie z moich ust wyrwał się krzyk, pamiętam to do dziś – krzyk z głębi dzieciństwa. Luc chwycił

mnie mocniej, żebym nie upadł. Szeptał: „Krzycz, krzycz, skoro chcesz, po to tu jestem, bracie”.

Już nigdy cię nie zobaczę, nie usłyszę, jak mnie wołasz, jak dawniej, rano, nie poczuję zapachu ambry, który tak do ciebie pasował. Nie będę mógł dzielić się z tobą troskami i radościami, niczego już sobie nie opowiemy. Nie będziesz już układała w tym dużym wazonie z salonu kwiatów mimozy, które przynosiłem ci w ostatnich dniach stycznia, nie założysz już słomkowego kapelusza latem ani kaszmirowego płaszcza, w którym chodziłaś, gdy nastawały jesienne chłody. Nie rozpalisz ognia w kominku, gdy grudniowe śniegi przysypią ogród. Odeszłaś, zanim zawitała do nas wiosna, zostawiłaś mnie bez uprzedzenia i nigdy w życiu nie czułem się równie samotny, jak na tym peronie, gdy się dowiedziałem, że już cię nie ma.

Dziś umarła moja matka – to zdanie, chociaż powtórzyłem je w myślach sto razy, wciąż brzmiało tak abstrakcyjnie, że nie mogłem w nie uwierzyć. Pustka, która powstała w dniu jej odejścia, nigdy nie zniknęła.

Na peronie Luc opowiedział mi, co się stało.

Zaproponował mojej matce, że przyjedzie rano, żeby odprowadzić ją na dworzec. To on znalazł ją nieprzytomną, leżącą pod drzwiami domu. Zadzwoił po pogotowie, ale było za późno. Mama odeszła poprzedniego wieczoru. Prawdopodobnie wyszła, żeby zamknąć okiennice, i wtedy upadła. To był atak serca. Mama spędziła ostatnią noc na ziemi w swoim ogrodzie, a jej szeroko otwarte oczy zwracały się ku gwiazdom.

Razem weszliśmy do pociągu. Luc patrzył na mnie w milczeniu, a ja patrzyłem na przesuwający się za oknem krajobraz. Zastanawiałem się, ile razy oglądała go moja matka, jadąc na spotkanie ze mną. Zapomniałem odwołać rezerwację

w jej ulubionej restauracji.

Czekała na mnie w zakładzie pogrzebowym. Mama była bardzo zapobiegliwa, pracownik zakładu powiedział mi, że wszystko ustaliła z góry. Czekała na mnie, leżąc w trumnie. Była blada, na twarzy miała pełen spokoju uśmiech, którym z matczyną czułością wiele razy przekonywała mnie, że wszystko będzie dobrze, że nade mną czuwa, jak w pierwszym dniu roku szkolnego. Dotknąłem ustami jej policzka. Ten ostatni pocałunek, jakim obdarzamy własną matkę, jest jak kurtyna na zawsze zapadająca nad naszym dzieciństwem. Zostałem z nią przez całą noc, czuwałem, jak ona tyle razy przy moim łóżku.

Dorastając, marzymy o dniu, gdy odejdziemy od rodziców, ale kiedyś przychodzi dzień, w którym to oni nas opuszczają. A wtedy marzymy tylko, by móc choć na chwilę stać się znowu dzieckiem, które mieszka pod ich dachem, by ich mocno przytulić i nie wstydząc się słów, powiedzieć, że ich kochamy, a potem wtulić się w nich, żeby jeszcze raz ukoili nasze lęki.

Wysłuchałem kazania księdza, który odprowadził matkę do grobu. Nigdy nie tracimy rodziców, nawet po śmierci żyją dalej w nas. Ci, którzy nas poczęli, którzy dali nam ogrom miłości, abyśmy mogli ich przeżyć, nie mogą zniknąć.

Ksiądz miał rację, lecz myśl, że nie ma już na tym świecie miejsca, w którym oddychają, że nie słyszymy ich głosów, że okiennice domu dzieciństwa na zawsze pozostaną zamknięte, rodzi takie poczucie osamotnienia, jakiego nie zdoła wypełnić nawet sam Bóg.

Nigdy nie przestałem myśleć o matce. Jest przy mnie w każdej chwili mego życia. Zdarza mi się oglądać film i myśleć, że na pewno by się jej spodobał, słuchać piosenki, którą czasem nuciła, a w pewne cudowne dni czuć w powietrzu, gdy mijam jakąś kobietę, zapach ambry, który mi ją

przypomina. Czasami zdarza mi się nawet rozmawiać z nią półgłosem. Ksiądz miał rację – ani dla tego, kto wierzy w Boga, ani dla niewierzącego matka nigdy nie umiera bez reszty, jej nieśmiertelność jest tu, w sercu dziecka, które kochała. Mam nadzieję kiedyś zdobyć moją część wieczności w sercu dziecka, które wychowam.

Na pogrzebie było prawie całe miasteczko, nawet Marqués, który – co bardzo mnie zaskoczyło – pojawił się z szarfą na marynarce. Ten dureń zdołał wygrać wybory na mera. Ojciec Luca zamknął piekarnię, żeby uczestniczyć w pogrzebie. Była także pani dyrektor – już dawno nie używała gorącej linii, ale płakała bardziej niż inni i mówiła do mnie „moje dziecko”. Przyjechała Sophie – zadzwonił do niej Luc i wsiadła w pierwszy poranny pociąg. Widok tych dwojga trzymających się za ręce był dla mnie wielkim wsparciem, choć nie potrafiłbym wyjaśnić dlaczego. Kiedy żałobnicy się rozeszli, zostałem sam nad grobem.

Wyjąłem z portfela zdjęcie, z którym nigdy się nie rozstawałem, zdjęcie ojca ze mną na rękach. Postawiłem je na grobie matki, żebyśmy wszyscy troje byli tego dnia po raz ostatni razem.

Po ceremonii Luc odwiózł mnie starym brekiem do domu. W końcu odkupił ten wóz od faceta, który go wynajmował.

- Chcesz, żebym z tobą wszedł?
- Nie, dziękuję, zostań z Sophie.
- Przecież nie zostawimy cię samego w takim dniu.
- Ale chyba właśnie tego chcę. Widzisz, nie byłem tu od miesięcy, a poza tym czuję jeszcze jej obecność w tych murach. Zapewniam cię, że chociaż śpi teraz w grobie, spędzę tę ostatnią noc z nią.

Luc wahał się, niezbyt przekonany, czy powinien mnie

zostawiać. Uśmiechnął się i powiedział:

- Wiesz, cała nasza klasa kochała się w twojej matce.
- Nie wiedziałem o tym.
- Była zdecydowanie najładniejszą matką w klasie i chyba nawet ten dupek Marqués się w niej bujał.

Łajdak zdołał mnie zmusić do uśmiechu! Wysiadłem z samochodu, czekałem, aż odjedzie, i wszedłem do domu.



Przekonałem się, że mama nie odmalowała domu. Jej dokumentacja medyczna leżała na stoliku w salonie. Przejrzałem papiery. Daty na opisach elektrokardiogramów uświadomiły mi całą prawdę. W tygodniu, który miała – jak twierdziła – spędzić z przyjaciółką nad morzem, na południu, wcale nie wybrała się na wakacje. Późną zimą zaczęła poważnie chorować na serce i kiedy Luc, Sophie i ja pojechaliśmy nad morze, ona poszła do szpitala na badania. Wymyśliła tę podróż, ponieważ nie chciała, żebym się martwił. Studiowałem medycynę, w nadziei że ulecę matkę ze wszystkich jej dolegliwości, a nie potrafiłem nawet dostrzec, że jest chora.

Wszedłem do kuchni, otworzyłem lodówkę i zobaczyłem kolację, którą przygotowała sobie tuż przedtem...

Stałem jak idiota przy tej otwartej lodówce i nie mogłem powstrzymać łez. Nie płakałem podczas pogrzebu, jakby to ona mi nie pozwalała na taką słabość, bo zawsze chciała, żebym się trzymał przy ludziach. Ale czasem dopiero drobiazgi uświadamiają nam, że nie ma już tych, których kochaliśmy. Budzik na nocnym stoliku, który wciąż tyka, poduszka, która leży krzywo na rozesłanym łóżku, zdjęcie na komodzie, szczoteczka do zębów w szklance, czajniczek do herbaty na parapecie okna w kuchni, ustawiony dziobkiem tak, żeby mógł

patrzeć na ogród, a na stole resztki biszkoptu z jabłkami i z syropem klonowym.

Tu było moje dzieciństwo, dogorywało w domu pełnym wspomnień, wspomnień o mojej mamie i latach, które tu razem przeżyliśmy.



Przypomniałem sobie, że mama mówiła mi o pudełku, które dla mnie zostawiła. Księżyc był w pełni – wszedłem na strych.

Pudełko stało na podłodze, w widocznym miejscu. Na pokrywie zobaczyłem kartkę i rozpoznałem charakter pisma mamy.

Kochanie! Kiedy przyjechałeś tu ostatnio, słyszałam, jak wchodzisz na strych. Domyślałam się, że tam zajrzysz, dlatego tu wyznaczyłam Ci nasze ostatnie spotkanie. Jestem pewna, że chwilami zdarza Ci się jeszcze mówić do tych Twoich cieni. Nie myśl, że z Ciebie kpię, po prostu przypomina mi to Twoje dzieciństwo. Kiedy wychodziłeś do szkoły, szłam do Twojego pokoju pod pozorem uporządkowania go, a kiedy słałam łóżko, brałam poduszkę, żeby poczuć Twój zapach. Byłeś o pół kilometra od domu, a już za Tobą tęskniłam. Widzisz, to takie banalne – matka nigdy nie przestaje myśleć o swoich dzieciach, od chwili kiedy po raz pierwszy otworzą oczy, zajmują nasze myśli. I nic nie daje nam większego szczęścia. Na darmo starałam się być najlepszą matką. Ty jednak byłeś synem, który spełnił moje najśmielsze marzenia. Będziesz wspaniałym lekarzem. To pudełko jest Twoje, nie powinno jednak istnieć i proszę, żebyś mi to wybaczył. Twoja matka, która kocha Cię nade wszystko. Otworzyłem pudełko. W środku znalazłem wszystkie listy, które przysyłał do mnie ojciec – na Boże

Narodzenie i na urodziny.

Usiadłem po turecku przy oknie i patrzyłem, jak księżyc przesuwa się po niebie. Tulilem do siebie listy od ojca, szepcząc: „Mamo, jak mogłaś mi to zrobić!”.

Wtedy mój cień padł na podłogę i wydawało mi się, że widzę obok niego cień mojej matki – uśmiechała się do mnie i płakała równocześnie. Księżyc wędrował po niebie i cień mamy odszedł.

Nie mogłem zasnąć. W moim pokoju panowała głęboka cisza, zza ściany nie dobiegał już żaden dźwięk. Szmery, do których przywykłem, zniknęły, fałdy zasłon trwały w smutnym bezruchu. Rzuciłem okiem na zegarek.

O czwartej rano Luc zaczynał przerwę – miałem ochotę się z nim zobaczyć. Z tą myślą zamknąłem za sobą drzwi domu. Nie podejrzewałem nawet, że dotrę nie tam, gdzie planowałem.

Skręciłem w boczną uliczkę. Ukryty w mroku zobaczyłem, że mój przyjaciel siedzi na krześle i prowadzi ożywioną rozmowę z ojcem. Nie chciałem im przerywać, zawróciłem i poszedłem dalej. Nie wiedząc, dokąd się udać, dotarłem do ogrodzenia szkoły. Furtka była uchylona. Pchnąłem ją i wszedłem. Na dziedzińcu panowała głęboka cisza i byłem przekonany, że nikogo tam nie ma. Gdy zbliżałem się do kasztanowca, usłyszałem czyjś głos. Wołał mnie.

– Byłem pewien, że cię tu spotkam.

Drgnąłem i odwróciłem się. Na ławce siedział Yves. Patrzył na mnie.

– Chodź, usiądź tu ze mną. Minęło tyle czasu, że na pewno mamy sobie wiele do powiedzenia.

Usiadłem obok niego i zapytałem, co tu robi.

– Byłem na pogrzebie twojej matki. Szczerze ci współczuję, to kobieta, którą bardzo ceniłem i szanowałem.

Trochę się spóźniłem, więc stanąłem z tyłu.

Fakt, że Yves przyjechał na pogrzeb mamy, naprawdę mnie wzruszył.

– Po co przyszedłeś na szkolny dziedziniec? – zapytał.

– Właściwie sam nie wiem. To był dla mnie ciężki dzień.

– Wiedziałem, że tu przyjdiesz. Pogrzeb twojej matki to niejedyny powód mojego przyjazdu. Chciałem się z tobą znowu zobaczyć. Wciąż patrzysz w ten sam sposób. Tego też byłem pewien, ale musiałem to sprawdzić.

– Dlaczego?

– Ponieważ wydaje mi się, że obaj szukamy wspomnień, zanim nawet one znikną.

– Co się z panem działo przez te lata?

– Tak jak ty, bardzo się zmieniłem, zbudowałem sobie nowe życie. Ale przecież to ty byłeś uczniem, powiedz, co robiłeś po opuszczeniu murów tej szkoły i miasteczka?

– Jestem lekarzem... prawie jestem. Mimo to nie zorientowałem się, że moja własna matka jest chora. Wydawało mi się, że widzę rzeczy niewidoczne dla innych, a okazało się, że jestem jeszcze bardziej ślepy niż oni.

– Pamiętasz, kiedyś ci obiecałem, że jeśli pewnego dnia coś będzie ci leżało na sercu, coś, o czym nie masz odwagi mówić, możesz mi się zwierzyć, nie zdradzę cię. Może to tej nocy albo nigdy...

– Wczoraj straciłem matkę, nie wspomniała mi ani słowem o swojej chorobie, a w domu, na strychu, znalazłem listy od ojca. Ukrywała je przede mną. Zaczyna się od jednego kłamstwa, a potem nie wie się już, kiedy przestać.

– Może to niedyskretne pytanie, więc jeśli nie chcesz... co pisał twój ojciec?

– Że co roku przyjeżdżał w dniu rozdania świadectw, żeby

mnie zobaczyć. Że stał daleko, za ogrodzeniem. Byłem tak blisko niego, a tak daleko.

– I nie dodał nic więcej?

– Owszem, przyznał się, że w końcu zrezygnował. Ta kobieta, dla której porzucił moją matkę, ma z nim syna. Mam przyrodniego brata. Ponoć jest do mnie podobny. Tym razem mam żywy cień, czyż to nie zabawne?

– Co zamierzasz zrobić?

– Nie wiem. W ostatnim liście ojciec pisze mi o swoim tchórzostwie, przyznaje się, że chcąc zapewnić przyszłość nowej rodzinie, nigdy nie odważył się narzucać jej swojej przeszłości. Teraz wiem, dokąd odeszła cała ta miłość.

– Kiedy byłeś mały, różniłeś się od innych dzieci, bo miałeś zdolność wyczuwania nieszczęścia, nie tylko tego, które dotyczyło ciebie, ale też tego, które dręczyło innych. Po prostu wydorostałeś.

Yves uśmiechnął się i mówił dalej. Zadał mi nieco dziwne pytanie.

– Czy gdyby dziecko, jakim byłeś, spotkało mężczyznę, którym się stałeś, to twoim zdaniem ci dwaj potrafiliby się ze sobą dogadać, mogliby zostać przyjaciółmi?

– Kim pan właściwie jest? – zapytałem.

– Człowiekiem, który nie zgadza się dorosnąć, szkolnym woźnym, któremu przywróciłeś wolność, a może cieniem, który sobie wymyśliłeś, kiedy potrzebowałeś przyjaciela... wybór należy do ciebie. Ale mam wobec ciebie dług i sądzę, że ta noc to właściwy czas, by go spłacić. A skoro już mowa o właściwym czasie, pamiętasz, co ci kiedyś powiedziałem o miłościach? Wydaje mi się, że przeżyłeś wtedy pierwsze rozczarowanie.

– Tak, pamiętam, tamtego dnia też nie czułem się szczęśliwy.

– Wiesz, bywa także dobry czas, właściwy moment na powroty. Powinieneś się trochę pokręcić za moim składzikiem. Mam wrażenie, że coś tam zostawiłeś, coś, co należało do ciebie. Idź, zaczekam tu!

Wstałem z ławki i poszedłem za drewnianą szopę, ale na próżno rozglądałem się wokół – nie zauważyłem tam niczego szczególnego.

Usłyszałem głos Yves’a. Krzyczał, żebym szukał dokładniej. Uklęknąłem, księżyc świecił dość mocno, żebym widział prawie jak w dzień, ale i tak niczego nie zauważyłem. Zaczął wiać wiatr, silniejszy podmuch poderwał z ziemi piach, którym sypnęło mi w oczy. Z zaciśniętymi powiekami szukałem chusteczki, żeby je otrzeć i odzyskać zdolność widzenia. W kieszeni marynarki, tej, w której pewnego wieczoru poszedłem na koncert, znalazłem kawałek papieru – kartkę z autografem młodej wiolonczelistki.

Wróciłem pod kasztanowiec, ale Yves nie siedział już na ławce. Dziedziniec był pusty. Tam, gdzie miał czekać woźny, leżała przyciśnięta kamykiem koperta. Otworzyłem ją. Wewnątrz znalazłem kserokopię na pięknym papierze, który lekko już pożółkł.

Sam na ławce czytałem list. Może to to zdanie, w którym mama pisze, że jej najgorętszym życzeniem jest, żebym mógł kiedyś rozkwitnąć; że ma nadzieję, iż wybiorę zawód, który da mi szczęście i że bez względu na to, jakich wyborów dokonam w życiu, dopóki będę kochał i będę kochany, będę też spełniał wszystkie nadzieje, jakie we mnie pokłada. Być może to te słowa skruszyły łańcuchy, którymi byłem przykuty do swego dzieciństwa.

Nazajutrz zamknąłem w domu wszystkie okiennice i poszedłem pożegnać się z Lukiem. Jechałem starym

samochodem mamy przez cały dzień. Późnym popołudniem dotarłem do nadmorskiej osady. Zaparkowałem w pobliżu deptaka. Przeszedłem nad łańcuchem do starej latarni, wszedłem aż pod kopułę, żeby zabrać mój latawiec.

Widząc, że przyjechałem, właścicielka hotelu zrobiła jeszcze smutniejszą minę niż poprzednio.

– Tym razem też nie mam wolnego pokoju – westchnęła.

– Nic nie szkodzi. Przyjechałem tylko odwiedzić jednego z pensjonariuszy. Wiem, gdzie go szukać.

Pani Pouchard siedziała w fotelu. Podniosła się i wyszła mi naprzeciw.

– Nie przypuszczałam, że dotrzyma pan słowa. To miła niespodzianka.

Przyznałem się, że właściwie nie przyjechałem do niej. Spojrzała w dół, zobaczyła torbę, którą trzymałem w ręku i latawiec w mojej drugiej ręce. Uśmiechnęła się do mnie.

– Ma pan szczęście, nie mogę powiedzieć, że jest dziś całkiem przytomny, ale ma raczej dobry dzień. Jest w swoim pokoju, zaraz tam pana zaprowadzę.

Weszliśmy razem na górę, pani Pouchard zapukała do drzwi i weszliśmy do pokoju dawnego handlarza z bazaru przy plaży.

– Panie Léonie, ma pan gościa – oznajmiła starsza pani.

– Doprawdy? Nikogo się nie spodziewałem – odparł, odkładając książkę na nocny stolik.

Podszedłem do niego i pokazałem mu orła, a raczej marne szczątki tego dumnego latawca.

Długo mu się przypatrywał, ale w końcu uśmiech rozjaśnił jego twarz.

– Zabawne, kiedyś dałem podobny chłopcu, którego matka była tak skąpa, że nie chciała mu podarować nawet prezentu

urodzinowego. Chłopiec co wieczór go do mnie przynosił, a rano znowu zabierał, żeby jej nie wprawiać w zakłopotanie, jak mi opowiedział.

– Nakłamałem wtedy: moja matka była niezwykle szczodra, podarowałaby mi wszystkie latawce świata, gdybym tylko ją o to poprosił.

– Ale wydaje mi się, że wymyślił sobie tę historyjkę o matce – ciągnął staruszek, wcale mnie nie słuchając. – Jednak ten dzieciak miał taką smutną minę, kiedy przyszedł zwrócić mi latawiec, że nie mogłem się oprzeć chęci zrobienia mu prezentu. Och, napatrzyłem się na rozmarzone oczy dzieci przed moim straganem.

– Mógłby go pan naprawić? – zapytałem, niemal drżąc.

– Należałoby go zreperować – powiedział, jakby docierała do niego tylko połowa moich zdań. – W takim stanie nie będzie latał.

– I właśnie o to prosił przed chwilą ten młody człowiek. Panie Leonie, niechże się pan trochę skupi, to zaczyna być irytujące.

– Pani Pouchard, gdyby zamiast prawić mi morały, poszła pani kupić, co trzeba, żeby naprawić latawiec, mógłbym się zabrać do dzieła, skoro ten młodzieniec odwiedził mnie, by odzyskać orła.

Leon spisał na kartce wszystko, co było mu potrzebne.

Wziąłem listę i pobiegłem do sklepu. Pani Pouchard odprowadziła mnie do drzwi i szepnęła mi do ucha, że gdybym przypadkiem przechodził obok sklepu tytoniowego, byłaby w siódmym niebie.

Wróciłem po godzinie, wypełniwszy obie misje.

Stary handlarz wyznaczył mi spotkanie nazajutrz w południe, na plaży. Niczego nie obiecywał, zapewnił jednak,

że uczyni co w jego mocy, żeby orzeł znów latał.

Zaprosiłem panią Pouchard na kolację. Mówiliśmy o Cléi. Opowiedziałem jej o wszystkim. Kiedy odprowadzałem ją do hotelu, podsunęła mi pewien pomysł.

Wynająłem pokój w małym hoteliku w centrum miasteczka. Zasnąłem, ledwie przyłożyłem głowę do poduszki.



W południe czekałem przy zejściu na plażę. Sprzedawca przyszedł punktualnie, w towarzystwie pani Pouchard. Rozłożył latawiec i pokazał mi go z dumą. Skrzydła były załatane, stelaż naprawiony i chociaż orzeł wyglądał trochę staro, to prezentował się całkiem dumnie.

– Możesz zrobić próbny lot, ale bądź ostrożny, to już nie ten wspaniały lotnik sprzed lat.

Dwa małe „S” i jedna duża ósemka. Wzbił się przy pierwszym podmuchu wiatru. Linka błyskawicznie się rozwijała, a Leon z zapalem bił brawo. Pani Pouchard ujęła go pod ramię i oparła głowę na jego ramieniu. Zaczerwienił się, a ona przeprosiła, jednak pozostała w tej pozycji.

– To, że kobieta jest wdową – powiedziała – wcale nie oznacza, że nie potrzebuje już odrobiny czułości.

Podziękowałem im obojgu i zostawiłem ich na plaży. Czekala mnie długa podróż, a chciałem jak najprędzej dotrzeć na miejsce.



Zadzwoiłem do szefa kliniki i uprzedziłem, że w związku z pogrzebem matki muszę zostać w domu nieco dłużej, niż przewidywałem, więc wrócę do pracy z dwudniowym opóźnieniem.

Tak, wiem, tak to się zaczyna: po pierwszym kłamstwie nie potrafimy już przerwać ich łańcucha, ale nie obchodzi mnie to – każdy ma własne racje, tym razem i ja je miałem.

Pojawiłem się w konserwatorium wczesnym popołudniem. Woźny poznał mnie od razu. Wprowadzając mnie do swojego pokoju, wspomniał, że dolegliwości gardła już ustąpiły. Zapytałem, czy mógłby mi jeszcze raz pomóc.

Tym razem chciałem się dowiedzieć, gdzie i kiedy odbędzie się najbliższy koncert Cléi Norman.

– Tego nie wiem, ale jeśli chce się pan z nią zobaczyć, to jest teraz w sali sto pięć, na parterze, w końcu korytarza. Będzie pan musiał trochę poczekać, ponieważ o tej porze prowadzi lekcję i kończy o szesnastej.

Nie byłem odpowiednio ubrany. Nieuczesany, nieogolony – istniało mnóstwo powodów, dla których nie mogłem się tam pokazać. Nie byłem jeszcze gotów. Ale też nie potrafiłem oprzeć się chęci ujżenia jej.

Klasa była przeszklona i przez chwilę stałem na korytarzu, patrząc. Cléa uczyła dzieci. Oparłem dłoń o szybę. Jeden z uczniów odwrócił głowę, popatrzył na mnie i przestał grać. Pochyliłem się i odszedłem na czworakach, jak zwyczajny idiota.

Czekałem na Cléę na ulicy. Kiedy wyszła z konserwatorium, wprawnym ruchem związała włosy w koński ogon i ruszyła w stronę przystanku autobusowego, niosąc w ręku teczkę. Szedłem za nią, jak za własnym cieniem, a słońce świeciło mi w plecy. Ale tego dnia słońce mnie nie obchodziło, wabił mnie tylko blask, jaki roztaczała Cléa. Szła kilka kroków przede mną.

Wsiadłem za nią do autobusu i zająłem miejsce w pierwszym rzędzie. Patrzyłem w stronę okna. Cléa usiadła

z tyłu. Na każdym przystanku czułem gwałtowne bicie serca. Cléa wysiadła na szóstym przystanku.

Nie oglądając się za siebie, ruszyła ulicą. Widziałem, jak otwiera bramę niewielkiej kamienicy. Po chwili zapaliły się światła w dwóch oknach na trzecim, ostatnim piętrze, a jej sylwetka przemieszczała się między salonem a kuchnią. Najprawdopodobniej okna sypialni wychodziły na podwórko.

Czekałem, siedząc na ławce i ani na chwilę nie odrywając oczu od tych okien. O szóstej wieczorem do budynku weszła jakaś para i rozbłysły światła na drugim piętrze, o dziewiętnastej wrócił starszy pan, który mieszkał na pierwszym piętrze. O dwudziestej drugiej światła w mieszkaniu Cléi zgasły. Siedziałem jeszcze chwilę na ławce, potem odszedłem ze spokojnym sercem. Cléa mieszkała sama.

Wróciłem wczesnym rankiem. Wiał przyjemny, dość silny wiatr. Przyniosłem ze sobą latawiec. Gdy tylko go rozłożyłem, skrzydła wzduły się i orzeł wzbił się w górę. Kilku przechodniów przystanęło, z uśmiechem patrząc na latawiec. Po chwili każdy z nich poszedł w swoją stronę. Mój poławany orzeł wzniósł się tuż przy fasadzie domu i zrobił parę piruetów przed oknami na trzecim piętrze.

Cléa parzyła sobie herbatę w kuchni, gdy go zauważyła. Nie mogła uwierzyć własnym oczom i jej śniadaniowa filiżanka przyplącała to życiem, roztrzaskując się o posadzkę.

Po kilku minutach brama budynku otworzyła się, a Cléa podeszła do mnie, przyglądając mi się. Uśmiechnęła się i położyła rękę na mojej dłoni, ale nie po to, by ją przytrzymać, tylko żeby zabrać mi latawiec.

Na niebie nad wielkim miastem kazała papierowemu ptakowi kreślić duże „S” i idealną ósemkę. Cléa zawsze miała talent do podniebnej poezji. Kiedy wreszcie zrozumiałem, co

pisze, odczytałem: „Tęskniłam”.

Któż mógłby zapomnieć kobietę, która potrafi napisać latawcem: „Tęskniłam”?

Wschodziło słońce. Na chodniku, ramię w ramię, stanęły nasze cienie. Nagle zobaczyłem, że mój się pochyla i całuje cień Cléi.

Wtedy, przełamując onieśmielenie, zjąłem okulary i zrobiłem to, co on.

Podobno tego ranka na nabrzeżu zabłysło światło w małej nieczynnej latarni morskiej i znów zaczęło się obracać. Opowiedział mi o tym cień pewnego wspomnienia.

Dziękuję:

Pauline.

Louisowi.

Susannie Lei.

Emmanuelle Hardouin.

Raymondowi, Daniéle i Lorraine Levy.

Nicole Lattes, Leonellowi Brandoliniemu, Antoine'owi
Caro, Élisabeth Villeneuve, Anne-Marie Lenfant, Ariemu
Sberro, Sylvie Bardeau, Tine Gerber, Lydie Leroy, Joelowi
Renaudatowi i całemu zespołowi Wydawnictwa Robert Laffont.

Pauline Normand, Nathalie Lepage.

Leonardowi Anthony'emu, Romainowi Ruetschowi,
Danielle Melconian, Katrin Hodapp, Markowi Kesslerowi,
Laurze Mamelok, Lauren Wendelken, Kerry Glencorse, Moïnie
Macé.

Brigitte i Sarah Forissier.